

MARIA RODZIEWICZÓWNA

WRZOS

I

Wszystko się stać może, ale żeby się Andrzej Sanicki miał żenić, to szczyt, co plotka wymyślić zdolna.

A pani Celina?

Gdy ta wieść gruchnęła po mieście, każdy ramionami i uszył, nawet nie zaprzeczał; był to absurd.

Plotka jednak nie cichła, owszem utrwaliła się. Mówiono, że podobno pan Andrzej z ojcem się pojednał, że kawalerskie swe mieszkanie zwija, że ojciec, pan prezes, ustępuje mu pierwsze piętro w swej kamienicy na Marszałkowskiej, że widziano ich obu, pod rękę, wychodzących od jubilera. Słowem, dziwa.

Więc zaczęli znowu wszyscy pytać jednogłośnie:

— Cóż na to pani Celina? Żyje i pozwala?

— Żyje, pozwala i śmieje się — uspokoił malarz, Józef Radlicz, który u pani Celiny bywał co piątek.

Saniccy byli szeroko znani: ojciec, powaga prawnicza, syn, zdolny technik. Koło znajomych było tedy szerokie; gawędom nie było końca.

Andrzej po śmierci matki z ojcem, się poróżnił; doszło do zupełnego zerwania. Jedni mówili, że im poszło o spadek — nieboszczka była bardzo bogatą — drudzy, że już wtedy ojciec wymagał, by syn z panią Celiną zerwał.

Odtąd minęły trzy lata. Ludzie już się oswoili z zerwaniem, z panią Celiną, z trochę hulaszczym życiem pięknego Andrzeja, gdy wtem ta wiadomość! Saniccy znaleźli się znowu na ustach całego miasta.

Doktor Morawski, stary znajomy prezesa, z którym co wieczór grywał w winta i należał do zaufanych, był oblegany przez panie swoje w domu i przez wszystkich znajomych.

Ale doktor był to kpiarz i dowcipniś, każdemu pod sekretem powiedział co innego. Wreszcie oburzył na siebie nawet żonę.

— Od dwudziestu lat nie zdradziłam ani razu twego zaufania i tak mi płacisz — wołała rozżalona.

— Od dwudziestu lat ani razu nie powierzyłem ci cudzego sekretu i dlatego żyję w zgodzie z całym światem. Znasz prezesa, bywa u nas, spytaj go sama. Ja nie jestem telefonem.

Spytać prezesa nie było łatwo, bo się od pewnego czasu nie pokazywał ani u doktorów, ani u innych znajomych. Mówiono, że na wieś wyjechał. Napadły tedy panie na Radlicza, który się z Andrzejem przyjaźnił.

— Naprawdę się żeni? Z kim? Gdzie?

— Daleko. Ze wsi bierze jakąś topolę czy stokroć.

— Ze wsi, z daleka! Chyba. Tutaj nie mógłby się ożenić, mając taką reputację.

Malarz się śmiał, złośliwymi oczyma wodząc po paniach. Nie wierzył temu, ale nie przeczył.

— Poznał ją w karnawale zatem. Kto to być może? Poczęto przypominać wszystkie importowane ze wsi na karnawał panny.

— Niech się panie nie trudzą. Na karnawale nie była i on jej wcale nie zna.

— Awantura! Więc prezes zwyciężył — postawi na swoim, żeni go! Biedna ofiara.

A Radlicz wciąż się uśmiechał złośliwie — równie nie wierząc politowaniu, jak i poprzedniemu ostracyzmowi.

Że zaś to był piątek, więc krótko bawił, bo mu spieszno było do pani. Celiny na wieczorek.

Pani Celina, młoda rozwódka po bogatym bankierze, mieszkała sama na Erywańskiej i prowadziła dom otwarty, gdzie rolę gospodarza nietytularnego spełniał od lat pięciu Andrzej Sanicki.

Płeć piękną, oprócz gospodyni, przedstawiało kilka jej kuzynek tylko; za to mężczyźni schodzili się tłumnie. Pani Celina była przepyszenie piękną, śpiewała po mistrzowsku, umiała bawić gości rozmową dowcipną i pozwalała się innym bawić swobodnie.

Gdy Radlicz wszedł, zebranie było kompletne.

W gabinecie grano w winta, w salonie deklamował najlepszy komik, a roiło się od dziennikarzy, artystów, ludzi najzdolniejszych i najweselszych, wśród których majestatycznie przesuwała się pani Celina.

Witam — podała mu po koleżeńsku rękę. — Ma tam pan co nowego?

— Mam miny ludzi, co się dowiadują o małżeństwie Andrzeja. Ale może to za ostro będzie tak wobec wszystkich?

— Ależ owszem. Przygotowałam panu papier i ołówki, tam pod lampą. Smaruj pan a żywo!

Śmiała się ubawiona, prowadząc go do stołu.

— Andrzeja nie ma? — spytał oglądając się.

— Za wcześniej. Przecie teraz patriarchalnie obiada z tatkiem, o szóstej.

I znów się śmiała.

Radlicz witał znajomych i wnet wkoło jego osoby i ołówka zebrała się spora grupa.

Rysował i tekst układał. Wybuchy śmiechu towarzyszyły tej robocie, a komik kończył deklamację. Do fortepianu usiadł, i pani Celina i nie tracąc z oczu towarzystwa, i nie przestając rozmowy z młodym Maksem Unfriedem, brała luźne akordy. W gabinecie rozpoczęła się ostra kłótnia dwóch graczy, z jadalni rozlegał się szcęk kryształów.

W tej chwili za krzesłem Celiny, w drzwiach gabinetu stanął gość ostatni i rozglądał się po sali.

Był młody, bardzo wysoki i zgrabny. Miał twarz suchą i nerwową, ciemnoblonde, kędzierzawą czuprynę nad szerokim czołem, oczy ocienione mocno, zuchwałe, usta szydercze. Był bardzo przystojny, ale wyraz miał niemiły. Wypisał się na tej twarzy przesyt i duma, gwałtowność żądz, bezwzględność charakteru, ledwie pokryte światową ogładą.

Bardzo elegancki i szykowny, ubrany wykwintnie, był to właśnie bohater chwili, Andrzej Sanicki.

Wzrok jego, trochę chmurny, obiegał salę, spoczął wreszcie na pani Celinie i zamigotał ogniem.

W tej chwili ona się obejrzała, jakby poczuła jego spojrzenie, i nie przerywając gry skinęła mu głową.

Maks Unfried, dobrze wytresowany, wstał natychmiast, podali sobie dłonie i Sanicki zajął jego miejsce. Chwilę rozmawiali we troje, banalnie, potem Maks dyskretnie zajął się sprzeczką wintową i zręcznie się wycofał.

— Wcześniej się zwolnił? — rzekła Celina. Muzyka głużyła rozmowę.

— Za wcześniej. Nie cierpię tych piątków. Czemu nie podają kolacji? Głowa mnie boli szalenie — rzucał przez zęby gniewnie.

— Mogłeś się tu nie pokazywać, iść wprost do buduaru.

— Tak, żeby mi tam znowu wpadła Bella, jak wtedy.

— Nie zdziwiła się wcale.

— Ale ja byłem w głupiej pozycji. Nie lubię tego.

— Widzę, że cię głowa boli, ale to nie z mojej winy. Więc mi nie grymasz.

— A komuż? — uśmiechnął się gorąco.

— Tak, to i owszem. Lubię szampan, nie znoszę wermutu. Cóż tam nowego na łonie rodziny?

— Ano — jutro jedziemy!

— Już? Napiszesz do mnie zaraz po przybyciu?

— Naturalnie.

— A nie skłamiesz?

— Dlaczego?

— Może ci się ona spodoba.

— To napiszę. Albo to pierwszy raz, że mi się ktoś podobał. Wiedziałaś o tym pierwsza.

— To dobrze. Cóż ojciec?

Andrzej brwi zmarszczył. Twarz jego przybierała wtedy tak twardy wyraz, że pytający rad był słowo cofnąć. Pani Celina poprawiła się.

— Musi być rad, i o mnie raczy zapomnieć.

— On o tobie, ty o nim też zapomnij.

Chwila milczenia. Akordy łączyły się w śpiew. Andrzej rozpogodził twarz. Rad by słuchał, ale śmiechy przy stole przeszkadzały mu,

— Co tam Radlicz wyprawia? — spytał niecierpliwie.

— Rysuje karykatury ze znajomych, którzy się dowiadują o twym małżeństwie.

— Zmarnuje się na tych głupstwach próżniak! Nie graj — nie śpiewaj, aż zostaniemy sami.

— Jesteś dzisiaj jak pokrzywa. Boję się ciebie. Spojrzała na niego zalotnie. Spomiędzy purpurowych warg błyskały zęby, oczy pały.

Wstał gwałtownie — spojrzał po ludziach.

— *Quelle corvée* — szepnął przez zęby.

W tej chwili lokaje otworzyli drzwi jadalni, oznajmili kolację, uczynił się rumor. Andrzej, już zupełnie *correct*, począł się witać na wsze strony.

Było jednak coś takiego w nim, że go nikt nie spytał o osobiste sprawy, nikt wzmianki nie uczynił, nie zażartował, nawet fertyczna i śmiała Bella, wesoła rozwódka, która się nikogo i niczego nie lękała, której dowcipy były ostre, zachowanie swobodne i z którą Andrzej był na stopie koleżeństwa.

Po kolacji goście poczeli się przeredzać. Gracze kończyli rachunki, panowie odprowadzali panie, świece dopalały się w kandelabrach, zegary biły późne godziny. Jak zwykle, pozostali najdłużej: Radlicz i pani Bella.

Pani Bella zasiadła do fortepianu i poczęła swawolne francuskie piosenki, którym malarz wtórował. Pani Celina otworzyła drzwi na balkon. Kłęb świeżego powietrza wpadł do salonu i począł zganiać kłęby dymu tytoniowego.

Na balkon za panią Celiną wyszedł Andrzej. Na ulicy było już pusto; naprzeciw, w kamienicy wszystkie okna już ciemne. Nareszcie byli sami, bo o tych dwoje w salonie się nie troszczyli.

Pani Bella grała hałaśliwie, uszczęśliwiona bezwstydem piosenek, Radlicz przywiózł świeżo z Paryża nowy ich zapas...

— Musi mi pan tekst przepisać, ten o rakach szczególnie — zawołała śmiejąc się jak szalona.

— Chodźmy już! Obowiązek spełniony!

— Może dziś mam przepisać, jeżeli wolno odprowadzić — rzekł.

— A naturalnie, dziś dziś! — odparła, zbierając rękawiczki.

Lokaj za nimi zamknął i zarygłował drzwi, i gaz w przedpokoju zgasił. Oni zeszli, nućąc na schodach. Ulice były puste i głucho, ruszyli pod rękę, pieszo, na Mazowiecką.

— Ciekawam, okropnie ciekawam epilogu... tam — rzekła pani Bella. — Cesia głupstwo robi, że to lekko traktuje!

— Bo może i nie bardzo dba — zaśmiał się Radlicz.

— Gorzej, bo zanadto sobie wierzy. Mówiłam jej: strzeż się sakramentu! Wyśmiała mnie. Ano, zobaczmy.

— Ja tylko ciekawym argumentu, jakiego prezes użył, by syna do małżeństwa doprowadzić, a tego właśnie nikt się nie dowie.

— Ba, Cesia nawet nie wie. No, tej młodej pani życia nie zazdrozczę, jeżeli będzie kochała.

— Czyż koniecznie ma kochać męża?

— Takie panny ze wsi są zwykle karmione czarnym chlebem i... cnotami. Ogromnie cieszę się z tego skandaliku... Odegramy w nim rolę, zobaczy pan! Czy aby ładna będzie?

— Nawet tego pani Celina nie ciekawa. Wspomniałem — ramionami ruszyła — *je m'en fiche!* — rzekła. — Co prawda, nawet Andrzej tego nie wie.

— Cesia jest dziwnie lekkomyślna w tym razie. Zdradzić można dla najbrzydszej... żony, a najpiękniejszą dawną dla najszeptniejszej nowej.

— „W miłości nie ma zdrady, jest tylko wieczny ruch” — deklamował Radlicz dzwoniąc do bramy.

I tak tych dwoje najzaufańszych niewiele więcej wiedziało od reszty znajomych. Nie wiedziała też słowa zagadki pani Celina.

Przed kilku miesiącami, bez żadnego wstępu, bez wahania, bez widocznej zmiany usposobienia, Andrzej pewnego wieczoru rzekł spokojnie:

— W tym roku mam się ożenić.

Ona, zawsze panująca nad sobą, zawsze przytomna, rzuciła obojętnie:

— Tak? A wybór uczyniony?

— Ja wybrałem raz na zawsze — ciebie. Żonę — wybiera mi ojciec.

— Ojciec? Więc pogodziliście się?

— Nigdyśmy się nie kłócili. Ludzie o tym mówili, my nigdy. Naszych spraw rodzinnych nie powierzamy nikomu. Mówiłem ci, że może na uczucie nasze przyjsć czas próby. Przyszedł — ja się nie boję — a ty?

— Jam ci nigdy nie odbierała swobody. Byliśmy względem siebie szczerzy i prawi. Nie robiłam ci nigdy scen ani piekła w domu. Będiesz tu zawsze panem i ukochanym, dopóki zechcesz.

— Dziękuję ci i całym życiem zapłacę.

— Nie masz za co dziękować i płacić. Wszystko jest twoje i nie ja ci w czymkolwiek się sprzeciwie, bo przecie czujemy jedno za drugie. Któż jest tedy ona?

— Nie znam, nie wiem, nie ciekawym. Ojciec wybrał.

— Ale się zgadzasz? Dobrze jest wiedzieć, z kim się będzie miało do czynienia. Żyć przecie będziesz pod jednym dachem, obcować codziennie! Brr!

Wzdrygnęła się i pobladła, ale zapanowała znowu nad sobą i rzekła poważnie:

— I jakże, i ty potrafisz jej kłamać uczucie! Po co? Dlaczego?

— Jam nigdy nie kłamał i nie skłamię.

— Więc któraś się zgodzi, prawdę wiedząc?

— To rzecz ojca. On wie, jakim jestem, że ustępstwa żadnego od honoru nie uczynię.

— Szkoda mi ciebie. Bardzoś młody i niedoświadczony, gdy tak lekko do tego przystępujesz.

— Czy lekko, to ja wiem, alem nie zwykł się uchylać od żadnego zobowiązania. Byłem może kiedyś lekkomyślny, dziś nie. Ale to nasze rodzinne sprawy. Nie ma nad czym rozpaczać, stało się.

Pani Celina zrozumiała, że temat był wyczerpany, że ani słowa więcej rzec nie można, że teraz trzeba użyć całej delikatności i sprytu, by go nie urazić, by wpływ utrzymać, bardziej wzmocnić. Znała go doskonale od wielu lat, wiedziała, co czynić. Te dwa miesiące uczyniła mu jedną pieśnią rozkoszy i miłości.

W dzień wyjazdu prezes trochę niespokojny szedł do syna. Nie sprzeciwiał się Andrzej nigdy, tylko termin odkładał, przedłużał, zwlekał.

Zastał go zajętego pakowaniem rzeczy — i odetchnął.

— Zatelegrafowałem o konie — rzekł.

— Gotów jestem — odparł syn.

Zmierzyli się badawczym wzrokiem, i prezes dodał po francusku z naciskiem.

— Ufam ci zupełnie, że dotrzymasz słowa.

— Niezawodnie. Tylko ojciec wie warunki. Uśmiech dziwny przemknął przez oczy prezesa.

— Wiem — odparł. — Bądź spokojny. Nie przegrywałem nigdy spraw jeszcze bardziej skomplikowanych.

Andrzej brwi zmarszczył. Ten uśmiech go gniewał i drażnił.

— Kiedy i gdzie jedziemy? — zagadnął szorstko.

— Za godzinę — nadwiślańską, niedaleko, ośm stacyj.

— Mam urlop z biura na trzy dni.

— Wystarczy — na pierwszy raz.

— Jak to? Na pierwszy raz? Więc ileż razy myśli ojciec mnie tam wozić?

— Ja tylko ten raz. Potem będziesz jeździł sam. Chyba chcesz się zaraz oświadczyć.

— A naturalnie.

— Tyleś czasu odkładał. Myślałem, że zechcesz jeszcze przedłużyć swobodę.

— O, ja jej wcale tracić nie zamierzam i potem. Wolę sprawę co rychlej załatwić.

— Jak sobie chcesz. Jedźmy tedy. Po drodze opowiem ci, gdzie jedziesz i do kogo.

Andrzej nie zdawał się być ciekawym. Wsiadli do powozu i ruszyli. Mieli mnóstwo znajomych i co chwila spotykali kogoś. Gdy po raz może dziesiąty uchylili kapelusza, młody człowiek wybuchnął:

— Mógł ojciec na tę śmieszłą wyprawę wybrać nocny pociąg. Każdy, kto na nas spojrzy, nawet nie ukrywa uśmiechu. Dostaniemy się na języki wszystkich dowcipnisiów i będziemy niezawodnie figurowali w niedzielnym „Kurierze Świątecznym”.

— Nie możemy tam przyjechać wśród nocy przecie. Ośm stacyj kolei, potem dziewięć wiorst końmi. Zresztą, mój drogi, nie pierwszy to raz będą mówić o tobie. Nie żyłeś jak fijołek i lilia.

— Ale nie byłem śmieszny. A! żebyż to się raz skończyło. Czy ta panna wie, w jakim celu przyjeżdżamy?

— Wie. Ojciec jej powiedział i ja się z nią rozmówiłem.

— Czy to być może?!

— Tak.

— I zgadza się? Słodkie musi mieć życie w domu. Prezes nic nie odrzekł, bo byli już na dworcu. Załatwił bilety sam i dopiero gdy wsiadli do wagonu, i pociąg ruszył, zapalił cygaro, wygodnie się rozsiadł, i począł mówić, jakby przerwy między zapytaniem syna a odpowiedzią nie było.

— Zapewne, że żywot ma niesłodki. Ojciec jej przed pięciu laty ożenił się po raz wtóry z panią Tomkowską, bardzo bogatą wdową, po tym Tomkowskim, u którego trzymał w dzierżawie folwark i zarządzał jego interesami. Głupstwo palnął, z płatnego oficjalisty przeszedł na bezpłatnego. Po co? sam nie wie. Proponowano mu świetne posady, bo człowiek to bardzo zdolny, uczciwy i fachowiec. Ano — przyznał mi się, że żał mu było rzucać swą pracę innemu. Przywiązał się do tych dóbr, upoiła go złuda dziedzictwa — i poszedł ze służby w niewolę. Ale ty go znasz nawet, bywa przecie u mnie. Kolegowaliśmy w szkołach i choć się rzadko widzujemy, przyjaźń pozostała. Nazywa się Szpanowski.

— Taki suchy, śniady brunet, opalony jak cegła? — wtrącił Andrzej.

— Ten sam. Był żonaty z Ostrowską, daleką naszą krewną. Umarła ona w dwa lata po ślubie zostawiając córkę Kazię. Ta Kazia — to ona.

Mimo woli Andrzej słuchał uważnie. Prezes sięgnął do pugilaesu i podał mu fotografię.

Była to fotografia z małego miasteczka, nędzna, blada, a wyobrażała dziewczynę źle ubraną i niezgrabną, stojącą sztywno przy tekturowej, obrzydliwej dekoracji fotografa jarmarcznego zapewne.

Była chuda, śniada, bez wyrazu na twarzy ściągłej i prawie dziecinnej. Stała tak sobie, bez żadnej pozy, z obwisłymi ramionami, patrząc wprost przed siebie. Oczy — miała ciemne i łagodne i gruby warkocz przerzucony przez ramię.

Andrzej popatrzał i obojętnie fotografię zwrócił.

— Cóż? Jakże ją znajdujesz? — spytał prezes.

— Okropna.

— Takąś chciał mieć. Odpowie wszelkim twym wymaganiom. Będzie spokojna, poważna, dobra i cicha. Zgadza się na wszystko, zrozumie swe położenie i nigdy poza granice nie wyjdzie. Dla ciebie będzie wygodna, a ja ją będę okrutnie lubił.

Andrzej się zdziwił zapałowi ojca. Nie słyszał nigdy, by prezes nad kimś się unosił. Uśmiechnął się lekko.

— Widzę, że ojciec już ją dobrze zna.

— Ano — tobie się zdaje, że ci obojętne, kogo w dom wprowadzisz. Dla mnie nie, przyznaję. Myślisz, że się bał twego romansu? Nie, bałem się, byś nie wybrał panny na wydaniu, w karnawale. Teraz jestem rad i spokojny.

Andrzej ramionami ruszył; coś w tonie ojca go gniewało. Była to wciąż pewność jurysty, który wie, że sprawę wygra.

— To dziwne jednak, że tego ideału dotąd nikt ojcu nie sprzątnął — wtrącił ironicznie.

— Dziewczyna ma zaledwie dwadzieścia lat i ani grosza posagu. Hodowała się na folwarku dzierżawnym, w kącie głuchym, w pracy od dziecka. Ojciec ją oddał do klasztornej pensji w Galicji, ale po dwóch latach odebrał, bo się obejść bez niej nie mógł. W rok potem się ożenił i razem z nim poszła na bezpłatną służbę do Tomkowskiej. Jakaś rzekł, niesłodki ma żywot, od czasu zwłaszcza, gdy się tam urodziła córka. I ojciec, i ona cierpią jedno za drugie. On na wszystko się zgadza, byle na dziecka poniewierkę nie patrzeć, ona gotowa na jeszcze gorszą dolę, byle on nie widział jej utrapień. I tak, mój drogi, nie ma trudności nie do rozwiązania. Myślałeś, że dasz mi zagadkę bez odpowiedzi. Ano — przegrałeś raz pierwszy.

— Jeszcze nie po ślubie. Jeszcze ja się rozmówię — mruknął Andrzej.

— Nie powiesz jej więcej niż ja! Zresztą, o co się spierać? Lepszej nie znajdziemy nigdzie. Przyjdzie czas, gdy mi podziękujesz.

Syn począł dobywać gazety poranne. Po chwili obydwaj zagłębili się w czytaniu. Temat był wyczerpany.

Na świecie był kwiecień; pola jeszcze szare, pługami poorane, gdzieniegdzie ledwie zieleniec poczynały. Pociąg mijał łąny dobrze uprawne, porządne dwory, ludzi pracujących na roli, gaje i sady kwitnące. Przez okna wagonu wpadał kłębami świeży podmuch wsi, więc prezes rychło gazetę rzucił i rozglądał się po okolicy.

— Mało znasz wieś — rzekł do syna. — Zobaczysz ją

z najlepszej strony, bo i pora uroczą, i Gurów — dwór Tomkowskiej, tj. Szpanowskich; jest jednym z najlepszych gospodarstw w kraju. Tam już nie sielanka i nie dyletantyzm, to już fabryka rolna, bardzo rozumnie prowadzona. Nie znam się na tym, ale chylę głowę, bom widział rachunki Szpanowskiego. Zdumiewające ma rezultaty.

— To ten Gurów, skąd Jasiński ma konie?

— Ten sam. Stadninę mają jedną z pierwszych w kraju. Pokaże ci ją Szpanowski, bo ma słabość do koni.

— Więc zabawimy ile? — zagadnął Andrzej niespokojnie.

— Ano — nie mniej jak do jutra wieczór. Zdaje mi się, że to niezbyt długo.

Andrzej powrócił do gazety, ale czytał nieuważnie. Mimo wszystko ta wyprawa, im bliżej celu, tym gorzej go drażniła.

— Jeśli ojciec już grunt przygotował, to ślub może odbyć się jeszcze w maju — rzekł po chwili, zapalając papierosa i mnąc nerwowo gazetę.

— Naturalnie. Im prędzej, tym lepiej. Dom mamy urządzony, papiery w porządku.

— I znajomych mniej latem. Mam nadzieję, że do jesieni wyczerpią nasz temat i znajdą nową pastwę dla plotek.

— Możecie wyjechać gdzie na lato.

— Razem? Dziękuję! — oburzył się Andrzej i posepnie umilkł.

Przypomniał sobie zresztą wiosnę, którą spędził z panią Celiną na Capri. Parę miesięcy marzeń, szczęścia, śpiewu i rozkoszy. Teraz, jakże trudno będzie idyllę tę powtórzyć. Niepodobna!

A pociąg pędził i pędził, coraz bliżej złowieszczego celu. Odebrano już bilety, prezes prostował zeszytniałe członki i także niespokojny chodził od okna do okna.

Andrzej przetarł dłonią czoło i oczy, — wzdrygnął się i spod brwi spojrział na ojca.

— Właściwie matka dała mi termin do października — rzekł nieśmiało. — Dlaczego się śpieszymy tak bardzo?

— Dlatego, żeś się zgodził na to sam przed dwoma miesiącami i ja zaangażowałem swoje słowo — odparł spokojnie prezes.

Syn głowę spuścił. Był to ostatni protest.

Pociąg zwalniał już i zatrzymał się wreszcie.

Prezes przez okno się wychylił i kiwnął głową służącemu w liberii.

— Konie są? Weźcie rzeczy — rzekł.

Sługa, niemłody już człowiek i snadź rzeczy świadomy, spojrział ciekawie na Andrzeja, zbierając tłumoczki.

— Jest co w brankardzie do odebrania? — zagadnął.

— Nie. Państwo w domu?

— Czekają z herbata.

Przeszli przez stację, oglądani ciekawie przez tłum Żydów i gawieź rozmaitą. Zdawało się Andrzejowi, że i tu widzi miny dwuznaczne. Rozdrażnienie jego rosło.

Gdy wyszli na podwórze, już wolant gurowski stał przed gankiem. Cztery siwki bardzo rasowe, stangret z wąsiskami jak wiechy, powozik jak z igły. Gawieź poczęła im z drogi się usuwać z widocznym szacunkiem. Andrzej odetchnął. Ruszyli. Minęli miasteczko liche i wydostali się między pola. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ludzie kończyli roboty, od gajów i sadów szły cudne wonie.

Andrzej się uspokajał spokojem i pogodą otoczenia.

Stać się to musi, dał słowo matce, teraz ojcu, życie się jakoś urządzi, wszyscy się przecie żenią, a iluż z miłości. Nie wyglądają oni jednak jak ofiary i męczennicy.

Drogą przed nimi jechał parobczak z galicyjska przybrany, na drabiaku, zaprzężonym w spaszę dwa siwe mierzyny. Jechał i okrutnie śpiewał. Stangret krzyknął, by ustąpił, ten ino batem śmignął i dalej gnał z góry.

I słychać było, jak z fantazją śpiewał.

*Siwy konik, siwy, malowane siodło,
Jakież mnie też licho do dziewczyny wiodło.*

Minęli go przecie i stangret mu batem pogroził. A ten się roześmiał tylko, błyskając zębami białymi i oczyma jak bławatki. Prezes do kieszeni sięgnął i rzucił mu rubla.

— To z Gurowa człowiek? — spytał stangreta.

— Nasz fornal, Stacho, co masło do kolei dostawia — odparł służący. — Pan go z Galicji wyrostkiem przywiózł. Tyle lat służy, to się rozbestwił.

— To już na gurowskich jesteście gruntach?

— A już, od lasu granicemy minęli.

Stacho fornal na boczną drogę skręcił, do folwarku, który czerwieniał swymi murami wśród pustych pól.

Olbrzymie obory tworzyły czworobok, ludzie się kręcili tu i tam, zadając wieczorną paszę, w budynku u bramy rozlegał się gwizd centryfugi.

Przez otwarte okno tego budynku wyjrzała na turkot furgonu młoda dziewczyna w szafirowej płóciennej bluzie i zawołała Stacha.

— Masz kwit?

— Mam, proszę panienki.

— Dawaj żywo! Czegoś się spóźnił?

— Olaboga! Anim chwilczyny nie zmitrężył. Stangret Paweł może świadczyć, co po warszawskich gości jeździł.

Chłopak ku stajniom ruszył i po chwili wrócił z kwitkiem w garści.

— Gałantom zdał — wzięli za to dziewięć złotych, a tyle mi oddali — rzekł kładąc na stoliku trochę srebra i miedzi.

Dziewczyna obejrzała kwit, wciągnęła go do ksiąg, których stos leżał na stoliku, odrachowała pieniądze, wpisała rozchód, śpiesząc się bardzo.

Stacho stał i patrzył, mnąc w rękę rubla.

— Możesz iść — rzekła, oczu nie podnosząc.

— Konia panience zaprzęgać? — spytał.

— Naturalnie! Żywo.

— Ja chciałem panience coś pokazać — uśmiechnął się. Spojrzała na niego.

— Dostałem od tych gości, co do dworu pojechali — rzekł pokazując rubla.

— Za co? — zdziwiła się.

— Albo ja wiem. Jechałem se śpiewający, minęli mnie, było dwóch, jeden stary, drugi młody. Ten stary rzucił mi papierek.

— No — było podziękować — rzekła chmurno zbierając kapelusz i rękawiczki.

Stacho głową pokręcił. Z tą swoją panienką był on trochę kolegą. Gdy go malcem przywieziono z Galicji, sierotę, szukali razem gniazd w sadzie, a potem ona go czytać i pisać uczyła.

Dziś na stacji Paweł stangret gadał z lokajem, że po kawalera do panienki przyjechali.

Stacho chciał się koniecznie dowiedzieć, czy to prawda, a jakoś nie śmiał. Panienka była gniewna czy zmartwiona, nie chciała rozumieć.

Pokręcił Stacho głową, westchnął i poszedł konia zaprzęgać.

Młoda dziewczyna rozmówiła się jeszcze z pisarzem i dozorcą mlecznym i wyszła przed sień.

Stacho już zajeżdżał jednokonną bryczką.

Wsiadła do niej i ruszyła za bramę. Koń znał drogę, codziennie dwa razy ją odbywał, o świcie i późnym wieczorem.

Dziewczyna tedy nie kierowała nim i wolno puściwszy lejce rozglądała się po polach.

Wiedziała, kto są goście i w jakim celu przyjeżdżają, że tam czekają na nią, że się opóźniła, czekając na Stacha, przecie się nie śpieszyła. Wzrok jej spoczął na kępce drzew na horyzoncie i wahała się.

Nagle targnęła lejce, skręciła konia i tęgim klusem ruszyła ku tej kępce drzew, pozostawiając Gurów na stronie. Spóźni się jeszcze o godzinę, ale być tam musi dziś jeszcze.

Łuny zachodu już gasły, przejrzysty, cudny zmierzch ogarniał krajobraz, po gajach zawodziły słowiki.

Smagłe policzki dziewczyny pały ogniem, usta kurczyły się bólem, oczy były pełne łez.

Połną drożyną sprostowała odległość i wjechała na podwórze gęsto krzewami zarosłe, pod drewniany stary dom, stojący wśród dziczalego sadu.

Na ganku stara kobieta siedziała samotna.

— To ty, Kaziu — zawołała zdziwiona. — Skądże... w roboczy dzień, wieczorem. Jakżeś się uwolniła?

Dziewczyna uwiązała konia do ganku i stanęła przed nią dysząc, jakby pieszo tu biegła.

— Wcalem się nie uwolniła. Jadę z Porębów do dworu. Zboczyłam do babci, na chwilę, po ostatnie słowo. Prezes przyjechał z synem po ostateczną decyzję.

Umilkła chwilę, połknęła może łzy.

— Czy on już naprawdę nie wróci, babcia? — szepnęła. Staruszka potrząsała głową żałośnie.

— Oj nie, oj nie! — odparła głucho.

— Bo ja mu przecie łamię wiarę — ponuro rzekła dziewczyna. — Babcia choć nie wierzy, chroni mu przecie ten dom i szmatek ziemi... i czeka... a ja... mam zdradzić?

— Moje dziecko, nie nam się równać! Ja jego nie czekam, ale dni dożywam. Ja już nie mam obowiązków, jam swoje odbyła, odcierpiała, odpracowała. Tobie trzeba swoje spełnić. Ty nie zdradzasz, ty nie łamiesz wiary; ty musisz życie przeżyć...

— Babcia wie, że gdyby nie ojciec, zniósłabym stokroć więcej jeszcze. Ale patrzeć nie mogę na jego wyrzuty i zgryzotę. Muszę zejść z oczu pani Tomkowskiej. Wiem, że to, co mnie czeka, jeszcze będzie gorsze, ale przynajmniej ojciec nie będzie codziennym tego świadkiem.

Zamilkła, smutnymi oczyma patrząc przed siebie.

— Żeby choć wieść, że on żyje, żeby choć we śnie — szepnęła ponuro.

— Gdyby żył, wieść by była. Grób tylko milczy. Ty, dziecko kochane, z czystym sumieniem ofiarę spełnij. Ojciec ci pierwszy.

— Babcia mnie w sercu zachowa?

— Jak wnuczkę jedyną.

Dziewczyna przypadła do jej kolan i łkała długą chwilę. Potem się podniosła, otarła łzy i ucałowałszy ręce staruszki, milcząc, zeszła z ganku.

— Przyjedźże prędko — pożegnała ją łagodnie.

— Jutro wieczorem.

Koń ruszył. Dziewczyna już nie dała sobie roztkliwiać się. Wolę miała bardzo silną, postanowienie stałe. Gdy wjeżdżała w podwórze Gurowa, była zupełnie spokojna, prawie wesół. U bramy niespokojny czekał na nią ojciec. Już trzeci raz odchodził od gości, wyglądał jej przybycia.

— Nareszcie! — odetchnął. — Chodźże prędej. Prezes się ciągle o ciebie dopytuje. Przyjechali już dawno.

— Muszę się przebrać chyba.

— Tylko prędko.

Zawołał stajennego, by konia odprowadził, i poszli razem do oficyn.

Dom mieszkalny był jasno oświetlony, dwór cały obszerny, ślicznie zbudowany, luźny i zamożny. Kazia mieszkała w oficynie, z woli i rozkazu jasnej pani, która nienawidziła pasierbicy i trzymała ją jako płatną sługę. Co prawda, antypatia była wzajemna, tylko Kazia umiała ją ukryć dla ojca.

Szpanowski wszedł za córką do jej mieszkania i podczas gdy ona zmieniała bluzę roboczą na niedzielną sukienkę, stał u stolika, zapatrzony w płomień świecy, zamyślony, stroskany.

— Młody Sanicki bardzo przystojny i gładki — zaczął wreszcie wahajaco — ale ma coś w sobie... czy ja wiem, coś innego, ostrego. Kaziu, jeśliby ci się nie podobał... zlituj się... nie idź... Ja się tak boję o ciebie!

— Otóż znowu tatko wynalazł sobie troskę — odparła prawie śmiejące — Przecie Sinobrodym tylko dzieci straszą. Jeśli podobny syn do ojca, tom gotowa do jutra się już zakochać.

Szpanowski odetchnął. Jakby cień zszedł mu z twarzy.

— Ty poczciwości! A pokaż no się, czyś ładna?

Obrócił ją do światła i z miłością patrzył.

Kazia była wysoka, trochę za chuda, niezbyt zgrabna, miała twarz mocno opaloną, oczy ciemne i poważne i ogromny warkocz, opleciony bez pretensji wkoło głowy. Sukienka niedzielna, źle skrajana, nie ubierała, lecz szpeciła ją jeszcze. Ale Szpanowski tego nie widział, a ona o to nie dbała. Byle było czyste i całe.

— Chodźmy — zawołał, całując ją w czoło.

Z oficyn sto kroków było do pałacu. Przeszli milcząc, obojgu biło mocno serce.

W jadalni lokaje nakrywali do wieczery. Z salonu rozlegał się silny, dźwięczny głos prezesa i gruby śmiech pani domu.

— Ten nieoceniony prezes ze swym humorem — szepnął Szpanowski. — Od trzech godzin prawi, aż wszystkich rozruszał.

Znaczyło to, że i macocha była wesoła, co się nigdy nie zdarzało. Kazia uśmiechnęła się gorzko, nieznacznie.

Szpanowski drzwi otworzył. Jasne światło olśniło na chwilę dziewczynę, szumiało jej w głowie, nie wiedziała, co ma dalej ze sobą robić, jak się poruszyć, i zatrzymała się u progu, czując się beżmiernie głupią i nieszczęśliwą.

Ale prezes czatował na tę chwilę, frazes urwał, podniósł się żywo z fotelu i szedł do niej uśmiechnięty, uradowany, z gotowym słowem.

— Witam panią. Dopominam się od godziny. Ale młodym do starych nieskoro. Panna Kazimiera nie dba o mumię prezesa. Za karę przywiozłem swoją młodszą edycję. Pani pozwoli przedstawić sobie mego jedynaka. Proszę dla niego o sympatię.

Od stołu, gdzie przerzucał ilustracje, Andrzej wstał, składając ukłon „stylowy”. Przy tym jednym spojrzeniem objął postać dziewczyny i spotkał na sobie jej wzrok spokojny, poważny.

Egzamin trwał sekundę, potem Kazia nieśmiało podała mu rękę bez, słowa. Nie umiała zdawkowych frazesów.

— Pani, jak zwykle, zajęta. Jak to dobrze, że jutro święto. Skorzystamy przecie z pani towarzystwa — mówił prezes.

Kazia spojrzała po salonie. Macochy nie było.

— Kiedy bo ja i w święto mam zajęcie — rzekła spoglądając ku ojcu.

— Jutro robimy sobie wakacje — rzekł Szpanowski. — I panowie chcą obejrzyć gospodarstwo, urządzimy tedy wielką lewic i paradę naszej polnej armii.

— Ano, to będę wolna — uśmiechnęła się Kazia.

— Pani lubi wakacje? — spytał Andrzej.

— O lubię! — rzekła szczerze.

— To dowód młodości.

— Niekoniecznie. To dowód, że mam po czym odpoczywać.

— Racja — zawołał prezes.

— Ja siebie do próżniaków nie liczę — zaprotestował Andrzej. — Pracuję także w biurze technicznym, ale żebym mi; znowu tak bardzo cieszył z niedzieli... to nie.

— Bo pan ma ich pięćdziesiąt dwie na rok, a my na wsi żadnej — odparła Kazia.

— Jak to? Przecie na wsi także na ten dzień przerywa się roboty.

— Na roli. Ale inwentarz potrzebuje co dzień starania. Przeróbka nabiału nie przerywa się nigdy.

— Tak, tak, nasze zajęcie to rozwiązanie kwestii *perpetum mobile* — zaśmiał się Szpanowski.

W dalszych pokojach rozległ się płacz dziecka i zaraz pniem głośne, dosadne strofowanie pani domu.

Mimo woli rozmowa się urwała i była sekunda przykrego milczenia. W tej chwili pani weszła do salonu niosąc na ręku swą jedynaczkę.

— Prezentuję panu moją dziedziczkę — zawołała do prezesa.

Śliczny, rozkoszny dzieciak! Jakie oczy! — zachwycił się prezes tak czelnie, że Kazi krew uderzyła do twarzy ze strachu, że się macocha obrazi.

Dziecko było szpetne. Z wielką głową, bezkształtnymi rysami, blade, anemiczne, grymaśne snadź i rozpuszczone bezmiernie. Było rzeczywiście kopią matki. Nos zadarty, policzki płaskie i szerokie, oczy małe i blade. Tylko matka była czerwona i zdrowa, wysokiego wzrostu i otyła, a kopia prócz brzydoty miała jeszcze niezdrowie i wątrość.

Kazia niepotrzebnie się lękała. Pani Szpanowska połknęła jak cukierek komplementa prezesa i uśmiechnięta, pożerała rozkochanym wzrokiem małą szpetotę. Była to jedyna istota, którą kochała, oprócz siebie.

— No, Zosieńko, podaj panu rączkę, przywitaj się. Ale Zosieńka popatrzała chwilę na prezesa, wykrzywiła się i pokazała mu język.

— A pfe! — upomniała ją matka, całując przy tym.

— Rozkoszna psotnica. Szczęśliwy wiek szczeroci — zauważył uprzejmie prezes.

— Głupiutkie to jeszcze, a przy tym służba uczy nie wiedzieć jakich zbytków. No, pobaw się, Zosiu.

Postawiła ją na ziemi i rzekła do wystrojonej piastunki, która ją chciała wyprowadzić:

— Zostaw panienkę i możesz odejść. Niech się dziecko uczy bawić samo. To rozwija samodzielność.

— Ma pani dobrodziejka zupełną rację. Samodzielności brak młodemu pokoleniu — potwierdził prezes i zaraz, jak z rękawa począł sypać przykłady rozmaitych systemów wychowania.

Kazia usunęła się na drugi koniec salonu i usiadła przy stole, gdzie Andrzej przerzucał czasopisma.

Znaleźli się odosobnieni i sami, bo Szpanowskiego odwołano do rządcy. Szukając tematu, by rozmowę zagaić, młody człowiek ze złośliwym, dyskretnym uśmiechem śledził zabawę małej gurowskiej dziedziczki.

Mała, zostawiona sobie, poszła przede wszystkim do kosza pełnego kwitnących, cieplarnianych roślin, strojącego parapetowe drzwi do ogrodu, i poczęła pełnymi garściami rwać liście, kwiaty, całe rośliny, rzucała je sobie pod krzywe, niezdarne nogi i deptała po nich.

Andrzej spojrział na Kazię. I ona przypatrywała się tej zabawie. Zarumieniła się ze wstydu i podeszła do dziecka. Pochyliła się nad nią i łagodnie wyjęła z rąk cały hiacenc z cebulą.

— Nie psuj kwiatków, to je boli — rzekła prawie prosząco. Dziecko nagle wrzasnęło dzikim głosem, rzuciło się do niej, wyrwało kwiat.

— Co to, Zosieńko? — zerwała się matka i nagle do furii podobna tupnęła nogą.

— Po co dręczysz dziecko? Jak śmiesz! — krzyknęła na Kazię, — Zerwała kwiat. Niech rwie. To wszystko do niej im leży. Ona tu pani. Biedna Zosieńko... no, nie płacz — nie — rwij kwiatki. Zrób sobie bukiet. Wolno dziecku, wolno!

Kazia blada, przerażona, cofnęła się bez słowa.

Wróciła na swe miejsce, pochyliła głowę i widział Andrzej, jak drżała całym ciałem.

Tedy nagle rozmowę zagał, popchnięty żądzą wydostania się stąd co najprędzej.

— Pani wiadomy cel naszej wizyty. Zdaje mi się, że im prędzej się porozumiemy, tym lepiej. Z woli ojców naszych i losu jesteśmy sobie przeznaczeni.

Mówił prędko, niższym głosem, nie patrząc na nią. Gdy skończył, oczy podniósł. Kazia już zapanowała nad sobą, spotkał jej wzrok spokojny, poważny.

— Ojciec pana mówił ze mną — odparła. — Alem ja mu nie powiedziała nic o sobie, co panu powiedzieć będę obowiązana.

Zdziwił się, prawie przeraził.

— Musimy tedy sobie poczynić obustronne zwierzenia — odparł, uśmiechając się z przymusem. — Czy mamy zaraz zacząć?

— Sądzę, że nie. Za chwilę podadzą kolację, a tutaj, to trudno.

— Zatem jutro poproszę panią o godzinę rozmowy.

Kazia, zamiast odpowiedzi, porwała ze stołu lampę. Był wielki czas, bo właśnie Zosia uchwyciła za róg makaty, którą stół był nakryty, i ledwo Andrzej miał czas się usunąć, wszystko, co było na stole: książki, gazety, albumy, porcelanowy wazon, kryształowa patera na bilety, popielniczki, noże do papieru, skrzynka z cygarami, z wielkim hałasem i brzękiem spadło na ziemię, a razem z tym upadła Zosia, podnosząc natychmiast wrzask piekielny.

Na to nawet prezes nie znalazł komplementu, a jako amator i zbieracz starożytności załamał ręce nad skorupami sewskiego wazonu.

Pani Szpanowska przypadła do dziecka.

— O mój Boże! Skaleczyła się!

Dziecku mc się nie stało, ale wiedziało, że za wrzask dostanie cukierków. Używało tedy, aż Andrzej mimo woli uszy zasłonił.

Szpanowska zwróciła się do Kazi.

— Nie mogłaś biedactwo zatrzymać? I owszem! Na życie jej nastajesz! Umyślnie lampę zdjąłeś, żeby straciła opór i upadła. Marysia, zabierz panienkę. Zaraz zimnej wody do główki. Przepraszam pana. O, mój Boże! Może być wstrząśnienie mózgu! — II wyniosła dziecko.

W tej chwili wszedł Szpanowski, za nim lokaj.

— Co się tu stało?

— Mój łaskawco! Najcenniejsza marka! — odparł prezes stojąc w żalosej pozie nad szczerbami wazonu. Obejrzał się, że pani nie ma, i ciszej dodał, by tylko Szpanowski słyszał.

— Zlitujcie się! Kata sobie chowacie!

— Ja? — Szpanowski gorzko się uśmiechnął. — Ja ani chowam, ani tu co znaczę. Wiem, co będzie, ale zmienić nie mogę i tyle pociechy, że pewny jestem, iż nie dożyję owoców tego systemu.

Usunęli się do kominka i rozmawiali dalej półgłosem, spoglądając na młodą parę.

Lokaj tymczasem sprzątał trofea samodzielności Zosi, a Andrzej już swobodniej zagaił rozmowę z Kazia.

— Pani zapewne zna Warszawę?

— Nie byłam tam nigdy.

— Nie może być! — zdumiał się, uszom nie wierząc.

— Tak się złożyło. Chowałam się bez matki, ojciec był zawsze bardzo zajęty. Bywał w Warszawie chwilowo sam, bobym mu zawadzała tylko. Potem spędziłam kilka lat w klasztorze w Galicji. Znam Lwów i Kraków, mamy tam dalekich krewnych, a w Warszawie ani jednej znajomej osoby.

— Niewiele się pani bawiła w życiu?

— Nie. Raz tańczyłam w Lublinie na ostatki. Przyznała się szczerze.

— Ojciec nie lubi zabaw i czasu nie ma. Na zabawy trzeba mieć dużo wolnych chwil, swobodnej myśli i kółko znajomych. A tutaj nie mamy stosunków. Jest kilka domów, gdzie bywa macocha, a ja nie. Gdy tu przyjeżdżają, ja ich nic widuję. Dużo jest roboty.

Coraz bardziej pochwalał Andrzej wybór ojca. Z. taką żoną nie będzie miał kłopotu. Nie będzie wiedziała nawet, co znaczą wymagania.

— Więc nie lubi pani zabaw?

— Nie. To, co się tak nazywa, jest bardzo bezmyślne. Po tych tańcach byłam tydzień nieswoja i chora. Gdybym miała kiedy wolny czas, lubiłabym czytać, ciągle czytać albo grać.

Urwała, widząc cień niechęci na jego twarzy.

— Ale, broń Boże, komuś! Tak, samej sobie o zmroku. Zresztą, może bym już nie potrafiła. Od klasztoru nie grałam nigdy.

— Pani dobrze klasztor wspomina?

— O! Bo mi tam było, jak w raju. Lepiej być nie może.

— Może pani była jednocześnie z panną Zaleską?

— Z Tunią? A jakże. Siedziałyśmy na jednej ławce. Może pan ją zna?

— Naturalnie. Wyszła za mego przyjaciela Dębskiego. Bywam u nich w Warszawie, i dzielam pani sympatię dla pani Marty. Nie znam dowcipniejszej kobiety i swobodniejszego koleżki.

— Myśmy z nią też kolegowały we wszystkich figlach — odparła Kazia już zupełnie ośmielona.

Twarz jej się ożywiła, oczy świeciły żartem i swawolą. Musiała być bardzo wesołą i dziecinną jeszcze w gruncie. Andrzej zaczął bawić.

— Bagatela! — roześmiał się. — Więc bywają figle w klasztorze? A byli w to zamieszani studenci?

Kazia oburzyła się ogromnie.

— Studenci? Po co? Gdzie? Przecie to na wsi było, a nam wcale studenci nie byli w głowie! O! Pan nie zna klasztorów i ich ducha. Pan wie, że jeśli w książce był zakreślony ustęp, tośmy go nie czytały. Za nic!

— Pani daruje, ale nie wierzę. Jestem pewny, że pani Tunia czytała — roześmiał się.

— I Tunia nie, bo ona wcale nieciekawa była książek. Ja za siebie mogę przysięgnąć.

— Czy i nadal zachowała pani taką siłę woli do zakazanych rzeczy?

— Jeśliby mnie wzięto na słowo, tobym dotrzymała.

— A jakby pokusa była za silna?

— Ja bym się wcale nie dała kusić i nie myślałabym więcej o tym.

— O, pani! To pani jeszcze chyba pokus nie zna. Kazia poczerwieniała aż po białka oczu. Nie były to żadne wyrzuty sumienia, ale prostotę jej i powagę uraził ton ironiczny Andrzeja. Straciła swobodę,

— Co do owych zakreślonych ustępów spytamy o to pani Tuni — mówił dalej żartobliwie. — Jakież tedy figle płatają się po klasztorach?

— O różne! — odparła już sztywnie. — Było nas przecie kilkadziesiąt, konceptu nie brakło.

Urwała i spojrzała spod brwi w głąb salonu. Pani Szpanowska wchodziła i Kazia z daleka czuła jej straszny wzrok na sobie, instynktem bała się sceny.

— Państwo zawsze wieczory tu spędzają razem? — spytał Andrzej półgłosem.

— O nie! Gdzież tam. Przychodzimy tylko na kolację. Ojciec do późna z administracją konferuje, ja u siebie czytam.

— A co pani czyta?

— Obecnie Kalinki *Sejm czteroletni*.

— A przedtem?

— Przedtem miałam Szekspira.

— A powieści?

— Powieści tam nie ma prawie.

— Gdzie? Tam?

— U babci Boguckiej.

— Żyje babka pani?

— Nie, ona mi nie babką. Daleka krewna matki, ale ją wszyscy babcią nazywają, więc i ja tak o niej i do niej mówię. Bardzo, bardzo stara i taka dobra!

— I ma bibliotekę?

— To jej wnuka książki.

W tej chwili otworzono drzwi jadalni, oznajmiając kolację. Prezes podał ramię Szpanowskiej; rozmowa młodych się przerwała.

U stołu mówiono o koniach, o kwestiach ekonomicznych, li uche o polityce. Kazia nie otworzyła ani razu ust. Andrzej składał swą towarzyską daninę pani domu, która szeroko i długo opowiadała o swych stosunkach w Warszawie za życia pierwszego męża, o jego cnotach i zdolnościach, o stracie, jaką z jego śmiercią poniosło społeczeństwo, okolica i ona sama.

Andrzej słyszał od ojca, że nieboszczyk Tomkowski zrobił fundusz przypadkowo na akcjach, że był mniej jak nieroztropny, że fundusz utrzymał i potroił Szpanowski, że pożycie państwa Tomkowskich było nieustającą domową wojną, a stosunki w Warszawie ograniczały się do wełnianego jarmarku i bywania w teatrze.

Ale słuchał uprzejmie i udawał, że we wszystko wierzy.

Szpanowski, ten wcale tego nie słuchał. Zapewne umiał na pamięć. Debatował gorąco z prezesem o karygodnym graniu na giełdzie fikcyjnym zbożem.

Kazi kolacja wydawała się bez końca. Zmęczona fizycznie dwunastogodzinnym zajęciem, miała jedno pragnienie; pozbyć się towarzyskiego przymusu, schować się do swej izdebki i pomyśleć spokojnie o tym strasznym jutrze. Takiego lęku doświadczała w klasztorze, gdy coś zrobiła i wzywano ją do przełożonej na morały. Teraz będzie jeszcze gorzej. Musi się spowiadać przed obcym człowiekiem, wyznać mu tajemnicę swą najdroższą. Chwilami miała wielką pokusę milczeć, ale potem wrodzona prawość dokuczała jej nieznośnie. O, wiele by dała żeby już było po tej rozmowie. Była pewną, że wysłuchawszy jej, Andrzej się cofnie i rada była temu. To znowu żal jej było ojca, który się tak cieszył jej zamążpójściem. I tak biła się z myślami.

Nareszcie wstano od stołu. W salonie, gdy Kazia rozmyślała, jak się wymknąć, prezes się do niej przysiadł, zostawiając syna na pastwę pani domu.

— Cóż, nie bardzo straszni warszawiacy? — spytał żartobliwie.

— Pan prezes zawsze się ze mną droczy. Ja Wcale bojaźliwa nie jestem.

— Jużeście się porozumieli?

— Oj, nie! — odparła żałośnie. — Jutro mamy mieć okropną rozmowę.

— Nie ma nic okropnego. On będzie prawić to samo, co już pani ode mnie wie. Niech się pani nie przeraża, to minie jak zły sen. Przyszłość w pani ręku.

Kazia milczała, prezes się przestraszył.

— Niechże pani mnie, starego, nie zawiedzie. Ogromnie już panią kocham, marzę o synowej. Życie pani różami wyściele. Zwycięzimy, pani.

— Dziękuję panu serdecznie. Ale może pan Andrzej mnie nie zechce, gdy lepiej pozna.

Prezes markotnie głową pokręcał.

— Cała bieda w tym, że on ślepy i głuchy obecnie. Gdyby poznać chciał!

Pani domu dała hasło do spoczynku.

Zaczęto się żegnać i Szpanowski odprowadził gości do przeznaczonego dla nich pokoju.

Gdy Saniccy zostali wreszcie sami, prezes ciekawie spojrzął na syna, który ziewał na potęgę.

— No i cóż? Jakie masz wrażenie? — spytał.

— Nie pamiętam, żebym się kiedy tak nudził. Aaa — czuję migrenę i dreszcze. Brr!... A to pańszczyzna!

— Słodkie oni tu mają życie z tą starą. A dziecko! I pomyśleć, że jeśli się to wychowa, będzie milionową dziedziczką, rozrywaną partią!

— Bogu dzięki, nie dla mnie! — ziewnął Andrzej.

— Jakże ci się moja Kazia podobała?

— No — podobać się — to chyba nawet ona nie marzy. Ale, przyznaję, że ojciec wiedział i znalazł, co mi potrzeba, a raczej, na co się zgodzę. Po tym piekle, które tu ma, będzie jej

wszędzie dobrze i wody mi nie zamąci. Ależ to niezgrabne! Dzikie i nieułożone! A ubrane! Gwałtu, kto jej tę suknię krajał i wybierał? — Powiesić takiego majstra!

— Niceście nie rozmawiali?

— A o czymże z tym rozmawiać? Przecie to nawet w Warszawie nie było — mówiliśmy o klasztorze. Zna Dębską, były razem w Galicji. Jeśli już koniecznie mamy się pobrać, niech ojciec namówi Szpanowskiego, żeby z nią do Warszawy przyjechał. Poproszę Dębskiej, żeby ją po ludzku ubrała. Żeby ją kto ze znajomych zobaczył w tej sukni! No!...

Ziewnął jeszcze raz Andrzej i począł się rozbierać.

— Nie rozumiem, jak ci ludzie tak żyć mogą. Bez towarzystwa, cały wiek z bydłem i czeladzią.

— To się mylisz. Szpanowski czyta i myśli, zacofany nie jest; dziewczyna ma także głowę w porządku, jest zdrowa, prosta i prawdziwa. Tornkowska, niby Szpanowska, chciałem mówić, jest koczkodan. Ale tego towaru znajdziesz pełno po świecie.

— Oni wcale rodziny nie mają?

— Nie. I to coś znaczy.

— Nawet wiele znaczy, jak dla mnie.

— Zatem, dogodziłem ci. Jutro Szpanowski urządzi wam a *parte* — rozmówicie się — i wieczorem możemy wracać. Uf, spracowałem się.

I spoczął prezes, syt chwały i trudów.

Nazajutrz zbudziła ich obu cisza. Ni turkotu dorożek, ni dzwonek tramwajów, ni wrzenia ulicy. Andrzej spojrział na zegarek, była ósma. Za oknem śpiewały ptaszki radośnie, słońce zaglądało szczeliną rolety. Wyjrzał tedy przez szybę. Okno wychodziło na sad owocowy, który stał w kwieciu, biały, zroszony, wonny.

Pokój był na piętrze, więc widok był szeroki, bliżej owa biel kwietna, dalej błękit stawów, wreszcie olbrzymi łąn zielonej runi. Het, poza tym widać było czarne pola.

Od pół tych wracał Szpanowski na siwym koniu; dla niego dzień się już rozpoczął ze świtem. Wracał do domu na śniadanie.

Z folwarku wracała też Kazia i spotkali się na drodze. Andrzej oczyma ich przeprowadził, aż mu zniknęli za sadem. A właśnie i prezes się obudził.

— Jak tu cicho! Już nie śpisz? Otwórz no okno! Czy to już późno?

— Myślę, że dla wieśniaków bardzo późno. Ósma. Co za przepyszne powietrze!

— Aha — powietrze jest — ale „Kuriera” nie będzie. Była sesja kanalizacji wczoraj, nie dowiemy się, co uradzili aż jutro.

Lokaj zajrzał dyskretnie. Zawołał go prezes.

— U was już może o obiedzie myślą? — spytał.

— Nie. Pan z panią właśnie przy śniadaniu.

— A pani?

— Pani niezdrowa. Kazała oznajmić, że wcale nie wyjdzie.

— *Quelle chance!* — mruknął prezes — a głośno: — Pani często niedomaga?

— Ej, nie, proszę pana. Ale często nie wychodzi ze swych pokojów. Tak sobie, jako pani.

Miało to zapewne znaczyć: co ma sobie nie dogadzać.

— Państwo każą tu podać śniadanie? — spytał lokaj.

— Ależ nie. Zaraz schodzimy — żywo prezes zaprzeczył. Andrzej, już prawie gotów, oknem wyglądał, nie mogąc się nacieszyć wonią i widokiem.

— Jednakże mają i wieśniacy kęs przyjemności — mruknął.

— Idź, kiedyś ubrany — naglił go ojciec. — Szpanowski wyprawi was do sadu i kończcie.

Syn z westchnieniem usłuchał.

Gdy otwierał drzwi jadalni, usłyszał głos Kazi.

— Już idę, tatusiu. Nie mogłam w niedzielnej sukni chodzić do doju i wydawać ze spiżarni. Zaraz się przebiorę.

Spotkali się na progu, cofnęła się i zmieszała.

Była ubrana w bluzkę płócienną szarą, ściągniętą skórzany ni paskiem. Wydała mu się w tym stroju smuklejszą i zgrabniejszą.

Uśmiechnęła się do niego i podała rękę.

— Dobrze się panu spało? — spytał Szpanowski uprzejmie

— O wyśmienicie, dziękuję! Państwa już widziałem przez okno na drodze. Dzień się tutaj wczesniej rozpoczyna.

— Latem wstajemy o czwartej, zimą o szóstej. To okropne!

— Rzecz nawyknięcia. Pomimo to z dnia na dzień nie można podołać robocie,

Kazia wytłumaczyła sobie, że gdy gość ją zastał w domowym stroju, przebierać się nie ma racji. Nalała mu tedy herbaty, przysunęła ciasto i, usiadła na swym miejscu, oznaczonym pękiem kluczy.

Nigdy nie widział takiej masy drzew w kwiecie. Za ogrodem rzekę państwo mają?

— Nie, to sztuczne stawy... Były tam łąki przerznięte ruczajem. Przed paru laty urządziłem hodowlę ryb. Obecnie daje to rocznie trzy tysiące dochodu. Jeśli pan ciekawy, możemy obejrzeć.

Wejście prezesa przerwało odpowiedz.

— Spóźniłem się. Słyszę, pani niezdrowa. Nic groźnego, dzięki Bogu. Dziękuję pani, co za śmietanka! Bodaj to wieś błogosławiona. Mój pan syn cały ranek z pożądaniem na sad w kwiecie wyglądał. Ręczę, że marzy o spacerze.

— Ano, Kaziu, to zaprowadź pana Andrzeja do ogrodu — rzekł Szpanowski. — Spotkamy was nad stawem.

Dziewczyna wstała posłusznie, chociaż pobladła bardzo, czując, że chwila stanowcza się zbliża.

Wyszli przed dom, okrążyli go i znaleźli się pod cieniem kwitnących jabłoni, których białe płatki obsypywały ich przy lada powiewie, przy trąceniu skrzydeł ptaszycz nieledwie.

Wyżel łaciasty łasił się do Kazi, zdziwiony, że nie może jej namówić do zabawy i wyścigów. Ale ona szła bardzo poważna, objaśniając gościa.

— Ten sad ojciec też urządził, kiedy tu rządcą został. To są całe kwatery jednolitego gatunku. Po sto sztuk w każdej. Tam na lewo są cieplarnie i inspekty, na prawo szkółki, a dalej park.

Schyliła się po fiołki, którymi murawa była pokryta.

— Literalnie można się w nich tarzać — zauważył Andrzej .

— O to jeszcze nic w porównaniu do Szadowa, folwarku, który ojciec dzierżawił i gdzie się urodziła i wzrosła. Tam były murawy fioletowe, a bzy do okien się wciskały. Tam było ślicznie.

Oczy jej zabłysły uciechą.

— A gniazd ile tam było: w głogach, w malwach, w chmielach, pod nogami. Bo sad był mały i dziczyły, ale żyło tam wszystko swobodnie.

— Teraz tam nowy dzierżawca — byłam raz, ale już inaczej. Dzieci ma kilkoro, chłopcy, ptaki nawet ich się boją.

Zebrała bukietek fiołków i poszli dalej. — Pani lubi wieś? — zagadnął Andrzej.

— O, lubię. Chciałabym mieć mały kawałek własnej ziemi, byłabym wtedy szczęśliwa.

— — A jakże pani decyduje się żyć w mieście? — rzekł, ud razu wszczynając główny temat.

— Bo tak trzeba — odparła z prostotą, spojrzała mu w oczy i dodała po chwili namysłu:

— Pan się też decyduje na coś, co nie jest dla pana szczęściem.

— Co ojciec mój mówił pani o mnie? — zagadnął.

— Mówił, że pan kocha bardzo piękną i wykształconą panią, mężatkę, ale że pan obiecał matce ożenić się, że pan jest dobry i delikatny, że ojcu pana pusto i samotnie w domu, że

potrzebuje opieki i starań, i towarzystwa na starość i że mnie polubił. Więc, żebym się zgodziła.

Mówiła spokojnie, szczerze, wciąż patrząc nań swymi łagodnymi, poważnymi oczyma.

— I nic więcej? — spytał Andrzej z naciskiem.

— Nic. Albo może być co więcej? Ja odpowiedziałam, że się zastanowię, i gdy drugi raz przyjechał, zgodziłam się, bo muszę i bom go bardzo polubiła. Żebym miała dość nauki, poszłabym na nauczycielkę, ale nie mam dyplomu, a teraz tyle wymagają. Uczyłam się dobrze i dalej sama się kształcę, ale na dyplom trzeba kursów i egzaminów, a na to nie ma czasu. I zostać tu mi nie sposób, macocha mnie nie lubi, za co ojciec cierpi. Trzeba się usunąć.

Oczy jej stały się bardzo smutne, gdy mówiła dalej:

— Pomyślałam tedy: Gdy odejdę, ojciec będzie miał spokój, on o tym marzy, by mi los zapewnić. A tam u państwa w domu nie będzie mi gorzej niż tu. Wiem, co mnie i czeka, uczucia nie dają, więc i żądać nie mogę, a przecież źli dla mnie nie będziecie. Tylko i ja mam panu coś do powiedzenia.

Zabrakło jej słów i krew uderzyła do skroni.

Stali już nad stawem, na cyplu, gdzie się dwa zbiorniki łączyły z sobą, przegrodzone grobelką i upustem, Z cichym szelestem woda biegła pod ich stopami, a nad nimi płacząca brzoza szemrała drobniuchnym liściem, do wody zwieszając warkocze.

Andrzej zdziwiony patrzył na nią. Chwilę pasowała się ze sobą, potem z rezygnacją skazańca rzekła cicho i nieśmiało:

— Bo i ja, jak pan — kocham kogoś.

Zdumiał się ogromnie i brwi zmarszczył. Spozrzegła to i coś na kształt radości mignęło jej w oczach.

— Zapewne pan się cofnie po tym, ale powiedzieć musiałam.

— A on jest może żonaty? — uśmiechnął się dziwnie.

— Ach, gdzie tam — oburzyła się, tak jej prostocie wydawało się to anormalnym i grzesznym.

— A zatem nie kocha pani? — badał, czując nielogiczny gniew i oburzenie, zamiast logicznego zadowolenia.

— Owszem i on mnie kochał, ale jego już nie ma.

— Więc umarł?

— Nie wiem, zginął, może nie żyje. Już trzy lata bez wieści wyjechał. Z Warszawy wyjechał na dwa lata, właśnie egzamin na lekarza złożył, miał osiąść w Lublinie. I tak wszystko się zmieniło. Byliśmy zaręczeni — i powinnam mu wiary dochować. Nazywa się Stanisław Bogucki.

— Bogucki? Pamiętam, słyszałem to nazwisko. Zamilkli i stali zapatrzeni w wodę. Andrzej rozmyślał, walcząc z resztą nielogicznego gniewu. Rozsądek mu wracał. Kazia, zbywszy tajemniczy, odetchnęła swobodniej i cierpliwie czekała wyroku. W głębi duszy pragnęła, by się cofnął.

Ale Andrzej już równowagę odzyskał, ocenił położenie.

— W anormalnych jesteśmy warunkach — zaczął mówić. — Ja ubóstwiam inną kobietę, pani marzy o innym mężczyźnie. Czy sobie nie gotujemy czyścicowego życia? A jednak może by gorzej było, gdybyśmy siebie kochali bez wzajemności. Nie wiem, byłby to może piekielny żywot. Dziękuję pani za wyznanie i szczerłość. Oboje nieszczęśliwi, uszanujemy swe niedole. Proszę panią o rękę.

Kazia przeraziła się teraz dopiero. A zatem stało się. Tamten umarł, ona go w tej chwili grzebie.

Jeszcze raz spróbowała się wycofać.

— A jeśli ta pani owdowieje? — szepnęła.

— A jeśli on wróci? — odparł.

Potrząsnęła głową.

— To co innego. Gdy wejdę do domu pana, już dla niego nie żyję.

— O jakże pani nieznaną rzeczą jest miłość! — zawołał gorzko,

— Owszem. Ale dla miłości nie wolno być nieuczciwą — rzekła bardzo poważnie.

Poczerwienieli mimo woli.

— Wedle tego ja jestem nieuczciwy.

— Nie, bo pan mnie nie oszukuje i tak jest w zwyczaju u świata, że ja powinnam pilnować honoru pańskiego nazwisk, i i domu. Lecz gdy ta pani owdowieje...

— Nie ożenię się z nią nigdy! O tym nie może być mowy przerwał prędko, stanowczo.

— Więc jeśli pan chce, to już między nami skończone rzekła, starając się uśmiechnąć.

Wyciągnął do niej dłoń i uściśnił prawicę.

— Ojciec się bardzo ucieszy — rzekła. — Proszę, nie mów pan prawdy; pan prezes mi to także obiecał. Mało ma radości w życiu, niech tę ma bez troski.

Nie powiem nic i pani będę wdzięczny, gdy o tym więcej mowy między nami nie będzie.

Jak pan sobie życzy, słowa nie powiem. Ja rozumiem, jak to boli, gdy ktoś obcy naszych ran dotyka. Ja tego panu nie uczynię.

Spojrzała mu pocziwie w oczy i mówiła dalej.

Pan prezes wzmiankował, że pan życzy sobie ślubu cichego i bez zwłoki. Ojciec mi posagu nie daje, ale mam po matce dwa tysiące rubli na wyprawę. Muszę inaczej się ubrać — uśmiechnęła się — Pan bogaty?

— Mamy pół Warszawy znajomych, co najgorsza — odparł.

— Ach, tak, to najgorsze. Bardzo się lękam narazić pana na śmieszność swą dzikością i nieobyciem.

— Postaramy się tego uniknąć. Ma pani przecie wśród tych obcych koleżankę. Pani Tunia nam dopomoże. Państwo przyjadą do Warszawy i udamy się pod skrzydła pani Marty.

— Tak, prawda! Ona mnie nauczy i poradzi.

— Kaziu! Kaziu! — rozległ się w głębi ogrodu głos Szpanowskiego.

Kazia spojrzała ku słońcu i przeraziła się.

— Już około dziesiątej — zawołała ruszając na wołanie.

— Pani nie potrzebuje zegarka — zaśmiał się Andrzej — jest akuratnie trzy kwadrans na dziesiątą.

— Miałam zegarek, ale mi go Zosia potłukła na miazgę — odparła wesoło. — Nauczyłam się tedy orientować po słońcu.

Naprzeciw nich szli ojcowie, prezes rozpromieniony, Szpanowski niespokojny.

— Panna Kazimiera pewno dla mnie zebrała fijołki — wołał prezes z daleka — Proszę starego udekorować. — I nadstawił klapę surduta.

Gdy mu wkładała kwiatki, ciszej spytał:

— Cóż? Skończone?

Skinęła głową i spojrzała ku ojcu, do którego Andrzej przystąpił właśnie z oficjalną przemową.

Szpanowskiemu rozjaśniła się twarz, obie ręce wyciągnął do młodego człowieka, któremu aż wstyd było, że oszukuje pocziwca.

— Serdecznie panu rad i za zaszczyt dziękuję — mówił rozrzewniony. — Z całym zaufaniem dziecko panu powierzam, będąc pewnym także, że i ona wam wstydu ni przykrości w dom nie wniesie.

Potem padli sobie z prezesem w objęcia i Szpanowski naprawdę ze szczęścia zapłakał, gdy mu Kazia pogarnęła się w ramiona.

A ona w tej chwili zapomniała o sobie, tylko szczęśliwa była jego zadowoleniem.

II

Babcia Bogucka siedziała o zmroku na swym ganeczku, który już maj ustroił zielenią i bzami, a u jej stóp siedziała Kazia na stopniu schodów. Kazia jakaś inna, przebrana modnie, uczesana modnie i obie milczały już długą chwilę. Słowik zawodził w bzach. Dziewczyna, założywszy beczynnę ręce, patrzyła zamyślona na drogę i pole; staruszka machinalnie robiła na drutach kaftanik bawełniany.

Wreszcie Kazia westchnęła głęboko:

— Żeby się to już raz skończyło! Te sześć tygodni próżnowania zdają mi się bez końca. A przy tym mam taki chaos w głowie z tej Warszawy, że jestem wciąż jak w gorączce.

— A przecie to będzie twoje życie — wtrąciła stara.

— Nie, broń Boże! Nie będę przecie życia spędzała po magazynach i pracowniach sukien ani u Tuni, której drzwi się nie zamykają od wizyt.

— U was też będą wizyty, może jeszcze więcej. Dziewczyna ruchem rozpaczonym objęła głowę.

— Przywykniesz — spokojnie rzekła babcia Bogucka. — Wśród tych ludzi znajdziesz miłych i sympatycznych, potem przyjaciół i zażyłe stosunki.

— Żebym tylko robotę miała. Nie wytrzymam bez pracy. Teraz, tutaj, dzień mi się rokiem wydaje. A tam oni mnie, ja ich nie rozumiem. Boję się odezwać, tak oni jacyś inni.

— Jutro przyjeżdżają panowie Saniccy?

— Nie wiem ściśle. Zapowiedzi już wyszły — a taki cichy ślub może się co dzień odbyć — odparła obojętnie.

— Jużeś zupełnie spokojna?

— Czy ja wiem? — Jestem odurzona i tak zmęczona tym wszystkim, że radam, by się skończyło., Macocha rada też mnie się pozbyć co rychlej — nie wiem dlaczego — co dzień przykrzejsza. Odebrała mi klucze i zajęcie, a teraz przy każdym obiedzie narzeka na darmożjadów i próżniacze panny, wyglądające konkurentów. Boję się Warszawy, ale chyba tam nie będą mi tyle dokuczali. Prezes jest dla mnie tak dobry, jak ojciec.

— A twój narzeczony?

— Dobry także i uprzejmy — odparła krótko.

Pomimo że przed babcią Bogucką nie miała tajemnic, o Andrzeju nie mówiła nigdy więcej. Staruszka była tym do głębi serca urażona. Zdawało się jej, że Kazia już zapomniała o jej wnuku, a wyznać nie śmie, że tamtego już kocha. Stosunek ich nie miał już dawnej serdeczności.

— I naprawdę nie masz ślubnej sukni? To nie ma sensu! Co ludzie tu pleść będą — zauważyła po chwili trochę gderliwie.

Pomyślałam, że to niepotrzebny zbytek i ceremonia. Z kościoła pojedziemy wprost na kolej. Nie mam matki, która by mnie stroiła, ani domu, gdzie bym się przebierała.

— Bardzo to dziwaczne i niestosowne. Po co ludziom dawać materiał do plotek — zamruczała Bogucka. — Żebym miała głos, tobym nigdy na to nie pozwoliła.

Kazia spuściła głowę.

— Żeby babcia miała głos, wtedy inaczej by było — rzekła smutnie.

Staruszka zrozumiała ją i nagle pożałowała swych podejrzeń. Kazia nie zapomniała, tylko już nie pozwalała sobie m i mówić o tamtym.

Znowu umilkły. Z dała od gościńca trąbka pocztowa grała, Po chwili dziewczyna się odezwała:

— Ludzie o mnie tu prędko zapomną. Zaledwie znają, nie powrócę nigdy. Może ostatnią wiosnę wiejską widzę... Wszystko się zmienia i mnie trzeba się zmienić. Przez te parę

tygodni w mieście dusiłam się wśród murów, tęskniłam ogromnie do pól. Ja nie wiem, jak tam wyżyję. A tu już i tęsknić nie będzie wolno, nie wrócę!

— A mnie odwiedzić nie myślisz, niecnoto? — smutnie uśmiechnęła się staruszka.

— Prezes kiedyś się oburzył na macochę i zaprzysiągł, że mnie tu nigdy nie puści — odparła,

— A ojca przecie odwiedzisz?

— Ojciec do nas przyjedzie. On to rozumie, że tu dla mnie nie ma miejsca. I tak już nie wrócę do poi.

— Na pogrzeb mój przyjechać musisz. Wolno ci przecie będzie mnie do trumny ułożyć. Nikogo swojego nie mam, a blisko już mi do ziemi.

— O, babciu! — żałośnie szepnęła Kazia do kolan jej się tuląc.

I płakała długo w cichości.

A wtem na drodze turkot się rozległ, coraz bliższy.

— Po ciebie jadą — rzekła staruszka.

Na podwórze wpadł wózek, którym Szpanowski pole objeżdżał. Powoził Stacho Skowronek.

— Co się stało? — zawołała Kazia przerażona o ojca.

— Pan mnie na gumnie złapał i kazał duchem po panienkę jechać, a sam do gości poszedł.

— Przyjechali! — Kazia spojrzała żałośnie na Bogucką.

— Jutro zatem ślub. Będę w kościele, daj mi wiedzieć, na którą godzinę, żebym cię pobłogosławić mogła. Boża wola, dziecko, Boża wola, nie nasza! Wszystko ci się zmieni, tylko duszy nie zmień. Pamiętaj, duszy nie zmień. Niechże cię Bóg prowadzi.

I przytuliła ją drżącą do piersi, krzyż nad głową kreśląc, a po chwili Kazia już była na drodze za starym dworkiem, w którym marzyła życie przeżyć, a którego już może więcej nie zobaczy.

Milczała smutnie, gdy wtem Stach się odezwał:

— Panienko, proszę mnie wziąć ze sobą do Warszawy.

— Jakże to, Stachu? Nie można! Cóż byś tam robił?

— A cóż, konie bym obrządzał. Stary pan mówił, że ma swoje konie.

— Nie mogę przecie narzucać tam ciebie. Nie wypada.

— Ja mu się sam pokłonię i poproszę. Mnie ty po panience będzie tęskno.

— Ależ na służbie jesteś!

— O! tom już urządził. Dzisiaj właśnie dałem w pysk karbowemu, więc mnie rządcą wygnał.

— Ależ, Stachu, oszalałeś!

— Com miał oszaleć? Trzeba było rację zrobić, tom zrobił. Inaczej by mnie naprzeciw lata nie uwolnił.

— Nie wyżyjesz w mieście. Szkoda ciebie, Skowronku — uśmiechnęła się smutnie.

— I tu mi ostać nijako. Do głowym to wziął, pociągnę za panienką. Okrutną ochotę mam! — I śmignął z fantazją biczyskiem.

Na werandzie ogrodowej zastała Kazia obu Sanickich z ojcem, pijących herbatę. Pani domu wymówiła się migreną i nie wyszła. Chciała dokuczyć pasierbicy i zamanifestować, że do żadnych względem niej obowiązków się nie poczuwa.

Prezes był rozpromieniony i wesół. Andrzej bladej, zmęczony jakiś czy niezdrów. Ledwie ukrywał, że go to śmiertelnie nudzi i drażni, że spełnia nieznośny obowiązek. Kazia przeraziła się na myśl, że Ojciec może zauważyć jego zły humor, domyślić się prawdy, zaczęła też zaraz wesoło rozmawiać z prezesem, odwracać uwagę Szpanowskiego.

— Ta dziewczyna nie ma nerwów ni czucia — pomyślał z niechęcią Andrzej. — Mógłbym ją nogami kopać, zniesie wszystko.

I rozdrażniony, wściekły, podniecał się przeciw niej, poprzysięgał, że drogo zapłaci. Wmówił sobie, że jest współniczką ojca w spisku na jego swobodę i swobody tej postanowił im nie zaprzędać nigdy.

Pani Celina ostatnimi czasy była szczytem uroku i czułości, usidliła go na nowo. Przyjechał tu, pijany szalem i rozkoszą. Kazia, zwykle obojętna, była dla niego wstrętą. Wrzał w rum bunt i złe, nienawistne instynkty.

Był tak źle usposobiony, że nawet prezes bał się wybuchu i skandalu w przeddzień ślubu. Drżał, nadrabiał miną, Boga prosząc, by już było prędzej po przysiędze. Dalej — prezes był spokojny. Ale, co życzył pani Celinie w tej chwili, co on jej w przyszłości poprzysięgał!

Jeden Szpanowski nie kipiał w duszy, nie udawał, nie pomstował, Głowa jego pełna była spraw i kłopotów gospodarskich, ale w głębi serca miał spokojną radość, że jutro Kazię swą dobrym ludziom odda, że los jej, szczęście zapewni. Uważał, że Kazia była zanadto niefrasobliwą i wesołą jak na zakochaną pannę, a Andrzej zbyt sztywny i milczący jak na narzeczonego, ale traktował to jako dzieciństwo i dalej o tym nie myślał.

Po chwili odwołano go do rządcy, więc przeprosił gości i ulotnił się na długą konferencję.

Gdy go nie stało, humor Kazi się urwał. Prezes z niewyczerpaną werwą prawił i prawił, ona słuchała tylko, zmrożona wyrazem twarzy Andrzeja. Drgnęła nagle, gdy prezes wyrzekł:

— Jutro, o tej porze będziemy już do Warszawy dojeżdżali. Dębscy mają być na dworcu i Radlicz pewnie przybyć nie omieszka.

— O pewnie! Ten czyha na nasze karykatury — mruknął niechętnie Andrzej.

Kazia spojrzała na niego. Oczy miał złe, brwi ściągnięte, przykry wyraz ust.

— Widocznie chce pan, by temat miał gotów — rzuciła z gniewnym błyskiem w oczach.

— O! to nie ja chcę! — odparł z naciskiem.

— Dlatego też ma pan minę ofiary czy skazańca. Jeszcze czas. Jeżeli o mnie chodzi, jest pan wolny.

Ale tu prezes za ręce ją porwał, przerażony.

— Panno Kazimiero, litości! Niech pani ma wzgląd na mnie! On jest dziś chory, rozdrażniony! Proszę mu darować!

— Są granice na wszystko, nawet na upokorzenia. Niech pan wejdzie w moje położenie. Dlaczego, po co mam to znosić i cierpieć?! Przygotowanam na złą dołę, ale nie chcę obelg i jedną rzecz mam prawo strzec, swej godności. Lepiej się cofnąć dziś, bo, potem nie do humorystyki będziemy tematem, ale do skandalu. Ja nie dam sobie ubliżyć! Umiem udawać, gdy chodzi o spokój ojca, ale nawet dla niego nie zniosę fałszywej pozycji!

— Pani nie tailem swych uczuć! — rzekł Andrzej.

— Ja też nie potrzebuję uczuć pana ani ich wymagam, ale potrzebuję delikatności i wymagam względów i poważania, jeśli mam zostać pańską żoną.

— Nie uchybiłem w niczym swoim obowiązkom.

— Uchybiłeś i jeśli masz honor, przeproś! — rzekł stanowczo prezes.

Andrzej się opamiętał. Co powie ludziom, na co ojca narazi. Zrywać w przeddzień ślubu! Przy tym powstydział się, że postąpił jak gbur.

— Jestem niezdrów i zdenerwowany. Przepraszam panią — rzekł, schylając głowę.

Kazia milcząc przyjęła przeprosiny. Chwilę patrzyła ponuro przed siebie, wreszcie szepnęła przez zaciśnięte zęby:

— Ach, gdyby nie ojciec!...

I taki był jej dziewiczy wieczór.

Nazajutrz rano, o dziesiątej, pojechali do ślubu. Za bramą spotkali furgon z jej kuframi, a obok fornał Stacho siedział, odświętnie ubrany.

— Czy on jedzie do Warszawy? — spytała ojca.

— Ano tak. Urwis od tygodnia nudził mnie o to, a wczoraj prezesa uprosił. Niech jedzie, ręczę, że po miesiącu będzie się napierał z powrotem. Odeślesz mi go. Tymczasem nie było

sposobu utrzymać. Prezes kupił te dwie klacze kasztanowate i skarogniadą dla ciebie pod siodło. Będą cię tam pieścili, dziewczyno! No, chwała Bogu!

I uśmiechał się radośnie poczciwy Szpanowski, a ona z zazdrością myślała, że Stacho wrócić może, gdy się stęskni za polami.

W parafii, jako w dzień powszedni, kościół był prawie pusty. Babcia Bogucka modliła się półgłosem, kilka kumoszek i starców drzemało po łąkach.

Gdy ksiądz wyszedł do ołtarza, Andrzej podał ramię Kazi, ojcowie ruszyli za nimi i ślub się rozpoczął.

W pustej nawie rozbrzmiewały uroczyste słowa. Andrzej machinalnie powtarzał za księdzem przysięgę, niewiele wierzył i uważał to wszystko za próżną ceremonię. Myślał był gdzie indziej.

Zdziwił go głos Kazi, spojrzął na nią. Była biała jak ściana, wargi jej drżały, oczy miały wyraz bezmiernej żałości.

Gdy związano im ręce, zdało mu się, że umarłej dotyka. Tedy i jego objął jakiś dziwny lęk i zastanawiał się sekundę, że ceremonia ta nie próżna jest, ale że krzywoprzysięga.

Lecz tylko sekundę. I znowu myśl zajął frasunkiem, jaką minę przyjąć w Warszawie, by uniknąć śmieszności i konceptów pani Belli i Radlicza. Będą na dworcu niezawodnie i pójdą stamtąd wprost na Erywańską ze szczegółowym sprawozdaniem.

A tu ksiądz, który Kazię chrzczył i do komunii przygotowywał, i lubił bardzo, wystąpił z przemową do nowożeńców. Mówił, że zakładają rodzinę, ognisko nowe, które powinno świecić i ogrzewać, być przykładem cnót i miłości. Że wiążą się dożywotnim ślubem na złą i dobrą dolę, by nawzajem dla siebie być pociechą, pomocą, opieką i wspomogieniem, a dziatki chować na dobre sługi wiary i społeczeństwa.

Szpanowski i prezes rozrzewnili się, Andrzej, w ziemię spuściwszy oczy, satyrycznie się uśmiechał. Kazia ogłupiałym wzrokiem patrzyła, nic nie słysząc i nie rozumiejąc. Babcia Bogucka smutno kiwała głową. Nareszcie ksiądz błogosławieństwem zakończył, a Andrzej podał ramię Kazi i wyprowadził ją z prezbiterium.

Tedy ona nareszcie oprzytomniała i wysunawszy rękę poszła ku babci Boguckiej i dłonie jej ucałowała. Staruszka rud jej głowę nakreśliła krzyż i z cicha wyszeptwała ostatnie pożegnanie.

— Duszy nie zmieniaj, dziecko! Duszy nie zmieniaj, zachowaj ją zdrową!

Andrzej, pozostawiony sam, patrzył na to z widocznym niesmakiem.

— Zaczyna się melodramat — pomyślał. — To szczęście, że mnie nikt ze znajomych nie widzi. Głupia pozycja.

Kazia trzymała w ręku pyszny bukiet, dar prezesa, bukiet biały, ślubny. Podała go babci Boguckiej.

— Chciałabym go na grobie mamy złożyć — szepnęła — ale może ojcu będzie przykro i tym obcym nie chcę robić widowiska. Proszę go jej zanieść ode mnie.

Raz jeszcze ucałowała ręce staruszki i wróciła do Andrzeja.

— Mamy wstąpić do zakrystii — rzekł sucho.

— Po co? — zdziwiła się.

— Ano, ojciec nie uspokoi się, aż aktu z tej ceremonii nie będzie miał w kieszeni, Musimy przy tym asystować.

Bez słowa, urażona tonem jego, poszła do zakrystii. Ojcowie już tam byli, wesoło rozmawiając z proboszczem. Akt spisano formalnie, wyraźnie, prezes dopilnował podpisów i i dat i odetchnął, gdy papier urzędowy dostał do rąk.

Czuł na sobie ironiczny wzrok syna, ale teraz już o niego nie dbał. Teraz mu spieszno było do domu tylko.

Powozy czekały przed kościołem.

— No, ruszajcie naprzód, my starzy za wami — rzekł Szpanowski.

Kazię zabolalo serce, że ojciec już tu ją opuszcza, a on pocziwiec myślał im dogodzić, by się co rychlej pozbyli świadków. I tak ruszyli ku stacji kolei.

Poprzez mur cmentarza ujrzała jeszcze Kazia babcię Bogucką składającą jej bukiet na mogile matki i powóz wybiegł na gościniec.

Byli tedy poślubieni i sami.

— Wszystko się zmienia i modyfikuje stosownie do potrzeb czasu i rozwoju ludzkości. Że też mogła się utrzymać dotąd tak barbarzyńska ceremonia jak śluby małżeńskie.

Były to pierwsze słowa Andrzeja.

Kazia się przeraziła. Chwilę nie znalazła odpowiedzi. Ale on odpowiedzi nie czekał i mówił dalej:

— Wymagać, żeby ludzie przysięgali na obowiązki, których spełnić niepodobna, a potem grozić im piekłem za krzywoprzysięstwo! Co za absurd! Zresztą co religii do ludzkich żądź lub interesów! Niegdyś to może miało rację bytu, gdy kościół był prawodawcą, policją, sądem i poborcą podatków, a ludzie bezmyślnym stadem. Teraz to jest formą bez treści.

— Ja myślę, że gdyby tego nie było, ludzie dopiero zostaliby stadem — rzuciła oburzona Kazia. — Żaden z reformatorów nawet tego nie tknął.

— Owszem, bo dali swobodę rozwodu.

— To i w naszym kościele jest dozwolone.

— Kosztem nowych kłamstw i fałszów. To żadne wyjście, to nowe oszustwo.

— Więc jakże inaczej być może? — szepnęła Kazia bliska płaczu z oburzenia.

— Małżeństwo powinno być umową dwojga ludzi. Doczesną i terminową, doczesną, bo szał jest krótki, terminową, bo to jest interes jak każdy inny.

— Więc pan, oprócz szału i interesu, innych pobudek nie uznaje?

— Co do małżeństwa żadnych. Rozumiem i odczuwam miłość, ale mam ją za rzecz tak wzniosłą, że w olałbym się jej wyrzec, niż szargać i pospolitować w codziennym pożyciu, w sprawach banalnych, w nędznych troskach o kuchnię, służbę, pranie i inne małości życia. Żadne uczucie w takiej kulturze ostać się nie może. A ci, którzy dowodzą w podobnych warunkach miłości, tyle o niej wiedzą, co kret o gniazdach.

Kazia zacisnęła zęby poprzysięgając milczenie.

A zatem z jednego prześladowania dostaje się pod drugie. Przed chwilą człowiekowi temu przysięgała miłość, była pełną dobrych chęci i postanowień zacnych. Teraz poczynała się burzyć, odczuwać dlań wstręt i nienawiść.

Z rozmysłem brutalnie odtrącił ją i poniewierał, by nawet nie pozostał atom porozumienia i zgody. On rad byłby dyspucie, by zółć swą wyrzucić do reszty, chwilę czekał wybuchu, cieszył się nań, wreszcie spojrział na nią.

Twarz jej wydała mu się obcą, tak martwą i zimną przybrała maskę, patrzyła na pole i orzące pługi.

— Pani mi zaprzeczyć nie może — rzekł ze swym przykrym, ironicznym uśmiechem.

— Nie mam ochoty. Nie chodzi mi wcale o przekonania pana, a moje teorie mam tylko dla siebie — rzekła zimno.

— Bardzom pani za to obowiązany. Właśnie tego pragnąłem — rzucił urażony.

— Pragnienia pana będą dla mnie zasadą nie podlegającą żadnym modyfikacjom.

Zapanowało milczenie i nie przerywali go aż do stacji.

I to było Kazi pierwsze sam na sam.

Potem nastąpiło ostateczne pożegnanie z ojcem.

Nie wiedziała, co mu rzec, nie śmiała prosić, by ją rychło odwiedził, a wiedziała, że w Gurowie będzie mu nieznośnie pusto bez niej, więc tylko utuliła mu się do serca, powtarzając:

— Dziękuję, tatusiu, za wszystko. Będę pisać często, co dzień, żeby mnie tatuś zawsze czuł przy sobie.

Pociąg ruszył, wyglądała doń i ciche łzy biegly jej gradem po twarzy. Pociąg był już w polu, a ona wciąż patrzyła za siebie, opanowując wzruszenie i łzy, by ich tym obcym nie pokazać.

Andrzej tymczasem rozłożył gazetę i czytał, a prezes zagaił z nią rozmowę o życiu pól i domów, pytał o zboża na łąkach, które mijali, potem o rozległość Gurowa i o gospodarstwo.

Po chwili uspokoiła się zupełnie i tak gawędzili poważnie. Zaczęła pytać o ustrój domu, dowiadywać się o obowiązki gospodyni.

A tam w Warszawie oczekiwano ich niecierpliwie.

Oprócz Dębskich wyjechał na dworzec z bukietem Radlicz, który od kilku tygodni nieobecny, Kazi jeszcze nie znał. Droczyła się z nim pani Tunia.

— Powie mi pan swoje pierwsze malarskie wrażenie. Stokroć to będzie czy topola? Powiem panu pod sekretem: wełna — nic więcej.

— Patrzaj no — zagadnął Dębski — widzisz tę facetkę w lila sukni i tajemniczym woalu? Coś znajomego.

Radlicz spojrział i zachichotał.

— Nie wytrzymała! Jak babcię považam — jest!

— A toć Belcia z Mazowieckiej! Czekaj no, pójdę i zdemaskuję ją, i dowiem się, czy ją przysłano z Erywańskiej.

Ale pani Bella wcale się nie zażenowała.

— Ano tak, przyszłam, pokłóciłam się z Cesią i jestem. Ginę z ciekawości, nie mogłam wytrwać, wykradłam się. Ona, mniejsza, ale jego minę zobaczyć. To będzie kolosalnie zabawne! Jak pan myśli, przyjdzie on do nas jutro?

— A pani Celina jak myśli? — zaśmiał się.

— O, ta nie wątpi! Ona jest tak pewna siebie, jakby była mężczyzną.

— Przepraszam, ja jestem mężczyzną, ale wobec pani zupełnie siebie niepewny.

Potrąciła go parasolką.

— Cicho, jestem zupełnie tamtymi przejęta. Słyszysz pan? Sygnałują — i wypadła na platformę.

Pociąg wchodził na stację. Pani Bella dotarła wprost do wagonu pierwszej klasy i doznała rozczarowania. Ujrzała obok prezesa dziewczynę smukłą, szykownie ubraną, bardzo powściągliwą w ruchach i słowach, zupełnie nieśmieszną i niedziwaczną, a za nią Andrzeja, ze zwykłym wyrazem twarzy, zajętego zdawaniem tragarzowi ręcznych pakunków.

— No i nic — pomyślała pani Bella z desperacją. — Warto było robić „esklandrę”!

Oni tymczasem powitali Dębskich i poszli gromadką ku powozom. Nic nie było zabawnego, chyba Radlicz, który dreptał obok panny młodej i tak łakomie jej się przypatrywał.

Saniccy wsiedli do swego powozu. Dębscy zabrali ze sobą malarza. Pani Bella bardzo zawiedziona ruszyła ku dorożce. Nic nie było. Nic, nic, o czym by warto było wspomnieć.

Pani Tunia zagabnęła Radlicza:

— No i cóż? stokroć czy topola?

Malarz chwilę myślał i wbrew zwyczajowi nie drwił.

— Ani jedno, ani drugie. A przecie przypomniała mi kwiat. Wie pani, jaki? Wrzos. Znam takie wrzosowiska w kwiecie. Zdrowie od nich idzie i robią wrażenie czegoś bardzo subtelnego a silnego.

Ona ma taki wdzięk nieświetny, niepozorny. Cieniutka, skromniutka, bez blasków, barw, form okazałych, taka gałązka koralowa, osypana drobniutkim kwieciem, łagodnej barwy i kształtów nadzwyczaj ślicznych, gdy się im przyjrzeć uważnie.

I nie zwiędnie to, i nie osypie się. Zdrowe i silne. Podobała mi się okrutnie. Zaraz bym się z nią żenił. Jak babcię považam.

— A do ciebie co przystąpiło? — zdumiał się Dębski.

— Nasz humorysta w elegii — śmiała się pani Tunia. — Ten sonet o Wrzocie obejdzie Warszawę. To panu ja zapowiadam. I żeniłby się — nie, to zbyt zabawne!

Ale Radlicz naprawdę był oczarowany.

— Żeniłbym się! Naturalnie! A rycerzem jej zostaję od dzisiaj i oprócz wrzoty nie noszę innego kwiatu i będę ją malował całe życie.

— Jednakże uchwyciłeś dobrze jej wyraz. Prosta i zdrowa — rzekł Dębski. — Szkoda jej dla takiego Andrzeja, bo ten się na tym nie pozna. Jest przecywilizowany.

Kazia stanęła u progu nowego życia. Nikt jej tam chlebem i solą nie powitał ani ujrzała życzliwej twarzy.

Janowa, żona kamerdynera, gospodyni kawalerska obu Sanickich, patrzyła na nią jak na postrach i kontrolę. Jej małżonek, pewny swej władzy i zasług, był sztywny i dość nawet lekceważący, reszta służby wyzierała z głębi sieni, mało się o nią troszcząc. Zнали zbyt dobrze zakulisowe sprawy.

Mieszkanie było przystrojone, urządzone jak z igły, pełno kwiatów, ale Kazię od razu przejął wstrętem charakterystyczny zaduch warszawskich domów. Mieszkanina naftaliny, gazu i gutaperki i duszno jej się zrobiło w pokojach pełnych mebli i cacek, ocienionych zbyt krowymi firankami i portierami.

Prezes oprowadzał ją po mieszkaniu. Na parterze mieli dwa salony, jadalnię, jego sypialny i gabinet do przyjęć oficjalnych: Na piętrze młoda para miała dla siebie pięć pokoiów.

Zbytek i elegancja apartamentu nie zrobiły na Kazi wrażenia, dopiero na widok szaf pełnych ksiązek w gabinecie prezesa uśmiechnęła się radośnie.

— O! co za rozkosz! Tyle do czytania! — rzekła.

Potem ucieszyła się fortepianem, ale nie śmiała dotknąć go i zobaczywszy w swej sypialni kufry z wyprawą i własne mebelki pomyślała:

— Tu się po swojemu urządź! Będę miała na jutro zajęcie. I ta myśl była najprzyjemniejszą.

Była jednak tak zmęczoną, że na długie rozmyślanie nie stało czasu. Zasnęła twardo, bez snów i marzeń, jak zasypiała wśród swych pól po znojnym dniu.

Nazajutrz równo ze świtem się zbudziła siłą długiego przyzwyczajenia i długą chwilę nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje. Ciężkie wozy toczyły się po bruku, łoskotem żelaza napełniając powietrze, ale słońce nie zaglądało jej w okno, jak w Gurowie, ani ptasząt słycać nie było.

Zerwała się i poczęła rozmyślać. Zbytekowny pokój wydawał się jej więzieniem, życie nieznośnym bez pracy.

Ubrała się spiesznie i zeszła na dół. Wszędzie cisza, i służba i panowie jeszcze spali.

Kazia wróciła na górę i uważnie, by nie zbudzić nikogo, poczęła swe kufry wypakowywać. Parę godzin jej tak zeszło, zanim lokaj nie zaczął sprzątać salonów. Zdziwił się i przeraził, gdy ją ujrzał ubraną, i zaalarmował suterena. Zjawił się Jan zaspany, wreszcie jego małżonka z kluczami.

— Czy jaśnie pani dzisiaj je weźmie? — spytała kwaśno.

— I owszem, zaraz — odparła.

— To może i kucharka ma przyjść do jaśnie pani?

— Naturalnie.

— Wedle rozkazu, tylko ja już odpowiedzialna nie będę, jeśli się panom nie dogodzi — odparła Janowa, nie tając niezadowolenia i składając pęk kluczy.

Po czym zniknęła, zanosząc do suterena zły humor i intrygi. Małżonek jej udał się do sypialni panów, ignorując zupełnie młodą panią.

Ale Kazia nie była bezradnym podlotkiem. Umiała rządzić i pracować, umiała sobie radzić. Wnet też ujrzała, że kucharka i młodszy lokaj stanowili przeciwny obóz małżonków i tym wzmocniona zajęła się gospodarstwem. Gdy panowie przyszli na herbatę, zastali już

wszystko gotowe, wedle swych nawyknień i gustu, nawet poranne gazety przy nakryciu i Kazię jak zawsze pogodną, przydującą u stołu.

Prezes, rozpromieniony, ucałował ją i zaraz się przy niej ulokował. Andrzej chmurny, nieswój, nie wiedział, jak ją przywitać. Był jej wdzięczny, gdy mu pierwsza podała rękę, którą w powietrzu pocałował.

— Jakże moja córuchna myśli dzień spędzić? — spytał prezes. — Bo ja jestem na twoje rozkazy.

— Zdaje mi się, że warto odpocząć przede wszystkim — rzekł Andrzej.

— Właśnie rada bym tu znaleźć, po czym odpocząć. Czym właściwie mam się zająć? Ale — oto menu obiadu. Może panowie znajdą coś do zmiany.

— Ja dziś obiadam na mieście — odparł Andrzej — i wieczór mam zajęty.

— Czasu ci zabraknie, a nie roboty, gdy złożycie wizyty — rzekł prezes odpowiadając Kazi.

Oczy jej stały się żałośnie.

— Ach wizyty, to nie robota. Ja bym chciała masę mieć obowiązków.

— Hm, albo ja wiem, co byś mogła robić poza tym? — zafrasował się prezes.

— Proszę mi tylko dać prawo, a ja już sobie sama wynajdę — uśmiechnęła się.

— Ależ prawo masz, dziecko, zupełną swobodę. Dom ten będzie pod samowładnym twym berłem.

Andrzej wypalił papierosa i powstał.

— Pożegnaj już państwo do jutra. Idę do biura — oznajmił. — Może mi ojciec przysze tam konie na czwartą.

— Na czwartą będą, ale mi je odeszlij przed teatrem.

— W takim razie proszę wcale nie przysyłać. — I wyszedł, kiwnąwszy ledwie głową.

— Tatku — rzekła z cicha prosząco Kazia — po co tatko to uczynił? Konie mu posłać, niech w niczym nigdy nie uczuje przymusu z mej racji.

— A za pozwoleniem, teraz my panami — wybuchnął prezes po francusku. — Nie można pozwolić się lekceważyć.

Zamyśliła się, spojrzała nań poważnie i bardzo stanowczo rzekła:

— Jeśli ojciec chce, abym ja zobowiązania moje spełniła, proszę i moje zdanie przyjąć. Wzięłam na siebie ciężkie zadanie i wytrwam tylko wtedy, gdy nie będę sobie miała nic do wyrzucenia. Jeśli zaś będziemy go drażnić, jątrzyć, ja ojcu wypowiadam posłuszeństwo. Do teatru ojciec pojedzie sam dorożką, a ja mam na wieczór dużo roboty z moimi rzeczami. Konie ojciec mu poszle bez ograniczenia czasu.

— A jeśli ja zechcę partyjki winta u kolegi, to idź, stary, piechotą dlatego, że pan syn wozi może wołyżerki do Marcelina? — obruszył się prezes.

Kazia serdecznie przytuliła się do niego.

— Zrobi tatuś dla córuchny — szepnęła pieszczotliwie.

— Oj ty, ty! Coś mi się zdaje, że ty kiedyś i starego, i młodego będziesz za nos wodzić.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Nie chcę tego. Pragnęłabym wam nie być ciężarem i broń Boże powodem do nieporozumień, a owszem jakąkolwiek pomocą w domu. Boję się zaś jednej tylko rzeczy, by nasze stosunki nie stały się plotką ludzką, nie doszły do ojca. Jego by to zagryzło. Co ludzkie siły mogą, uczynię, by do tego nie doszło.

— Cóż znowu! Wszystko się ułoży. Jestem spokojny.

— Ułoży się, jeśli ojciec będzie mnie słuchał — zaśmiała się.

— No, no, w miarę powinny być i ustępstwa.

— Od czego, kiedy ja żadnych praw nie roszczę?

Tu już się prezes oburzył.

— Co ty wiesz, co ty rozumiesz! Zobaczysz, że przyjdiesz do mnie po radę i ratunek! Et!

Machnął ręką, ucałował ją i wstał.

— Cóż tedy za program dnia?

— Zaraz zarządzę obiad, wydam służbie rozkazy i jeśli ojciec chce mi towarzyszyć, to proszę na mszę. Ale jeszcze jedno! Zdaje mi się, że Janowa będzie teraz zbyt zbyteczną. Wezmę I jej obowiązki na siebie.

— Dajże pokój. Przecie możemy sobie pozwolić na gospodynię.

— Czymże ja będę? Na mebel do salonu się nie zdałam.

— To pasja do pracy! Pierwszy raz coś podobnego spotykam...

— Tatuś mi obiecał.

— Ano, czyń, jak chcesz. Może masz rację. Więc tedy trzysta rubli miesięcznie na kuchnię w twoje ręce będę składał.

— Tyle pieniędzy!

— No no, nie wpadnij no w niedobory! — zaśmiał się.

— Pójdziemy do kościoła.

Wyszli po chwili piechotą pod rękę. Prezes chwalił pogodę i sąsiedztwo Ogrodu Saskiego, Kazię dyni i wyziewy miejskie dławily w gardle. Chwilami wspomnienie pól zalatywało ją, jako przedsmak okropnej nostalgii, ale je odganiała jeszcze odważnie, zmuszając się do zajęcia ruchem ulicznym. Instynktownie bała się wspomnień.

Prezes co krok spotykał znajomych. Wszyscy przyglądali się jej ciekawie. Męczyło ją to i żenowało ogromnie, a prezes radował się tą wystawą. Pyszny był z synowej, czuł, że się podoba, i co chwila, uśmiechnięty, do niej się zwracał.

— Robisz furorę Kaziu!

— Pod ziemię bym się skryła. — odparła rozpaczliwie.

— Dziwna z ciebie kobieta.

— Toteż ja nie chcę być kobietą w znaczeniu ojca i tych panów, których wzrok jest obelgą — szepnęła, płaczu bliska.

Gdy weszła do Św. Krzyża, odetchnęła swobodniej i zaszyta w kącik, pomodliła się gorąco.

Modliła się za ojca i za matkę zmarłą, potem za babcię Bogucką i siłą nawyknięcia za Stacha.

Zastanowiła się jednak i rozważała skrupulatnie: nie powinna już się za niego modlić. I wtedy zapłakała po mm, i jak po umarłym zmówiła pacierz.

Powrót do domu był dla niej nową męką. Na placu Zielonym spotkali Radhca, który jakby na nich czatował i przeprowadził aż do bramy.

Oczy jego, pełne nie tajonego zachwyty, udręczyły ostatecznie Kazię. Milczała, słuchała nowin miejskich, które jej się wydawały tak obce, a szczególnie tak nadzwyczajnie błahe, i pożegnała tego pierwszego adoratora tak zimno i obojętnie, że aż to prezes zauważył.

— To jest wielki przyjaciel Andrzeja i prawie nasz domownik. Nie bądźże dla niego lak kolącą. Dobry chłopak, tylko zły język. Panie go się boją jak ognia i psują na potęgę. Myślę, że nie odmówiłyby mu nic, pod strachem karykatury! A urwis zdolny, tylko próżniak, bo zamożny.

— Mnie tym nie nastraszy ani zjedna — odparła obojętnie.

Prezes udał się do swego gabinetu dla załatwienia korespondencji zaległej, ona się krzątała po domu. Słyszał ją nucącą i rozrzewniała go myśl, że to dobre, rozumne dziecko pozostanie już wśród nich, ożywi, dom i może stworzy ognisko, którego prezes od lat tyłu był pozbawiony.

Czy temu dobremu, rozumnemu dziecku ten dom, nie stanie się czyścem, o tym prezes nie pomyślał, chociaż niby bardzo Kazię kochał.

Andrzej, wychodząc z biura, znalazł czekające na niego konie. Chciał je odprawić i nająć powóz, ale stangret objaśnił, że starszy pan wcale ich dzisiaj nie potrzebuje. Były to nowe

konie, dwie klacze kasztanowate, kupione w Gurowie. Ludzie się na nie oglądali, szły jak lalki, więc się Andrzej udobruchał i siadł do powozu.

— Pojedziemy na Erywańską — rzekł.

Stangret już wiedział, że to znaczyło kilkogodzinne czekanie pod bramą, po czym wieczorną wycieczkę za miasto. Klął w duchu swój los.

Pani Celina nie przyjmowała dziś nikogo. Czekwała Andrzeja, na pozór spokojna, drżąc wewnątrz niepokojem. Pizy witała go serdecznie, wesoło, niczym się nie zdradzając i zaraz rozpoczęła rozmowę o wypadkach parodniowej jego nieobecności, zdając sprawę ze swych czynów i myśli.

Były z Bellą w teatrzyku ogródkowym, ta wariatka ciągnęła ją na kolację, ale nie, nie była w humorze, zresztą co by tam robiła bez niego? Widziała nowy obraz Siemiradzkiego, Radlicz ją tam eskortował, targowała szafę gdańską z okazji, ale się bez niego nie zdecydowała, zaprowadzi go tam jutro, obstałowała letni kostium, zrobi mu niespodziankę.

Gwarzyła swobodnie i od niechcienia spytała:

— Nie zostaniesz na obiedzie zapewne?

— Chyba mnie nie zaprosisz? Mam i wieczór wolny, i nowe konie czekają u bramy. Pojedziemy o zmierzchu.

— Tak, o zmierzchu — powtórzyła bezdźwięcznie, czując, że zstępuje o jeden stopień niżej i że słońce nie będzie już ich spacerom przyświecać...

Zrozumiał ją i spuścił głowę.

— Sama mi przyznasz rację. Treść należy do ciebie. Pozory muszę zostawić...

Nie dokończył, podniósł oczy.

— Nie pytasz mnie o nic?

— Nie chcę dożyć chwili, gdy będę musiała pytać — odparła. — Między nami nie ma tajemnic, rozkoszą naszą są zwierzenia i spowiedź z najskrytszych myśli. Nie poruszam tylko kwestii bólejczych; ty tu przychodzisz po radość i odpoczynek.

— Stało się tedy. Wczoraj przywiozłem fant do domu. Nie jestem słodko względem niej usposobiony, ale wyznać muszę, że jak dotychczas, wcale się mną nic zajmuje.

— Złożycie wizyty, będziecie przyjmować. To będzie uciążliwe.

— Zapewne, chociaż zredukuję to do *minimum*.

— A jeżeli się ona w tobie zakocha?

Ruszył pogardliwie ramionami.

— To się stanie, zanadto piękny, chyba...

Urwała dyskretnie.

— Chyba zakocha się w kim innym, to by było świetne i triumf twego ojca zmieniłby się w klęskę.

Milczał, urażony.

— Mam nadzieję, że i to się nie stanie — rzekł wreszcie.

— Więc cóż za przyszłość?

— Nie obchodzi mnie. Zawarowałem sobie swobodę, będę z niej korzystał.

Teraz ona milczała. Byli szczerzy dotychczas, ale nie domawiali swych myśli. Ona by zohydzić chciała tę swoją rywalkę, tak na pozór nic nie znaczącą, a tak wyższą i silną. Nienawidziła jej z całej duszy, a sama by mu tego nie wyznała. On, rozżalony był do niej, że mu pozwoliła na ten związek, nie okazała zazdrości, nie obroniła go przed głupią pozycją i kłopotem. Chociaż za nic by jej tego nie wyznał, uważając to za niskie uczucie i niekonsekwencję wobec uznania, którego jej za takt nie szczędził.

— Bella poleciała wczoraj na stację. Widziała rzekła po chwili pani Celina. — Mówiła, że jest przyzwoita, a Radlicz dowodzi, że śliczna. Klócili się o to cały wieczór. Jakaż ona rolę sobie obrała?

— Doprawdy nie wiem. Cały dzień byłem w biurze a wczoraj głowa mnie szalenie bolała. Nie mówiliśmy ze sobą trzech słów. Teraz jestem głodny — dodał żartobliwie.

— A ja, jak prawdziwa kobieta, karmię cię zazdrością. Chodźże, dzisiaj nasze! — odpowiedziała podobnie. Otoczywszy mu szyję ramieniem, poprowadziła do jadalni.

O zmierzchu, jak było postanowione, pojechali za n miasto. Celina spytała o konie, zachwycona szybkością.

— Kupiłem ze wsi — odpowiedział wymijająco.

Biedny, poczciwy Szpanowski nie wiedział, komu poszły służyć jego pieszczone kasztanki.

Andrzej wrócił do domu nad ranem. Nazajutrz przyszedł do herbaty zmęczony i rozdrażniony, czując, że powinien się usprawiedliwić, przygotowany na uwagę ze strony ojca, może na łzy Kazi.

Ale prezes nie uczynił żadnej wzmianki, Kazia rozmawiała swobodnie, ignorowali go zupełnie. Dopiero gdy wychodził, ojciec rzekł:

— Radlicz się o ciebie wczoraj wieczorem dopytywał. Zaprosiłem go dzisiaj na obiad; ano i do Dębskich powinniście pojechać.

— Tak prędko? Po co? Można za parę tygodni.

— Nie można. Tak wypada, a przy tym forma musi być zachowana. Ludziom musicie się pokazać.

— Ano, to od razu to odbyć! Gdzież mamy bywać? — zwrócił się niecierpliwie do żony.

— Skądże ja to mam wiedzieć? Panowie wybiorą dla siebie, a potem z sumy ja sobie wybiorę, co mi się podoba. Teraz służę wszędzie.

Nie, wcale serio i tragicznie nie traktowała swego losu. „Ja sobie wybiorę, co mi się podoba”, ukłuło Andrzeja. Rozdział stosowała tedy i do siebie i dążyła jak on do swobody.

Ruszył brwiami; mniejsza z tym.

— Wizyty oddamy jutro tedy — zdecydował. — Będziemy u Dębskich, Morawskich, Hankich i Gostyńskich. Zresztą pustki; nikogo więcej w mieście nie ma.

— Tak, tymczasem będzie dosyć. Jesienią trzeba będzie wybrać dzień na przyjęcia — rzekł prezes. — Myślę, że piątek — dodał po namyśle.

Krew nabiegła do twarzy Andrzeja, zrozumiał myśl.

— Piątki ja mam zajęte — rzucił ostro.

— Ano, zobaczymy — obojętnie odparł prezes.

Kazia wmieszała się do rozmowy.

— Ja także jestem zdania pana — rzekła, zwracając się do męża. — Po co taki pośpiech? Ojcu tęskno za wintem i ludźmi i dla mnie przymus sobie czyni, spędzając samotne wieczory. Tak być nie powinno. Niech się panowie mną nie krępują. Daję wam zupełną wolę i swobodę w zamian za klucz od biblioteki. Będę się bawiła w tym towarzystwie jak kroi.

— Et! bajesz! — obruszył się prezes. — Zanim wizyt nie oddacie, będziesz jak w niewoli i ja ciebie nie odstąpię. A przy tym, bój się Boga, mówisz do niego: pan! To niemożliwe!

— Ba, a jak zapomnimy na razie imienia, będzie jeszcze gorzej — roześmiała się.

— Nie żartuj. Musicie przecie mówić sobie po imieniu. Andrzej brał za kłamkę i śpieszył się.

— Na którą obiad? — spytała go. — Wrócę o piątej.

Zaraz po nim i prezes się ulotnił. Miał przeróbki w kamienicy, potem interes u rejenta. Kazia została sama, zazdroszcząc im zajęcia. Jej zatrudnienia były zabawką po pracy na wsi. Rachunek z kucharką, porządek w domu, drobne szczegóły z ogrodnikiem, cukiernią, handlem delikatesów. Starczyło do południa. Potem zeszła na podwórze. Miała tam przecie znajomych: konie z Gurowa i duszę przyjazną, Stacha Skowronka.

Stangret submitował się nowej pani, Stacho rzucił się do niej, prawie płacząc z radości. Poczęła pieścić klacze, cukrem je karmić, a one, jakby ją poznały, wyciągały szyje, skubały za rękaw.

— Biedaczki! Tak tu się nudzą, a takie wystraszone. Rżą, że aż się serce kraje — mówił Stacho.

— A tobie jakże się podoba? — spytała.

— Wedle wikt — to ha! — odparł i zerknął w stronę, stangreta. — W gębę też jeszcze nie wziąłem od pana Walentego.

Tu głos zniżył:

— Ino mi się cni za Gurowem. Oj, cni — westchnął.

— Przywykniesz, tylko pracuj i złej kompanii unikaj.

— Jakaż to tu robota! Precz się rozpróżniacę. Pan Walenty mówił, że będę za panienką, tfu, za jaśnie panią jeździł w jakieś Łazienki. Kiedy to będzie?

— Nie mam czasu dzisiaj. Szła ku bramie, Stacho za nią.

— Za przeproszeniem jaśnie pani, co tu jest do roboty? Woda precz na górze, chleb gotowy, co ino człek zamarzy, to na rynku jest, siano przywiozą, owies przywiozą, nawet siczka gotowa. Człowiekowi się zda, że się Żydem stał, co ino cudzymi rękoma robi i tylko pieniądze przebiera. Juści In wszelakiego się napatrzę i użyję, ale com umiał, to zapomnę, a od tego smrodu to mi i picie, i jadło nie smakuje, Koniska prychają, jak od ciemierzycy, tak im to powietrze w nosie kręci. Widzi mi się, że my tu nie przystaniemy z ochotą.

— Trzeba się przyzwyczaić, Stachu. A może grosza nie masz, biedaku?

— E, nie o to! Ja bym ino chciał gdzie bliżej jaśnie pani być. Z końmi to ja lubię żyć, ale tu ino na nie patrz, a nie używaj. Co to warte. Walenty mówił, że Janowie ino kwartału czekają. Ja bym do pokoju poszedł na młodszego.

W tej stajni, to ja nawet mego pana nie zobaczę, jak z Gurowa do pani przyjedzie. Kazia uśmiechnęła się.

— Ależ, Stachu, nie umiesz ani się ruszać, ani mówić. Byłoby ci jeszcze nudniej w pokojach. Musiałbyś milczeć zawsze.

— Tobym milczał. Ale ja bym ta panience usłużył. Ja się duchem służby nauczę!

— No to się ucz i czekaj cierpliwie. Rozważę. Stacho nabrał otuchy, poweselał widocznie. Pocałował ją w rękę i oczyma przeprowadził do bramy.

Kazia wzięła książkę z biblioteki i chciała czytać uważnie, ale myśli miała niesforne.

Co robić, czym zwalczyć pustkę i nudę takiej egzystencji, jaki cel dać życiu, które może jeszcze długie leżało przed nią? Tutaj, nikt jej nie potrzebował. Obcą jest zupełnie, obcą pozostanie, jeśli nie wrogą.

Książka opadła jej na kolana, a ona siedziała wtulona w kąć otomany, w gabinecie prezesa, bliska płaczu.

Wtem dzwonek się rozległ w przedpokoju, po chwili rozmowa Jana z odwiedzającym.

— Pana prezesa nie ma w domu.

— Wiem o tym — odparł ktoś, ale mi tę godzinę naznaczył, a że dzisiaj odjeżdżam, więc zaczekam.

— Proszę pana hrabiego do gabinetu.

Zanim Kazia miała czas powstać, gość wszedł. Jan za nim drzwi zamknął.

Spojrzeli na siebie, oboje zdziwieni. Gość się skłonił i zapatrzył się na nią. Ona powstała.

— Pan zapewne do pana prezesa Sanickiego? Proszę spocząć, za chwilę wróci.

— Dziękuję pani. Istotnie mam interes i bardzo mało czasu, więc lękam się rozminąć. Ale daruje pani moje zdziwienie na widok kobiety u prezesa. Pani pozwoli się przedstawić: Eustachy Kołocki.

— Zdziwienie pana jest słuszne, gdyż prezes jest moim teściem zaledwie od trzech dni.

— Andrzej się ożenił? — z wyrazem bezgranicznego podziwu zawołał gość i znowu się w nią zapatrzył.

Był to człowiek czterdziestoletni z piękną rasową twarzą, na której rył się przesyt i zmęczenie.

— Pani zapewne nie z Warszawy? — rzekł po chwili.

— Dlaczego? — uśmiechnęła się.

— Bo znam wszystkie tutejsze piękne panny.

— Przepraszam pana — czy pan fotograf? — odcięła.

— Nie, pani, tylko czciciel piękna. Ten Andrzej w czepku się rodził. Fortuny używa i nie stracił, młodości używa i nie zużył, umie życie trzymać w garści i kierować, gdzie i jak sam chce. No i ożenił się, i doprawdy gotów nawet być szczęśliwym do końca! Ja, jego mentor, uchylam przed nim głowy.

— Panowie się znają od dawna? — spytała Kazia.

— Od dnia mojej pełnoletności i rozpoczęcia procesu z matką. Dwadzieścia lat ubiega.

Spojrzała nań ze zgrozą.

— Pani się dziwi? Tak jest. Mam jedną nienawiść — matkę, i jedno marzenie — jej dokuczyć. Że zaś interesy jej są w ręku prezesa, widujemy się często. Licho mu płacę, więc przez wdzięczność zająłem się edukacją światową Andrzeja. Jakim jest — mnie zawdzięcza. Pani się podobał, nieprawda?

Roześmiał się gorzko i sztucznie, że Kazia, zamiast oburzenia, poczuła doń litość.

Popatrzała nań spokojnie, bardzo poważnie i nic nie odpowiedziała.

— Więc pani jest ze wsi bardzo cichej i pustej zapewne — rzekł po chwili innym tonem. — Widać to po licu pani, które zna pocałunki słońca tylko, i po oczach pani, które nie widziały jeszcze życia. Bardzom panią zgorszył?

— Bardzo mi żal pana, jak każdego kaleki — odparła. — Ale oto i dzwonek — to teść zapewne. Żegnam pana.

Skłoniła mu się z daleka i wyszła.

— Odsiedziałeś więzę u mnie, hrabio — zawołał prezes wchodząc. — Przepraszam, zaległości odrabiałem.

— Chciałbym często tak czekać. Zastałem tu panią i rozmawialiśmy.

— Ach, Kazie! — mruknął prezes, składając tekę na biurze.

— Andrzej się ożenił *incognito*? Kiedy? Gdzie?

— To było dawno ułożone. Nie rozsyłaliśmy zawiadomień, bo do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, czy będzie dyspensa. Krewni są — kłamał prezes.

— Ach, tak. Takie mając kuzynki i ja bym się ożenił. Ale przystępując do interesu, czy matka zgadza się na zmazanie jej hipoteki z Pożajska?

— Niestety, hrabio, to niemożliwe.

— Więc ja jej zapowiadam, że dobra sprzedam.

— Ona sama je nabyć pragnie.

— Ba! Ja to wiem, i dlatego właśnie sprzedam apanażom.

Na błądą jego twarz wystąpił rumieniec, nozdrza się rozdęły.

— Czy potrzebujesz, hrabio, pieniędzy? Możesz je mieć na pięć procent — odparł spokojnie prezes.

Kołocki rzucił się w fotel, zapalił papierosa i milczał.

Prezes, do oryginalności jego nawykły, począł wyjmować i rozkładać papiery z teki.

— Wiesz, hrabio, wielką nowinę? — spytał.

— Nic nie wiem — wracam z południowej Francji i dziś jadę do Moskwy, gdzie moje konie biegają. Cóż za nowina?

— Orszańscy się rozchodzą.

— Bagatela — dla kogo?

— Właśnie że dla nikogo. Od paru lat ona się burzy na jego życie. Co prawda, być żoną gracza, niewesołe. Teraz chce od jego wpływu i przykładu ratować syna. Wziąłem sprawę na siebie.

— Niech się rozchodzą. Ktoś pocieszy rozwódkę. Nie ja.

Prezesie, łaskawco, chcę nabyć dobra za Wisłą. Nie znacie co dobrego?

— Znam złote jabłko i za bezcen. Tylko trzeba parę lat zaczekać.

— Nic z tego. Zaraz albo wcale! Zresztą znajdę sam.

— Tak będzie najlepiej.

Po wygolonych wargach prezesa przeleciał dyskretny uśmiech. Znał swego klienta i wiedział, że na czyn nigdy się nie zdobędzie. Zresztą, teraz bardziej niż zawsze. Kołocki był rozdrażniony, a na to się wyczerpie mały zapas jego woli. Będzie parskał, odgrażał się i tym się nasyci. Potem przyjdzie okres hulanki na zabój, potem miesiące całe apatii. Losy Pożajska były tedy na czas dłuższy zabezpieczone. Mógł uspokoić hrabinę.

— Dobrze masz konie, hrabio, w tym roku? — spytał.

— Dwa dobre, reszta śmiecie. Muszę wygnać trenera.

I o tym słyszał już prezes od dawna, ale trener był zawsze na miejscu.

— I ja mam nowe konie dla synowej — pochwalił się.

Hrabia jakby nie słyszał. Rozparty w fotelu, był zupełnie duchem nieobecny. Po chwili otrząsnął się, roześmiał się dziwnie i wstał.

— Mój łaskawco — przyjdę jutro, aby usłyszeć decyzję tej starej mumii na moje *ultimatum*. Czy Andrzeja znajdę w biurze, czy na Erywańskiej?

— Zalim jest stróżem mego syna? — odparł prezes, uśmiechem pokrywając niesmak.

Kołocki nakładał powoli rękawiczki, jakby czegoś jeszcze czekał.

— Wie pan, co mi powiedziała pani Andrzejowa? Żem kaleka! To mi się podobało. Do miłego widzenia.

I z tym wyszedł, jeszcze raz się rozśmiawszy. Wsiadł do dorożki i kazał się wieźć na Srebrną, do biura, gdzie pracował Andrzej.

Zastał go nad rysunkiem technicznym, zajętego bardzo poważnie; poza ścianą potężnym oddechem dyszały warsztaty, przez okno widać było podwórze i kotły.

— A, witam! Cóż cię tu sprowadza? — zdziwił się,

— Chcę zobaczyć, jak wyglądasz żonaty, i powinszować. — Wiesz ty? Musi być smaczna twoja żona, kiedy ja mam na nią apetyt.

— Hm, to jestem od ciebie wybredniejszy, bo apetytu na nią nie mam.

— Marnotrawco — po coś ją brał zatem? Było mnie zawołać!

— No, przecież, nie sądzisz, abym brał żonę z tych, które się bierze bez sakramentu.

— A teraz?

— Co teraz?

— Kiedyś tej formy dopełnił, a nie dbasz, inni mogą cię wyręczyć.

Płomień uderzył do twarzy Andrzeja; zapaliły mu się oczy.

— Nosi moje nazwisko. Zapominasz się!

— Co znowu, nazwiska jej odebrać nie myślę — odparł cynicznie Kołocki. — Zresztą mamy dług. Pamiętasz Klarę? Zapowiadam ci, że się teraz za tamto skwitujemy.

— Gdybym cię nie znał, tobym się obraził. No, dosyć żartów. Na długoś przyjechał?

— Albo ja wiem? Jak mi się spodoba.

— Przyjdiesz w piątek na Erywańską?

— Jak to? Ty jeszcze tam tkwisz? Toś wołowina!

— Zielona zazdrość wyziera ci przez oczy.

— A u ciebie żółta młodość. Nie lubię ogranych kart. Dobre to dla emerytów, do pasjansa. Nie, na Erywańską nie pójde.

— Byłeś u ojca?

— Byłem i będę jeszcze często. Nie lękasz się?

— Bynajmniej.

— Źle robisz. Na twoim miejscu wymówiłbym dom. Śliczna jest twoja żona, a ty jesteś nosorożec.

Andrzej brwiami poruszył.

— Aleś figla spletał! I po cóż się ożeniłeś? Nie jesteś bankrut ani *parvenu*.

— Tak wypadło. Dokuczyło mi piekło z ojcem i kawalerski bezład w domu. Teraz mam spokój.

— Już ja postaram się, żebyś w tym spokoju nie spleśniał. No, bywaj zdrow, jadę do klubu. Chciałbym się zgrać do nitki: byłby to dobry prognostyk.

Po odejściu mentora Andrzej znowu robotą się zajął, ale pierwszy raz w życiu myślał o żonie.

Zachwył Radlicza był pustotą, może chęcią dręczenia pani Celiny, ale pochwała takiego znawcy, jak Kołocki, była czymś szczególnym. Może i on żartował z niego?

Stało się jednak, że Andrzej, zamiast o piątej, o czwartej złożył robotę i poszedł do domu.

— Jest pan? — spytał.

— Nie ma — odparł Jan mrukiwie.

— A pani?

— Nie wiem. Pani przecie usługuje Józef.

Andrzej przeszedł salony, zajrzał do jadalni, zauważył, że na stole były śliczne kwiaty i udał się na górę. Przebrał się, chwilę pochodził po gabinecie, potem zapukał do buduaru żony.

— Proszę — odpowiedziała.

Wszedł, dobrze nie wiedząc, co ma rzec. Siedziała u okna nad stosem bielizny i szyła.

— Ojciec wyszedł z budowniczym na chwilkę — rzekła nie przerywając roboty. — Może pan głodny?

— Nie. Wróciłem wcześniej — upał nieznośny tam w biurze. Co dzień mnie głowa boli.

— Niech pan nie pali papierosów” przy bólu głowy. Może by pan wody sodowej wypił? — rzekła życzliwie, usuwając koszyczek z niemi z kanapki i podając mu flakon z wodą kolońską.

Usiadł, a gdy znowu zajęła się robotą, nieznacznie się jej przyglądał. Miała na sobie kostium z jasnego batystu, bardzo skromny i przyzwoity, złote włosy oplecione bez pretensji wokoło głowy, na ręce migającej igłą, ślubną obrączkę. Pochylona, szczupła twarz miała jeszcze złotawy odblask wiejskiego słońca i wyraz poważnego spokoju. Nie mówiła nic, chcąc mu zapewne zrobić ulgę ciszą.

— Jakim sposobem poznał dziś panią Kołocki? — spytał. Uśmiech przebiegł jej po twarzy.

— To musi być chyba ludożerca, bo już ojciec na mnie za to napadł. Stało się to jednak bardzo naturalnie. Czytałam w gabinecie, on wszedł, nie uciekłam, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, no i rozmawialiśmy. Uczynił na mnie zrazu wrażenie wariata, oglądałam się za dzwonkiem na służbę. Potem się uspokoіłam, że to tylko próżniak chorujący na oryginała i koniec.

— Jest to specjalista od kompromitowania kobiet. Czyje imię przejdzie przez jego usta, ta już ma zachwianą opinię.

— O, biedna opinia w takim razie.

— Moim obowiązkiem jest panią ostrzec.

— Dziękuję panu, ale wątpię, czy go zobaczę drugi raz w życiu. Dziś wieczorem wyjeżdża.

— Zostaje i będzie u nas częstym gościem.

— Jeżeli pan z tym się zgadza, ostrzeżenie jest zbyteczne.

— Jest to nasz dawny znajomy.

— Tak, mówił mi o tym.

— Jak mówił?

— Że pana wychował w pojęciu światowym. Nawet się pytał, czy mi się jego uczeń podoba?

— Mam nadzieję, że odpowiedzi nie otrzymał?

— Nie jest przecie moim przyjacielem ani powiernikiem. Andrzej głowę oparł na poręczy kanapki i oczy przymknął. Buduar był od dziedzica, więc względnie cichy.

— Czy to prawda, że pani Janową oddała?

— Jest zbyt uczynna. Jej zajęcie ja sama załatwię w godzinę, z wielką radością, że coś mogę robić. Może pan temu nierad?

— Ach — ja! Byłbym najszczęśliwszym, żebym mógł wcale w domu nie być. Wszystko mi jedno, kto tu rządzi. Tylko za Janową pójdzie Jan, a ja do niego przywykłem.

— W feralny dzień zajęto to mieszkanie, bo zdaje mi się, że niejedynym rad by tu nie być — odparła składając robotę. — Może tu niegdyś było więzienie i bakterie buntu jeszcze się gnieźdzą.

Złożyła i sprzątnęła bieliznę, cichutko się ruszając i chodząc, potem przysłoniła firankę i wysunęła się z pokoju.

Andrzej pożałował poniewczasie swych słów brutalnych, rad by je cofnął, nawet chciał na razie przeprosić, ale nie wiedział jak. I rozchodzili się coraz dalej, coraz dalej.

Kazia zesłała do jadalni, obejrzała raz jeszcze stół i bufet, potem wsunęła się we framugę okna i wydobyla z kieszeni list ojca. Czytała go już, po raz dziesiąty:

„Na każdym miejscu i w każdej chwili stoisz mi na oczach, dziecko moje jedyne. Nie mogę się obyć z twą nieobecnością, szukam cię nawyknięciem. Ciężko żyć, ale to mię krzepi, że ci tam lepiej niż tutaj. Pisz, powtarzaj mi, że ci dobrze, że oni są dla ciebie serdeczni, żeś szczęśliwa. A jeżeli ci czego brak, coś ci nie dogadza, to nie taj; jam do złego przywykł, potrafię cię pocieszyć. Myślę, że nie wytrzymam, i chociaż czas teraz drogi, na rolniczą wystawę do Warszawy wpadnę”.

Dzwonek się rozległ w przedpokoju i Andrzej wszedł do jadalni. Widział, jak Kazia ukryła list w kieszeni i ręką przesunęła szybko po oczach, ale jej o nic nie spytał.

Ona, jakby w liście tym nabrała mocy, pierwsza do niego przemówiła:

— To zapewne ojciec i pan Radlicz wnet się zjawią. Czego pan szuka?

— Cytryny. Głowa mi pęka z bólu.

— O biada! I jeszcze ten gość! — rzekła ze współczuciem.

— Niechże pani nie udaje żalu nade mną. Do tego pani nie jest obowiązana.

— Miewam czasem migrenę, więc wiem, jakie to nieznośne. Zresztą chory przestaje mi być antypatyczny. Oto ma pan limonadę i, doprawdy, odbiorę papierosy. Przy pana podrażnieniu nerwowym, to trucizna. Przecie taki stan nie tylko dla otaczających, ale i dla pana samego jest przykrym.

— Co mi tam — mruknął. Prezes ich tak zasiał przy bufecie.

— Już się wrócił? Wiesz, że tu był Kołocki? — rzekł, badając pilnie twarz obojga.

— Cóż ja na to poradzę?

— Wyobraź sobie, że się Orszanscy rozchodzą.

— Ano, to bardzo szczęśliwi.

— A zgadnij, jaki kosztorys urznął mi budowniczy na oficynę? Pięćdziesiąt tysięcy!

— To niech ojciec sprzeda kamienicę.

— Hm, z dwojga złego, wolę już mieć kogoś na hipotece, niż sam u kogoś siedzieć i takie mieć chryje jak z Szaberową. Pojulrze muszę składać *vadium* i stawać do licytacji i jeszcze mi druga rudera się dostanie. Bo to widzisz — zwrócił się do Kazi — miałem sumę u Szabera,

kupca, jakieś tam siedmnaście tysięcy. Umarł kilka lat temu, została wdowa i pięć córek i uparła się dać radę interesom.

— I ginie, biedna!

— Ano — pojutrze zostaną na bruku. Jam się do tego nie przyczynił, bom pięć lat nie widział procentu.

— Przecie ojciec ich nie wyrzuci z mieszkania — rzekł Andrzej — trzeba im będzie poszukać posady i trochę pomóc. Dwie starsze są zdolne kasjerki

— Tak, ale jest troje drobiazgu, a matka skończy u Bonifratrów.

— Co za przeskok: z właścicielki kamienicy do nędzarki. Nieszczęśliwa kobieta — westchnęła Kazia.

W tej chwili wszedł Radlicz i rzekł z uśmiechem:

— Mam dla pani ukłony od pani Dębskiej, która państwa oczekuje w sobotę. Myślę, że znajdzie pani tam tłum i ciekawych.

— Ogórkowe widocznie czasy — zauważył Andrzej.

— Jednakże kilka par się skojarzyło tymi czasy, chociaż maj uchodzi za miesiąc nieszczęśliwy. Wolski się ożenił i panna Malwina Zakrzewska wyszła za mąż. Pani jednej świat oczekuje i wygląda. Nie byłem nigdy sławnym, ale to musi być przyjemne.

— No, nie. Ja mam to samo uczucie, jak gdy przybyłam do klasztoru i zewsząd słyszałam: nowa, nowa! Każde moje słowo, ruch, krok były oglądane i wyśmiewane. Tak samo teraz z moim parafianstwem będę zabawką dla Warszawy. Tu ludzie mają jeszcze więcej wolnego czasu i zamiłowania nowinek niż pensjonarki. Ano, cóż robić. Przejść to muszę.

— O! mnie się widzi, że i pani umie wzorki zbierać, Jakie by to ciekawe było wiedzieć pani uwagi o mieszcuchach.

— Ona sobie nawet nie zadaje ceremonii. Powiedziała dziś Kołockiemu, że jest kaleka — roześmiał się prezes.

Lokaj oznajmił obiad. Kazia zajęła miejsce gospodyni i rozlewając zupę odpowiedziała na pytający wzrok Radlicza.

— Ano, jak ktoś zamiast prostych pleców ma garb, jest wbrew prawom przyrody i nazywa się kalectwem. Więc, leżeli ktoś nienawidzi matki i za cel życia ma jej dokuczyć, I o także jest wbrew prawom przyrody, więc kalectwo.

— No, ale się garbatemu nie wypomina garbów — zaśmiał się Andrzej.

— Bo się z tym tai, a ten pan szczycił się swą nienawiścią dla matki. Nazwałam tedy rzecz po imieniu.

— Czy pani zawsze tak czyni? — rzucił Radlicz.

— Zawsze, jeżeli mnie kto pyta.

— Z tymi zasadami w ładną można wejść kabałę — mruknął Andrzej.

— Ale to bardzo zdrowe i ciekawe. Ja panią pytaniami zawsze będę zarzucał.

— Jakże się pani podobała Warszawa?

— Nie pierwszy raz tu jestem. — Ale wrażenia?

— Jakbym była we młynie. Hałas świdruje mi uszy, kurz oślepia, powietrze dusi. Wszystko pędzi, śpieszy, potrąca, jakby co krok był pożar. A przy tym jeden drugiego ogląda jakby coś osobliwego. A dla mnie wszyscy są tak do siebie podobni, że wolę już patrzeć na konie. Chociaż i te tutaj są szablonowe. Zdaje się, że tu wszystko ma na celu zatarcie oryginalności: drzewo, zwierzę, człowiek, budynek, wszystko starają się uczynić do drugiego podobne.

— Teraz rozumiem, dlaczego mi pani głową nie kiwnęła, gdym się dzisiaj kłaniał na Królewskiej.

— Doprawdy? Może być. Ja nie umiem patrzeć w mieście, nie biorę ukłonu dla siebie, przy tym wciąż boję się zablądzić, wpaść pod tramwaj lub dostać się pod miotłę stróża. Myślę, że mnie kiedyś poślaniec przyprowadzi, bo się zgubię.

Śmiała się sama z siebie.

— Okropnie szkalujesz mi Warszawę. Po obiedzie pojedziemy na spacer do Wilanowa. Zabierzesz się z nami do landa, panie Radlicz. Trzeba naszej wieśniaczce zaimponować — rzekł prezes.

— Ach — dobrze, dziękuję ojcu. Zobaczę kawał pola — zawołała radośnie.

Wtem spojrzała na Andrzeja i zasępiła się.

— Ale może nie dzisiaj? — zauważyła wahająco.

— Dlaczego? Pogoda śliczna.

— Głowa go boli, a musiałby jechać także — rzekła czerwieniąc się na to pierwsze poufale nazwanie męża. Nie mogła przecie mówić mu: pan, przy ludziach.

— Wygląda, jakby pani skłamała w tej chwili — szepnął Radlicz dyskretnie.

— Nigdy się nie uchylał od musu — ozwał się Andrzej.

Prezes spojrzał na niego ostro i zapanowało kłopotliwe milczenie. Lica Kazi pobladły i jakby rozpacz mignęła w oczach. Mój Boże, jak on tak odpowie przy jej ojcu.

Schyliła głowę zmęczona, zniechęcona do dalszej walki.

— Nie zna pani Wilanowa? — przerwał milczenie Radlicz.

— Nie. Wybierałyśmy się z Tunią, ale ona nigdy nie ma czasu.

— Nie mając żadnej roboty, jest zapracowana.

— Bo ja znowu jestem w rozpacz, że nie mam co robić, i myślę ogłosić się w „Kurierze”.

— Na jaką posadę? — śmiał się Radlicz.

— Ależ, Kaziu, przecie nie mówisz tego na serio? — przeraził się prezes, a Andrzej dodał:

— Jeśli o to chodzi, to bez ogłoszenia się znajdzie. U Dębskich spotkamy Ramszycową.

— Ach, prawda! Ta panią porwie jak łup upragniony i wyzyska, jak Żyd szlacheica.

— Kto to taki?

— To jest milionerka, Angielka, żona Ramszyca, tego od cukru, bo jest drugi od węgla. Biały Ramszyc i czarny Ramszyc, jak ich nazywają.

— Kobieta, na której określenie trzeba samych superlatywów, jest najbrzydszą i najelegantszą, jest najśmielszą i najswobodniejszą i najnieskalańszej opinii i życia. Jest złośliwą jak chochlik, a nie obmówi nikogo, jest najskąpszą w domu, a najwspanialszą w potrzebach ludzkości. Zresztą jest osiłą i trybem wszystkich dobroczynnych i miłosiernych zakładów i temu tylko oddana.

— Tatku, ja proszę o Ramszycową — skoczyła Kazia do prezesa uszczęśliwiona.

— Dostaniesz ją, dostaniesz. Jeszcze cię zamęczy i będziesz prosiła łaski — śmiał się prezes.

Radlicz spojrzał na zegarek.

— O siódmej spotkamy się w Alejach?

— Ach, to jedźmy — prosiła.

— Każ zaprzęgać — rzucił Andrzej do lokaja. Przeszli na kawę do salonu i po chwili oznajmiono powóz.

— — Spotkamy całą Warszawę w Alejach. Będę pani ludzi nazywał, a pani mi ich charakteryzować — zaproponował Radlicz. — Ubawimy się setnie.

— No nie, bo z tego urosnie plotka na milę — zaprotestował Andrzej. — Już ja znam twój język.

Wsiedli do powozu, malarz naprzeciw Kazi, i ruszyli.

Już na Nowym Świecie był tłok pieszych i powozów. Panowie co chwila unosili kapeluszy; malarz przedstawiał mijanych ludzi.

— Stara Westenhausowa z córką i Turciem. Ciekawym, na kogo on się wreszcie zdecyduje: na matkę czy na córkę.

— Zdaje mi się, że już dawno po decyzji — mruknął Andrzej.

— O, jakie śliczne szpaki! — zawołała Kazia.

— To Menczówna Kołockiego. Ładna i co za kolczyki! Jakąś nową przyjaciółkę obwozi. Ukłonili się wszyscy trzej jakiejś otyłej damie z dwiema pannami.

— Baronowa Brandt z córkami. Najstraszniejsze plotkarki z całej Warszawy. Boże, jak one panią oglądają łapczywie. Ten stary, łysy, to Orzechowski, krytyk i literat, rzeźnik ludożerca! O! jest i hrabia Kodo z Kołockim.

Minęła ich dorożka na gumach, w której rozparci dwaj panowie ukłonili się, potem Kołocki coś szepnął, obejrżeli się raz jeszcze.

— Masz — jest i Ramszycowa — rzekł prezes.

— Gdzie, gdzie? — zaciekała się Kazia.

— Ta, co sama powozi wolantem. O! staje i rozmawia z młodym Józwickim, redaktorem.

Kazia spozjrzała. Młoda to była kobieta, śniada, nieładna, bardzo elegancka. Obok niej siedziała dziewczynka kilkoletnia z pmczeiem w objęciach, za nimi stangret w stereotypowej pozie.

Rozmawiała redaktorem bardzo żywo, polecała mu coś, tłumaczyła, twarz jej drgała życiem i inteligencją, trochę nawet zuchwalstwem. Wreszcie podała rękę Józwickiemu, skinęła mu głową i ruszyła dalej, patrząc ponad głowy ludzkie i machinalnie skinieniem odpowiadając na powitania.

Zrównała się z powozem Sanickich, spozjrzała na nich, sekundę zatrzymała oczy na Kazi i pomknęła dalej.

— No, jakże ci się podoba? — spytał prezes.

— Ogromnie. To jej córeczka?

— Jej jedynaczka. A to ich pałac, Dalej pojechała, do Łazienek zapewne.

Aleje były pełne. Nieprzerwany ciąg powozów sunął w dół, skręcał do Łazienek lub dalej do rogatek. Kazia słuchała oszołomiona objaśnień Radlicza, nazwisk, stanów, skandali, złośliwych dwuznaczników i zamykała chwilami oczy, bo czuła w głowie chaos.

Pełne tłumy były chodniki, ławki, cukiernie, ogródki. Szum, turkot, parskanie koni, dzwonki tramwajów, zaduch końskiego potu, kurzu, kwitnących lip, ludzkich oddechów, wszystko się mieszało. I tłumy mrowie, fala ludzka.

Nareszcie koło rogatek spotkali Dębskich. Tunia, królująca wśród dwóch sióstr i młodego Markhama, zaczęła dawać im znaki czerwoną parasolką. Stanęli.

— Dokąd państwo?

— Do Wilanowa.

— I my. Świetnie! Tylko Julek gdzieś nam się zapodział, Nie widzieliście go?

— Znajdzie się! Na to on mąż, by się odnalazł — rzekł Radhcz. — A nie będzie go, mniejsza! Mogę go zastąpić!

Dębska pogroziła mu parasolką. Dwie jej siostry, sztywne, ostatnie słowo mody, blade, cieniutkie i wątle, uśmiechały się jak porcelanowe laleczki.

— Spotkamy się zatem — zakończył prezes, znudzony tym stanem, bo się wokoło już gawieź skupiała.

Wtem obok nich przejechał powóz. Siedziała w nim samotna dama, bardzo piękna, elegancko, trochę za jaskrawo ubrana. Andrzej i Radlicz ukłonili się, prezes nie. Dama badawczo, bystro wpatrzyła się w Kazię, aż ta poczuła to spojrzenie i podniosła oczy.

Spotkały się wzroku; dama uśmiechnęła się lekko, ale tak, że Kazię to tknęło.

— Kto to taki? — spytała Radlicza.

— To jest pani von Reuter — odparł tenże z dziwnym uśmiechem.

Na skronie Kazi wybiegł rumieniec. Tuma już jej opowiedziała wszystko o stosunkach męża. A zatem to była ona, ta czarodziejka, która go trzymała w swojej władzy i pod swoim urokiem tyle lat.

Nie śmiała spojrzeć na Andrzeja, dałaby wiele, żeby móc cofnąć pytanie.

Szczęściem zjawił się Dębski w dorożce, szukający żony, i nadjechała Ramszycowa. Miała już towarzyszkę jakąś chudą, niemłodą, źle ubraną damę, z którą żywo rozmawiała. Minęła lando Sanickich i pomknęła za rogatki.

— Ciekawym, dokąd Ramszycowa wiezie Ocieską. To moja koleżanka, malarka — objaśnił Radlicz Kazię.

— Dwie fiksatki — rzekł Andrzej.

Wyjechali za rogatki, ale było to jeszcze miasto; brudniejsze, bezładniejsze, ale miasto. Co krok ogródki, bawarie, restauracje i tłum po nich topniał, szukając powietrza, mając złudzenie wsi, drzew, cienia. „Majówka”, „Wiązanka”, „Sielanka” nazywały się te ponętne ustronia. Pełne stolików i ławek, parkanów, altan, brudnych służących, szczęku szkła i talerzy, wałęsających się psów, śwędu kuchni, dźwięku rozbitych fortepianów i szczęśliwego z tych rozkoszy wiejskich tłumu.

— Warszawa używa wsi — rzekł prezes. Kazia się uśmiechnęła.

— Co pani myśli? — podchwycił Radlicz.

— Myślę, czy biedniejsza wieś w tej parodii, czy ludzie, którzy innej nie widzieli.

— Dla mnie mogłaby najpiękniejsza nie istnieć — rzekł Andrzej. — Nie znam nic wstrętniejszego nad wieś i jej rozkosze.

Milczała. Radlicz zaprotestował.

— Ja bym może nie potrafił jej być wiernym, ale bywam w niej rozkochany co rok. Co lato miewam głód przestrzeni i rozkoszuję się na letnich wycieczkach. Tam się inaczej żyje, czuje, myśli, nawet kocha. Ale myślę ze zgrozą, jak ludzie mogą spędzić na wsi listopad lub marzec! Wściekłbym się! Czy pani nawet te miesiące lubi tam?

— Bardzo. Latem wre i kipi praca, pochłania czas i myśli. Miejskie wakacje, to dla wieśniaka ciężka kampania, znojny i troskliwy okres. Jakże mile się wita długie jesienne wieczory! Wtedy się czyta, kształci, uczy i wypoczywa.

— Alboż młode panny pracują na wsi?

— Zapewne są i takie, które się bawią. Ja pracowałam i listopad wspominam równie mile, jak kwietny maj.

— Jakże pani pracowała? Zapewne smażyła pani konfitury i preparowała różne smakołyki?

Uśmiechnęła się.

— Robiłam i to, ale bardzo dawno, zaraz po powrocie z klasztoru, kiedy ojciec nie wierzył, czy co więcej potrafię. Byłam szafarką i gospodynią, potem byłam rachmistrzem cały rok pod ferułą buchaltera.

— Bagatela, posiada pani buchalterię?

— Czy to takie trudne? Potem od trzech lat zarządzałam już samodzielnie całym nabiałowym gospodarstwem. To ciężka praca.

Spojrzał na nią nie rozumiejąc.

— Przecie tym się zajmują dojarki, pastuchy i klucznice.

— Tak, cała brygada ludzi. Miałam w swym zarządzie siedemdziesiąt osób służby, bo oprócz mleka miejscowego zwożono nabiał z całej okolicy i przerabiano na naszych centryfugach. Rachunki duże i drobiazgowo z dostawcami, z odbiorcami, z zarządem miejscowym, obrót roczny dochodził piętnastu tysięcy rubli, a robota zaczynała się co dzień o piątej z rana, kończyła o dziesiątej wieczorem. Więc listopada oczekiwałam z utęsknieniem, bo się było fizycznie zmęczoną, a umysłowo ogłupiałą.

— Jakież mus czy pokuta kazała pani tak się zamęczać?

— Żaden mus. Byłam rada i dumna, że czymś jestem i coś czynię. Pokutą by mi było nic nie robić. Za nic tak wdzięczna nie jestem ojcu, jak za to, że mnie pracować nauczył.

Spojrzała w dal, odetchnęła głębiej, bo wydostali się przecie w pole — i rzekła poważnie:

— Jak się nie ma matki, trzeba pokochać pracę. To miłość, co nigdy nikogo nie zdradzi.

Radlicz, który wyjechał, by żartować i bawić się, a potem w śmiech chciał obrócić jej pracę, mimo woli spowaźniał. Gdyby to zdanie wygłosiła inna panna, chorująca na reklamę z emancypacji i samodzielności, odpowiedziałby sarkazmem, ale gdy patrzył na tę twarz jasną i delikatną, pełną kobiecego wdzięku i prostoty, gdy słyszał w głosie szczerą wesołość i młodzieńczy zapach, poczuł dla niej zachwyt i wielką sympatię, i chęć zajrzenia głębiej w tę duszę, tak inną, tak świeżą, tak nadzwyczajną. Obudził się w nim artysta, utajony marzyciel. Była jak kwiat dziki, ze szczytów lub odludzia przeniesiony igraszką losu na bruk. Kwiat, który chowało słońce, rosą, ziemia bujna, a który kochać i czynić nauczyły pszczoły.

Ona, nieświadoma wrażenia, które nań wywierała, rozglądała się wokoło. Nozdrza jej się rozdymały, jaśniały radością oczy.

— Ojczy — zwróciła się do prezesa cała uśmiechnięta — wolno mi będzie wyjeżdżać konno aż za rogatki raniutko, jak jeszcze bywa pusto?

— Wolno, pewnie, ale któż z tobą pojedzie?

— Staszek.

— Tu raniutko bywa tłok wozów na targi.

— Koloniści i zbóje, cała publika! — wtrącił Andrzej. — Najlepsza sposobność być zaczeponą grubiańsko!

— Więc nie jechać? Dobrze! To wrócę od Belwederu — rzekła łagodnie.

— Pozwoli pani, będę eskortował na rowerze — rzekł Radlicz.

— Nie bądź taki ofiarny — zaśmiał się prezes. — Ona wstaje przed stróżami. Wyjeżdża przy zapalonych jeszcze latarniach.

— Skąd ojciec wie? — zaśmiała się.

— Wyobrażam sobie, bo gdy oczy otwieram, słyszę, że dom już w ruchu i pokoje sprzątnięte. Lada dzień cała nasza służba zemknie.

— Założę się, że spotkam jutro panią koło Belwederu.

— Może, jak się wcale spać nie położysz.

— No, nareszcie Wilanów! — rzekł Andrzej tonem ulgi. — Dębscy już zajęli pół werandy. Patrzcie: konie Ramszycowej stoją.

Wysiedli, wnet zagarnęła ich Dębska, zmieszali się z kompanią, potworzyły się kółka. Prezes mówił z Dębskim, Andrzej z Markhamem. Kazia słuchała roztargniona trzepania Tum, szermierki jej języka z Radliczem, który odzyskał swój swawolny humor.

— Nie pójdziemy do parku? — spytała wreszcie, widząc, że się zanosi na długą gawędę i jedzenie.

— Po co? Albo nam tu źle! Nikogo tam dzisiaj nie spotkamy znajomego — zaprotestowała Dębska.

— A topole prawie będą stare bajki o Sobieskim — zaśmiał się Radlicz.

— Przyroda jest monotonna — wtrąciła któraś z panien. — Pół roku chodzi w zieleni, pół roku w czerni i tak w kółko od początku świata.

— Nie w czerni, ale nago, i z tym jej nie do twarzy, bo koścista i sucha — dorzucił malarz.

Kazia uśmiechnęła się, ale nic nie rzekła.

— Chce ci się parku, chodź ze mną — zaproponował prezes.

Powstała uradowana i wsunawszy rękę pod jego ramię spojrzała mu serdecznie w oczy.

— Złoty tatuś — szepnęła mu idąc ku bramie.

— Ciekawym, czy Markham reflektuje na serio co do tej starszej? — rzekł, gdy byli już w parku.

— Jak to? — nie zrozumiała.

— Ano, stara się o nią. Dębski mi mówił, że matka daje pięćdziesiąt tysięcy, ale chce przy nich zamieszkać, i Markham się namyśla. To porządny chłopak, przyjaciel i kolega Andrzeja.

— Andrzej powinien mu zatem dodać odwagi — zauważyła złośliwie.

Wtem naprzeciw nich ukazała się Ramszycowa z ową malarką. Prezes się uklonił, ona stanęła, podała mu rękę.

— Witam pana. Gdzie się prezes chowa, że go się nie spotyka? — rzekła swobodnie.

— Siedzę w domu, bo mam młodą gospodynię.

— To pana synowa? Proszę nas zapoznać!

— Spełnię jej marzenie.

— Bo co?

— Bo mi ojciec mówił, że pani rada pracuje, a ja mam tyle wolnego czasu do ofiarowania — odpowiedziała Kazia z prostotą.

— Ślicznie, na czas i dobre chęci ja kupiec. — Biorę panią w antreprzyżę. Jutro rano wstąpię po panią i zaprzęgnę do roboty. Załatwione. A teraz przedstawię pani moją bratnią duszę. — Panna Ocieska, pani Sanicka.

Malarka ukloniła się sztywnie, świdrując Kazię oczyma krytycznymi.

Szli teraz wszyscy razem i Ramszycowa mówiła.

— Ciekawam, jak też sobie pani pracę przedstawia?

— Jako szczęście — odparła szczerze Kazia.

— Oho! Krótko i mocno! Podoba mi się pani.

— A pani mnie. . . Roześmiały się.

— Ona istotnie ma, pasję do pracy — wtrącił prezes.

— To dobrze. Ludzie bez pasji warci co najmniej szubienicy.

— Oho ho! — zaprotestował prezes — bywają pasje warte szubienicy.

— Nie, takim należy zawsze więcej honoru; kula w łeb. Zwróciła się do Kazi.

— Ale mech się pani nie spodziewa w pracy ze mną towarzyskich przyjemności. Z zasady nie lubię stowarzyszeń, a tym mniej stowarzyszeń damskich. Należałam do wielu i ze wszystkich się usunęłam.

— Z wielką szkodą dla instytucyj — wtrącił prezes.

— Ale z wielką radością członków, bo byłam wiecznie w opozycji i gadałam impertynencje. Co mam dać, dam sama, co mam robić, wiem sama...

— Jednakże zbiorowy czyn... — zaczął prezes.

— Niech pan powie: zbiorowe paplanie! — przerwała niecierpliwie.

— Nie mogę, łaskawa pani, przez galanterię dla płci pięknej — zaśmiał się.

— Otóż właśnie. Galanteria... Płeć piękna... Co za absurdy! Zbydlęciliście tym kobiety! Jeśli wam i im z tym dobrze, to i owszem; ale wy nie zawracajcie głowy wciąż dla nich, bo to fałsz, a one niech nie napełniają świata wrzaskiem o emancypacji, bo ten wrzask, to gęganie! A teraz żegnaj państwa, jutro o dziesiątej zabieram panią do roboty.

Uścisnęli dłonie i Ramszycowa zawróciła ku wyjściu.

— Cóż, jakże ci się podoba? — spytał prezes.

— Zazdroszczę jej siły i odwagi.

— Ba, jest na to milionerką i Angielką. O nic i nikogo nie dba.

— Męża jej zna ojciec?

— Znam, bardzo zdolny i pracowity. Mieszka w wagonie, w domu jest gościem, nie bywa nigdzie, robi miliony. Zresztą gentleman sztywny, małomówny, zimny. Wracajmy. Jaki tu chłód od wody.

Kazia stała nad kanałem zapatrzona w migocącą toń. Zapomniała o Ramszycowej i rzeczywistości, miała złudzenie swej wsi, przestworza wolnego i wolnego życia. Drgnęła przestraszona, rozejrzała się i poszła szybko w stronę pałacu. Prawda, wieczór już był i chłód poczuła w dreszczu.

Na werandzie Dębska bawiła się w najlepsze; pełno było osób, jedzono i pito.

— Wiesz — szepnęła półgłosem — przysięgnę, że w gabinecie jest Lolo Szmurski; poznałam jego śmiech; ale z kim mój Boże, z kim? Będę tu nocowała, żeby się dowiedzieć.

— Cóż cię obchodzi jakiś Szmurski? — odparła obojętnie Kazia.

— Nie wiesz? On jest po słowie z cioteczną siostrą doktorowej Downarowej. Łapali go przez' trzy karnawały, teraz triumfują.

— Wiesz co? Nie rozumiem jeszcze bardziej, co cię obchodzi narzeczony ciotecznej siostry jakiejś doktorowej. Czy ona ci krewna?

— Ta jędza! Jeszcze może co? Ale bym im dopiekła — może by zerwali!

— Pani Marto — troszczysz się i frasujesz o bardzo wielu! — rzekł sentencjonalnie Radlicz.

— Idź pan — dowiedz się, kto tam jest z Lolem.

— A co ja za to dostanę?

— Obiecuję panu, co pan chce.

— Obiecuję — gwizdnął. — Anim taki młody, anim taki stary, aby mnie obietnice nasyciły.

— Cyniku!

— Do usług! — odparł z ukłonem.

— Julku! — zawołała pani Tunia męża. Obejrzał się, ale kończył rozmowę z Andrzejem.

— Ostatecznie tak, jak rzeczy stoją, *vadium* złożyć trzeba i rudera zwali mu się na łeb. Ano, nie chciał mi wierzyć! Co ci trzeba? — spytał żony.

— Lolo Szmurski jest tam w gabinecie — wiesz?

— Może być.

— Ale z kim, żeby się dowiedzieć!

— Zapewne z Kosecką — odparł Andrzej.

— Jak to? Jeszcze z nią nie zerwał? Ohydne. One są pewne, że to skończone! Andrzej ramionami ruszył.

— Jeśli są pewne, to i dobrze. O co więcej chodzi?

— Ach! Żebym ja była pewna! Julku, dowiedz się.

— Ani mi w głowie — i dalej mówił z Andrzejem. Radlicz parsknął śmiechem.

— Ja wiem, ale nie powiem.

— Kaziu, każ mu powiedzieć.

— Ja? — Kazia spojrzała zdumiona. — Co mnie to może obchodzić, a nawet gdyby obchodziło, tobym nie spytała.

— No, no, żeby tak twój wybrany walał się po gabinetach restauracyjnych z baletnicami, nie byłabyś taka wielka.

Kazia zarumieniła się.

— Nie jestem wielka, tylko — zacięła się — tylko, albo jestem pewna, więc nie podejrzewam ani szpieguję, albo nie wierzę — i wtedy nie dbam.

— Wracamy — odezwał się prezes.

Powstał ruch. Dębska zajrzała przez okno do gabinetu, ale firanki były dyskretne. Poczęto się żegnać, siadać do powozów. Gdy lando Sanickich ruszyło, Radlicz się roześmiał z cicha.

— Tyś strzelił tą Kosecką — szepnął do Andrzeja. — Myślałem, że Markhama szlag zabije.

— Te panny co dzień subtelniejsze — wtrącił prezes.

Zaczęli mówić o innych znajomych, Kazia rozglądała się po niebie i ziemi. Miała ochotę usunąć woalkę, zdjąć kapelusz, dać głowę i twarz pod rzeźwy powiew wieczoru, nie słuchała rozmowy. Powóz toczył się po szosie, cisza i tchnienie wsi umykało wstecz, coraz gęściej były domostwa, coraz gęściej ognie podmiejskich ogródków. Jak potwór, w dali leżało miasto, wstawiała na nim łuna światła, a te tancbudy, bawarie, restauracje były jak macki potworu, które wyciągał ku wsi, by ją pożreć, zbrudzić, skazić, zatruc ciszę i spokój hulaszczą melodią i gorączkowym, niezdrowym podnieceniem.

— O czym pani myśli? — spytał nagle Radlicz.

On się w nią od dawna wpatrywał, coraz bardziej oczarowany.

— O czym? — powtórzyła zamyślona. — Mam wrażenie, że tam przede mną czeluść piekielna.

— Warszawa? Boi się jej pani?

— Nie, ale mam wstręt — szepnęła.

— Jeszcze ją pani pokocha z czasem.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Będzie pani jutro rano w alejach konno?

— Będę.

— Wolno pani towarzyszyć?

Coś było w jego głosie, że spojrzała mu w oczy.

— Czemu nie — odparła spokojnie.

— Układacie naj bezczelniej schadzki — rzekł prezes. — Otóż ja kładę *veto*. Bardzo cię lubię, Radlicz, ale twoje towarzystwo zbyt kompromituje każdą kobietę.

— Jak Boga kocham, nie każdą.

— No, no, to tylko dowód, że Boga nie kochasz. Moje dziecko, to dobry chłopak, ale nawet szanująca się kokota z nim się nie pokazuje, taką ma bestia zdartą opinię i taki zły język. Mówię ci to w oczy, Radlicz, nie kuś się na nią, bo ani jej zdobędziesz, ani jej nie obmówisz.

— Amen — zakończył śmiechem malarz.

Byli już w mieście. Kazia spojrzała w przejeździe na pałacyk Ramszyców. Parę okien tylko było oświetlonych. Pomyślała z otuchą, że jutro zacznie pracować, i poweselała. Po chwili stanęli w domu.

— Mam jeszcze interes na mieście — rzekł Andrzej.

— I ja usuwam swą sponiewieraną osobę — dorzucił Radlicz wesoło.

Pożegnali się u bramy, młodzi ludzie poszli razem dalej.

— Na Erywańską? — spytał Radlicz.

— Uhm! — mruknął Andrzej.

— Wstąpię i ja zobaczyć, jak cię powitają.

U pani Celiny, jak zwykle, było wesoło i swobodnie. Pani Bella śpiewała kuplety i na ich widok zaintonowała: *Andreas noch in Banden frei!*

Andrzej się zmarszczył. Koncept mu się nie podobał, powitał gospodynię domu i zbliżył się do fortepianu.

— Bohatersko pani nastrojona — rzekł — może *Wacht am Rhein* potem lub *Marsylianke*. Witam!

Popatrzył na nią tak, że wesoła kobietka straciła rezon na chwilę; on dalej witał resztę towarzystwa. Pani Bella zaczęła Radlicza:

— Co mu jest? Wściekły! — szepnęła.

— Po co mu pani nadeptuje na odciski?

— Cóż ta żona?

— Ano, widziała ją pani na dworcu.

— Phi, nic nie mówi i nieładna.

— Nie, nieładna, bo śliczna!

— Żarty, czy to dzisiejsza flamma? Byliście w Wilanowie? Mówiła Cesia.

— Chciałbym z nią być w raj.

— Radlicz przebrany za trubadura! Pyszne! — parsknęła śmiechem. — Wiesz co, zbałamuc ją. Celina ci będzie wdzięczna.

— Takich się nie bałamuci. Zresztą Andrzej prędzej dostanie dymisję tutaj, niż się spodziewa.

— Co ty za wzrok masz! Przed tobą nie chciałabym ukrywać nic!

— Dziękuję, umiem to ocenić.

— Bardzo mi przyjemnie. Co do twych obserwacji więcej się domyślasz, niż jest dotychczas. *Un peu de flirt par dépit!*

— Wszelka rzecz zaczyna się od początku!

— Co takiego? — ozwał się za nimi głos pani Celiny.

— Wszystko. Kwiat od korzenia, czyn od myśli, zdrada od przesytu.

— Myli się pan w tym ostatnim; zdrada od miłości.

— Dla drugiego?

Uśmiechnęła się zagadkowo i poszła dalej. Radlicz się obejrzał po towarzystwie i rzekł:

— Zatem Maks już nie bywa zupełnie? *Un, deux, trois — capitaine et roi!*

— Ba, po co się żenił! — ruszyła ramionami.

— Co mi, pani za melodramat opowiada. To się już ciągnie od pół roku. Znajduję, że był wielki czas skończyć tamto. Nie znam nic bardziej poniżającego człowieka, jak miłość dłuższa nad pół roku, ten romans trwa pięć lat. Wielkie nieba, nie karzcie mnie za moje grzechy niczym podobnym!

— Nie ma obawy! Myślę, że pan na tygodnie nigdy nie rachował.

— Owszem, ale zastawy w lombardzie; miłości, nie! Albo brakuje kobiet?

— Albo czy kobiety traktują pana na serio?

— Niech będą za to błogosławione, od pani począwszy!

Dano hasło do kolacji. Radlicz podał jej ramię.

— Czy to recydywa? — spytała ze śmiechem.

— Nie, ale przy pani mogę myśleć o innej. To tylko wyrachowanie.

— No, no — to już za wiele szczerości — obraziła się, cofając rękę.

— Woli pani recydywę? Służę! — odparł, patrząc na nią oczami satyra. Zachnęła się.

— *J'ai failli vous piendre au sérieux!* — odcięła i poszli razem.

— A ta ostanía? Jaka? — spytała u stołu.

— Z. nikim nigdy nie mówię o ostatniej, tylko z nią samą. Tym się różni od swych poprzedniczek.

— A zatem odpowie mi pan za tydzień?

— Zapewne... może pojutrze!

Szydercza jego maska była niezbadana. Przez cały ciąg kolacji dowcipy jego latały z końca w koniec stołu, wzbudzając śmiechy lub oburzenie. Gdy towarzystwo przeszło do salonu, pani Bella po chwili zamieszania poszukała go oczyma, na próżno. Zniknął, z nikim się nie żegnając. Korzystał z praw człowieka, którego nikt nie brał na serio.

Gwizdząc, z rękoma w kieszeniach, krokiem człowieka, który się do niczego nie śpieszy, wyszedł na Marszałkowską i ruszył ku domowi.

Mijając kamienicę Sanickich, spojrzął w górę, przestał na chwilę gwizdać, zwolnił kroku. Potem mruknął coś, jakby dorożkarskie przekleństwo, splunął i znowu gwizdał.

Tak zaszedł do domu, zapalił lampę w swej pracowni, usiadł przy stole i na leżący arkusz papieru rzucił szkic kobiecej głowy.

III

Nazajutrz stary Sanicki, przyszedłszy na obiad, zastał Kazię rozpromienioną. Układała kwiaty na stole i poczęła mu opowiadać wesoło:

— Będzie miał ojciec teraz spokój ze mną. Znalazłam zajęcie. Ach, jaka ona sympatyczna, ta Ramszycowa, co za energia i siła! Nie będę próżnowała! Jakie szczęście! Od jedenastej do trzeciej co dzień będziemy pracowały!

— Cóż, Radlicza nie spotkałaś na spacerze?

— Nie. On ani myślał o tym.

— No, no! Ostrożnie!

— Z czym? — zaśmiała się.

— Zanim się zaczynasz podobać!

— Ja? Mnie nikt! — odparła —ruszając ramionami. — Oprócz ojca, naturalnie — dodała pokazując ząbki w uśmiechu. — O! ojca to muszę zbałamucić koniecznie!

Spojrzała nań serdecznie i nagle twarz jej jakby zastygła, promień w oczach zgasł, cofnęła się, rzuciła wzrokiem na stół i pocisnęła elektryczny dzwonek.

— Józefie, obiad! — rozkazała służącemu.

Andrzej wszedł do pokoju...

*

Co dzień rano, gdy dom jeszcze spał, Kazia chodziła na mszę do Św. Krzyża i co dzień spotykała na schodach barczystego, szpakowatego mężczyznę, który jej się grzecznie z drogi usuwał, schodził za nią aż do bramy, tam wsiadał w pierwszą lepszą dorożkę i ginął jej z oczu. Tak regularne co dzień były te spotkania, że go znała doskonale, i wreszcie raz przy śniadaniu spytała teścia:

— Kto to jest ten gruby pan, co go widuję co dzień rano na schodach? Mieszka nad nami.

— Taki z brodą? To doktor Downar zapewne.

— Ten sławny?

— A ten.

— Tak niepocześnie wygląda.

— Rano się od żony wynosi — ozwał się Andrzej nie podnosząc od gazety oczu.

— A to się dobrali — uśmiechnął się prezes.

— Po co się żenił, osieł — mruknął Andrzej,

— Ma złą żonę? — spytała Kazia teścia, jakby nie słyszała uwagi męża.

— Jęzda baba, skapa, chciwa; cierpieć jej nie mogę. Downar sam, to zacności człowiek, no, i powaga naukowa, genialny chirurg i diagnostyk. Zresztą jeden z tych rzadkich, którzy nie dla chleba i kariery, ale z powołania i zamiłowania leczą. Gdyby nie żona, byłby w nędzy, ale szczęśliwy, że ją ma, więc są bogaci, ale on osiwał, choć ma ledwie lat czterdzieści, Trzeba, żebyście do nich poszli z wizytą, jak się raz na to zbierzecie.

— Nic pilnego — mruknął Andrzej wstając i wyszedł.

— Ten się z dniem każdym robi nieznośniejszy — wybuchnął stary Sanicki. — Będę musiał się z nim na serio rozmówić.

— Tatku, nie gniewać się! — skoczyła do niego i objęła pieścotliwie za głowę. — Trzeba mu wybaczyć, nie wymagać nic, nie uważać na humory. Z czasem się uspokoi, musi mieć jakieś zmartwienie, a tatko wie, że mu w domu niemiło. Niechże ma spokój chociażby.

— Ależ on co słowo tobie ubliża! Ja tego nie ścierpię!

— Ale ja ścierpię. Uczciwie mnie uprzedził, co mnie czeka w pożyciu; jeśli pomimo to wyszła za niego, moja rzecz jest przystosować się do warunków. Doprawdy, tatku, mnie to nie boli już nawet. Byle był inny, gdy nas kiedy ojciec mój odwiedzi, to żadnego żalu mieć nie będę. Niech się tatko tym nie irytuje: są gorsze położenia i domowe stosunki; ja sama cięższe przeszłam. Nigdy, nigdy narzekać nie będę. Mam pracę teraz i tatko mnie kocha — prawda? No, to— i dobrze.

Ucałowała go w czoło, a stary rozczulony, patrzył na nią serdecznie i już się uśmiechał.

— Osieł jest, głupiec, ślepiec! Mieć takie śliczne stworzenie swoje i latać za starą awanturnicą — mruczał. — Bóg mu za karę rozum odebrał. Moje śliczne dziecko, córucho kochana, może byś chciała gdzie pojechać, zabawić się, rozerwać? A może dziecko chce co kupić, nigdy nie wspomina o groszach. Może ci mało trzysta rubli miesięcznie — powiedz?

— Tatko żartuje, a toć mi na dwa wystarczy, a chyba źle was nie żywię. Nawet pan Andrzej nie zrobił o to sceny.

— Ależ dogadzasz i nawet psujesz. Dawniej uciekałem od obiadów w domu, a teraz nawet na prośzone występy nierad chodzę. A tej służby, która mi truła życie, teraz jakby nie było; ani ich słysząc. W innych rodzinnych domach panie wiecznym narzekają na kucharki i lokajów, panowie na szalone wydatki, a u nas o tym nigdy mowy nie ma. Ty mi dom rajem zrobiłaś, ty jesteś czarodziejka.

— A bo ja, tatku, stanęłam tu do moich obowiązków przygotowana. Wiem, co do mnie należy, byłam u ojca w dobrej szkole. Tutaj to żadna robota, w porównaniu z tą u nas, na wsi. Przez myśl by mi nie przeszło zajmować was, mężczyzn, pracujących i myślących na szerszym polu, drobiazgami domowego gospodarstwa. Dom musi dla was być odpoczynkiem w spokoju, jeśli nie może być szczęściem i weselem. A żeście mi powierzyli zarząd tego domu, więc przez samą ambicję muszę zarządzać tak, aby nic nie zgrzytało w tej maszynierii. Umarłabym ze wstydu, gdybym sobie rady sam nie umiała dać i chodziła do was z narzekaniami lub prośbą o pomoc. Nie, to się po mnie nie pokaże.

— Zuch dziecko! Że też masz czas na wszystko!

— A cóż tu tak bardzo jest do roboty? Trzy konie na stajni, kucharka, lokaj, młodsza, pralnia, targ, siedem pokoi do utrzymania w porządku, rachunek i dyspozycja wieczorem, To żarty taka robota, byle rano wstać i mieć pamięć w porządku.

Spytaj inne panie, co o tym mówią. Nigdy na nic nie mają czasu.

— Bo się tak urządzą. Tunia wstaje o dziesiątej, ubiera się półtorej godziny, ciągle ktoś do niej wpada, gadają sobie nowinki. Potem biega z wizytami, potem niby coś kupuje i ogląda sklepy. Naturalnie, że nie ma na dom czasu.

— No, a ty, co robisz, jak się nas pozbędziesz?

— Idę do kuchni, potem do stajni, potem jadę konno ze Staśkiem aż za rogatki, potem wracam, zaglądam znowu do kuchni i lecę do Ramszycowej. Tam bawię do piątej, wracam, kupuję po drodze, co mi potrzeba, i szykuję dom i obiad na wasze przybycie. Jeśli mam chwilę czasu, szyję trochę. Po obiedzie czytam, piszę listy, robię dzienne rachunki, sprawdzam kasę i kładę się spać. Nigdy nawet nie bywam zmęczona.

— Dziś ci gawędą popsulem konny spacer. Czemu mnie nie wypędzisz? Już bym wcale z domu od ciebie nie wyłaził.

— Nie miałam jechać, bo Stasiek chory, a Walenty przekuwa klacze. Zresztą dla tatka nawet bym Ramszycową opuściła.

— To dosyć powiedzieć — zaśmiał się. — No, już idę! Zbałamuciłaś mnie, starego, kompletnie.

Ucałował ją i wyszedł. Przeprowadziła go do przedpokoju, dopilnowała, czy miał ze sobą cygara, zapalki, klucz od zatrasku, i pożegnała serdecznie.

Po chwili i ona zeszła na podwórze, niosąc koszyczek z łakociami dla chorego Staśka.

Stajnia była w rogu podwórza i tam też obok koni Stasiek miał poślanie.

Chłopak już od pewnego czasu był niewesoły, blady, milczący. Zamiast gwizdać, śpiewać, droczyć się z dziećmi i z kobietami na podwórku, siadywał godzinami na progu sieni, patrząc bezmyślnie przed siebie; potem kucharka doniosła, że jeść nie chce, a wreszcie pewnego dnia z postania swego nie wstał i oto już tydzień leżał. Kazia sprowadziła lekarza, ale ten obejrzawszy chłopca, zdecydował, że ma trochę febry, zresztą nic groźnego. Brał Stasiak lekarstwa, ale nie wstawiał. Dziś uderzył Kazię jego wygląd mizerny; w oczach niknął i sechł. Zaniepokoiła się na serio.

— Jakże ci, Staszku, nie lepiej? Nie chcesz czego? spytała troskliwie.

— Dziękuję, jaśnie pani, nic mi się nie chce. A boleć, to wszystko boli. Chyba, że już umrę — odparł apatycznie. Nijak mi się żyć nie chce.

— Nie wstyd ci tak gadać? Taki zuch byłeś!

— Pewnie, że mi wstyd, i to mnie najmocniej gryzie. Wtulił głowę w postanie i począł szlochać.

Stała nad nim bezradna, gdy wtem przed drzwiami stajni przeszedł rządcą domu i doktor Downar. Tedy bez namysłu wyskoczyła na podwórze i dogoniła doktora na progu suteryny.

— Przepraszam pana profesora, że go zatrzymuję. Ale mam tu o krok chorego. Proszę mu poświęcić chwilę czasu.

Downar natychmiast się zwrócił, rządcą jej się głęboko uklonił, podała mu rękę.

— Proszę pana profesora. Pacjent jest w stajni — uśmiechnęła się idąc naprzód.

— To nasza młoda pani — szepnęła rządcą.

— Wiem — odparł krótko Downar.

Wszedł do stajni, obejrzał Staszka, który przerażony wejściem obcych panów, przestał płakać i tylko nosem pociągał.

— Czego ty płaczesz, chłopcze?

— Albo ja wiem. Tak mię coś piecze na wnętrzu, a jaśnie pani mnie pożałowała, tom się nie mógł strzymać.

— Ty tutejszy?

— Albo ja wiem. Tak mię coś piecze na wnętrzu, a jaśnie pani mnie pożałowała, tom się nie mógł strzymać.

— Ty tutejszy?

— Gdzie zaś, ja ze wsi od jaśnie pani z k u ń m y przyjechałem.

— No, dźwignij się — niech cię osłucham.

Kazia z rządcą odstawili za drzwi. Dobre pięć minut trwała konsultacja, nareszcie Downar zbliżył się do nich.

— Cóż mu jest, panie profesorze?

— Nic. Nostalgia. Człowiek kultury to by przebył lekko jak katar; człowiek natury może to życiem zapłacić. Dla niego lekarstwo: bilet na kolej do domu, a za tydzień tam będzie zdrow jak ryba.

Patrzała nań uważnie i on z niej oczu nie spuszczał, oczu poważnych badacza i mędrca, i dodał z lekkim, smutnym uśmiechem:

— I pani na to cierpi.

Poczerwieniła i uśmiechnęła się z przymusem.

— Profesor gorszy niż spowiednik, bo odgaduje cierpienia. Dziękuję bardzo za radę i natychmiast chłopaka odsyłam po zdrowie. Przepraszam za taką napaść na podwórze. Jestem Sanicka. Znamy się ze schodów bardzo dobrze.

Podała mu rękę, którą nieśmiało wziął w swą olbrzymią łapę i delikatnie uściśnął...

Potem poszli razem ku bramie, on milczący, bo bardzo był towarzysko nieokrzesany, ona pociągnięta doń wielką sympatią, jakby go znała lata. Mówiła mu o Stašku, potem o tym mnóstwie nędzy i biedy miejskiej, którą poznała za pośrednictwem Ramszycowej.

— To panie razem pracują — rzekł. — To dobrze. Pani Ramszycowa prawdziwy, porządny człowiek. Zeszłego roku pracowaliśmy razem; teraz tam jest kolega Rajewski. Dobrze paniom pomaga?

— O, bardzo staranny — odparła krótko.

Tu Downar coś sobie przypomniał i stanął.

— Ale — a toż ja miałem iść do jakiejś szewcowej, Moje uszanowanie pani.

— A ja muszę choremu oznajmić radosną wieść przypomniała ona także i rozeszli się. Stasiak przyjął ją niespokojnym spojrzeniem.

— Proszę jaśnie pani, pewnie ten nowy doktor kazał mnie do szpitala odwiedzić.

— Wcale nie, kazał cię do domu odesłać, bo ci tutejsze powietrze nie służy. Cóż, rad z tego jesteś?

Chłopak usiadł na posłaniu; oczy mu pojaśniały.

— Do dom? — powtórzył. — Olaboga, dziwo, że rad bym, ale się wstydam i boję. Ośmieją mnie ludzie, a ekonom spierze, a panu dziedzicowi jako oczy pokażę? Takem się rwał, upierał jechać, a ot i kwartału nie wysłużyłem.

— Ale masz ochotę wracać?

— Jako że nie? Od tego smrodu i ciasnoty, i terkotu do naszych pól! Niech się jaśnie pani spyta ot tej kasztanki. Ino jej spytam: Łośka chciałabyś do dom? To głowę odwróci i rzy, i targa uździenicę! Kto by nie chciał! Teraz u nas już pożęli i zwieźli, pachnie rola pod oziminy, okrutnie głos po łanie idzie. Ino w konie i śpiewaj! O Jezu!

Podrywało go z posłania, policzki nabiegały krwią.

— Wrócisz, Staśku, wrócisz! Czemuś mi pierwej nie powiedział, że ci tu źle? Dawno bym cię odesłała.

— Wstyd mi było przed ludźmi i przed jasną panią. Mocowałem się, myślę, jaśnie pani jednak się nudzi i cni, a przecie nie wraca.

Uśmiechnęła się, a on ośmielony mówił dalej:

— Jak tu ludzie żyć mogą, to ja cale nie rozumiem. Toć tu zaduch, chleb i woda śmierdzi, w głowie się przewraca od hałasu, toć tu trawa rosnąć nie chce, drzewina schnie, pies nawet nie szczeka, a koń jak parsknie, to ino ze wstrętu od tego kurzu i dymu. Kamieni nakładli, nastawiali, jakby kryminał!

Ludziska też blade, brudne, niewesołe. Jak sobie nawet podpije, to ino klnie. Jużci prawda, co mi nieboszczka matka mówiła, że Pan Jezus zrobił wieś i dwór, a czarny kamieni nazwłóczył i pobudował miasto i w nim mieszka. Dlatego ino kamieniom tu swojsko, a wszystko, co Boże, to tu w niewoli ino siedzi. Bo i prawda: ptaszek w klatce, pies w kagańcu, koń w uprzęży, drzewo za kratką, woda w rurze, zboże w worku, kwiatek w garnuszku, Wół w rzeźni, po woli nic tu nie jest.

Poszedłem do kościoła, pacierz mówię, a tu mi ktoś dwa złote z kieszeni ściągnął. Takci się modlą, psiawiary! Zaprowadził mnie Walenty w niedzielę do bawarii, to mnie sprali jakieś pijaki za to, że im fundować nie chciałem, i przekpili sobie, że chłop głupi! A oni sami podłe narody, co nawet Bożego pola na oczy nie widzieli i ze źródła wody się nigdy nie napiją!

Rozsierzdził się okrutnie, aż się sam opamiętał i pocałował jej rękę.

— Niech mi jaśnie pani wybaczy!

— Mów śmiało, chłopcze. Żał mi cię będzie, ale się cieszę, że wrócisz, pozdrowiejesz. Dam ci do pana dziedzica list, żeby cię dobrze przyjęli. Tylko się teraz staraj prędko moc odzyskać, bo cię chorego nie wyprawię.

Skinęła mu głowę dobrotliwie i poszła.

To wszystko, co on czuł, i ona czuła i idąc zamyślona przez podwórze, rozważała, czy też oswoi się kiedy, nawyknie, przestanie tęsknić za łanem i borem, ciszą pól, zapachem łąk i gajów, za pracą i wczasem wsi ukochanej.

Rozstroić ją rozmowa, żal jej było chłopaka, który, był jej wspomnieniem straconego życia i czasu, zazdrościła mu, że może wrócić. Potrzebowała wysiłku woli, by nie marzyć beczynnienie.

Zmusiła siebie i myśl i wzięła się do zwykłych zajęć. Q dwunastej, jak zwykle, poszła do Ramszycowej. Zastała ją już ubraną do wyjścia, wyprawiającą do ogrodu Botanicznego Angielkę z małą. Wolant stał przed pałacem.

Wsiadłszy Ramszycowa dała jej spis nędzarzy i wzięła lejce do rąk.

Mówiły zwykle po francusku, bo Ramszycowa źle władała polskim.

— Mostowa 7, Mariensztad 3, Solec 15 — recytowała Kazia.

— Dziś i połowy nie załatwimy, bo mamy sesję ubogich matek i wizytę biskupa w ochronie. Wyklóciłam się dzisiaj — okropnie z Ramszycem. Wyobraź sobie, śmiał mi zabraniać roboty; powiada, że podobno na Powiślu jest cholera. Może i w Samarkandzie, powiadam, zresztą myję się co dzień, surowych ogórków wodą nie popijam, a roboty nie porzucę, nawet żeby była dżuma! Żeby milczał, nic bym nie dodała, ale że mi powiedział, że mam obowiązek się oszczędzać, więc wpadłam w ferwor. Przypuśćmy — powiadam — że umrę na cholere, dziury w niebie nie będzie, a ty weźmiesz drugą, która ci lepiej będzie dogadzała. Zajmie się strojami, plotkami i reprezentacją, godną twoich milionów. Mnie już nie przerobisz.

— Po co mu było robić przykrość? — upominała Kazia. — On jest taki dobry i kochający.

— Żeby był zły i nie kochał, dawno bym go rzuciła! — zaśmiała się Ramszycowa. — Ale mu przecie nie mogę pozwolić gadać sobie obelgi. Mam przez tchórzostwo i egoizm roboty zaprzestać? On tego zrozumieć nie może, że nagromadzenie milionów w jednych rękach jest grzechem, i że bym przez sekundę opuściła swe zadanie, i zapomniała o nędzy, toby nas dotknęła klątwa Boża! *Tiens c'est votte mari!* To on tutaj ma biuro. Wstrzymała trochę konie, ażeby nie wyprzedzać powozu, w którym siedział Andrzej i pani Celina. Wracali widocznie ze spaceru w Łazienkach.

Cień przeszedł po twarzy Kazi, a wtem Andrzej się obejrzał i skrzyżowały się ich spojrzenia. Odwrócił głowę, i coś powiedział do stangreta.

Powóz ruszył szybko i skręcił na Wilczą.

— To jest już nawet więcej niż dobrze wychowany człowiek. *Cest canaille!* To także grzech, z którego świat się tolerująco uśmiecha, ale za który trzeba będzie odpokutować. — Nie prorokujże strasznych rzeczy! — uśmiechnęła się Kazia. Doprawdy, dla mni: lo obojętne! Niech się kochają i afiszują — okrywa to mnie śmiesznością, ale i to mi jest obojętne. Zresztą on mnie nie oszukiwał, wiedziałam jak jest, więc *il est correct*.

— To jest grzech dla was obojga. Nie robi się drwin z religii i nie krzywoprzysięga się, ot tak — od śliny! Okaze się z czasem, kto był winniejszy.

— A to w jaki sposób?

— Przysięgaliście sobie fałszywie miłość. Za to albo ty w nim, albo on w tobie rozkocha się bez wzajemności! To będzie pokuta! A kto winniejszy, ten ją odcierpi.

— Nie ja — odparła Kazia.

— Zobaczmy — zakończyła Ramszycowa, zatrzymując konie przed starą, odrapaną kamienicą na Solcu, i zajęła się swoją „robotą”.

Kilka godzin zeszło w gorączkowym zajęciu, dopiero gdy wysiadły na chwilę w lecznicy, przypomniała sobie Kazia Downara i załatwiwszy zwykłą czynność spytała o niego Ramszycowa.

— Ano — musieliśmy się rozstać. Ja mu chciałam płacić, a on się uparł, że tylko darmo może leczyć biedaków. Oboje mieliśmy rację, ale ja nie chciałam ustąpić, więc mi zarekomendował Rajewskiego. Z tym o płacenie nie ma kwestii, przeciwnie, lecz tak, jakby robił to z łaski. O! Downar, to śliczna dusza. Bywa czasami u mnie i lubię te wieczory. Ja mu gram Szopena, on słucha i milczy, bawimy się bajecznie.

*Ich sei, gewährt mir die Bitte,
Im euren Bunde die Dritte*

— rzekła Kazia. — Muzyka w skupieniu po pracy, wieczorem, co za wypoczynek i zdrowie.

— Pierwszy raz, jak się zjawi, zawiadomię cię. Czy już wracasz do domu? Wstąp do mnie.

— Nie mogę. Piąta dochodzi.

Uścisnęły sobie dłonie i Kazia ruszyła pieszo Marszałkowską, wybierając prawą stronę, gdzie mniejszy był tłok, nie patrząc ni w prawo, ni w lewo, nie zatrzymując się przy wystawach, biegnąc prawie, tak jej zawsze było przykre wędrowanie w masie próżniaczej ludzkości, tak ją drażniły ciekawe spojrzenia mężczyzn, potrącanie wystrojonych dam.

Przechodząc koło sklepu ogrodniczego, wstąpiła po kwiaty do ubrania stołu. Ledwie otworzyła drzwi, chciała się cofnąć, ujrzawszy Andrzeja, ale po sekundzie wahania podeszła do sprzedającej panny, która zdawała resztę, i rzekła:

— Proszę o kilka róż i paproci.

Andrzej drgnął, obejrzał się.

— *Vous rentrez déjà?* — spytał.

— Wielki czas, jeśli pan też wraca na obiad — odparła też po francusku, wybierając kwiaty.

— Mam jeszcze wstąpić za interesem, ale szedłem do domu, żeby panią spytać, czy nie poszlibyśmy dziś do teatru.

— Razem? — poruszyła brwiami, wzięła kwiaty, zapłaciła i wyszli razem. Na ulicy dokończyła spokojnie:

— Dla pana byłby to przymus, a dla mnie przykrość, a ponieważ ludzie chodzą do teatru, żeby się bawić, nie będę panu rozrywki swą osobą psuła.

— No i sobie pani w ten sposób przykrości oszczędzi — rzekł urażonym tonem.

— Zapewne, bo nie znoszę tego, by komuś zawadzać swą osobą i krępować swobodę.

— Bardzo jestem pani wdzięczny.

Ale był zły, nie wdzięczny. Skinął na dorożkę, siadł i pojechał. Ona też zasepiła się, dotknięta, bo nie czuła się winna.

— Jeśli tak dalej pójdzie, dojdziemy do nienawiści. I dlaczego, za co? Jak mam postępować wreszcie? — pomyślała z goryczą i zniechęceniem.

Dom był pusty. Zaczęła w nim gospodarzyć bez zwykłej ochoty, z tym przeświadczeniem, że cobykolwiek zrobiła, zawsze źle będzie i bezużytecznie.

— Trzeba szukać zdroju, by się zahartować — pomyślała wreszcie, opierając się całą siłą woli tej niezdrowej fali myśli. Doli nie zmienię, a jak się zacznę buntować, to jakbym stryczek sobie zaciągała. Nie, nie można! Życie nie składa się ze szczęścia, a raczej szczęście powinno być spokojem sumienia. Podjęłam się takiej doli, basta, nie wolno się z losem certować. Nie zawiniłam mu nic, nie mam o nim co myśleć ani rządzić się, jak on, złymi humorami.

Andrzej był wściekły i podniecał się jeszcze w myśli.

— Taka gęś wiejska, grająca bohaterkę! Łaskę mi zaczyna świadczyć, pozwala mi się bawić, jakbym jej o pozwolenie prosił. Raczy mi oszczędzać przymusu. Stawia się w roli niewinnej ofiary, mało co brakło, powiedziałyby mi, żebym z Celiną jechał do teatru, ona łaskawie pozwala. Tamta mi sceny zazdrości urządza, a ta mnie traktuje jak swoją własność, którą raczy innej wypożyczać. Jak mi te baby czasem obrzydą, to pojęcie przechodzi, ale chyba wolę sceny zazdrości jak cnotę tej westalki. A to mnie ojciec urządził! Wściec się można!

— Gdzie jaśnie pan każe jechać? — spytał go dorożkarz na końcu Marszałkowskiej.

Opamiętał się. Przypomniał sobie interes w biurze technicznym i kazał się tam wieźć. W biurze spotkał Dębskiego, zaczęli gawędzić i wyszli razem.

— Idziesz do domu na obiad?

— Tak — mruknął niechętnie.

— Przypominam ci nasze wtorki. Ludzie się śmieją, że jeszcze nie oddaliście wizyt. Długi miodowy miesiąc.

— Czy jeszcze się nami zajmują? Myślałem, że już raczyli zapomnieć.

— Ano, jak zaczniecie bywać, staniecie się powszedni. Teraz jeszcze wszyscy ciekawi twojej żony.

Andrzej ramionami ruszył i rozstali się. Gdy otwierał zatrask, słyszał w mieszkaniu muzykę; tak go to zdziwiło, że zatrzymał się chwilę w przedpokoju, potem zajrzał do salonu. Na szelest klamki Kazia zerwała się od fortepianu, zamknęła go i zadzwoniła na lokaja.

— Pan wrócił. Światło do pokoju — rozkazała wychodząc do jadalni.

Andrzej cofnął się do swego pokoju, przebrał się i usiadł przed biurkiem. Znużony się czuł i znużony, nierad ze siebie i z ludzi. Dziś rano zastał u pani Celiny Maksa Unfrieda. Wprawdzie przekonał się, że wstąpił na chwilę tylko, zdając sprawę jakiegoś polecenia co do brązowych świeczników, które pani Celina chciała kupić, a bała się, czy nie są podrobione, ale już go „ten drugi” zirytował, i gdy wyszedł, zrobił dość ostrą uwagę. Pani Celina na to docięła mu żoną — i po gorącej dyspucie rozstali się w gniewie. Wprawdzie po południu pani Celina przyjechała do biura sama, wyciągnęła go na spacer, pogodzili się i spędzili rozkosznie parę godzin w pustych Łazienkach, ale on nie mógł odzyskać dobrego humoru i z niesmakiem wspominał dzień ten cały. Na dobitkę z racji spaceru nie wykończył roboty pewnej w biurze, szef mu zrobił uwagę, to go do reszty zbuntowało na losy i teraz niecierpliwie wyglądał ojca, żeby z nim o interesach pomówić.

Gdy usłyszał otwieranie drzwi wchodowych, wyszedł na spotkanie ojca, ale już go Kazia uprzedziła i witała wesoło, a stary z nią gawędził.

— Spóźniłem się, spotkałem tego sowizdrzała Kołockiego i tak mi czas zmitrężył. Teraz, córuś, dawaj prędko obiad, bo cię zabieram do cyrku. Dobrze?

— Jeśli ojciec chce, to gotowam. Tylko może mam się przebrać?

Spojrzał po niej krytycznie.

— Możesz iść, jak jesteś ubrana. Zawsze gawiedź będzie lornetowała starego, który sobie taką ładną kobietkę dostał. A, jesteś — zwrócił się do syna. — Co mi dziś gadał radca Jasiński, że podobno z młodym Markhamem zakładacie jakąś fabrykę?

— Stary i wiadomy ojcu projekt. Co prawda, mam dosyć biurowej pańszczyzny i za starym na musztrowanie Lorisa.

— Spotkałem i jego. Słyszę, zrobiłeś mu awanturę. Wojowniczo jesteś tymi czasy nastrojony.

Usiedli do obiadu. Kazia czuła, że zbiera się na burzę, ale jej zapobiec, a nawet wmieszać się do rozmowy nie mogła. Zrozumiała teraz rozdrażnienie Andrzeja. Musiał mieć ze zwierchnikiem gwałtowne przejście.

Prezes przy lokaju nic więcej mówić nie chciał, bo gdy syn zachnął się i chciał protestować, rzekł:

— Będzie czas. Teraz głodny jestem i spieszę.

Obiad tedy minął spokojnie, ale gdy przeszli na kawę do gabinetu, Andrzej wybuchnął.

— Loris mnie sobie za niewolnika nie kupił. Może wyzyskiwać innych, ale nie mnie. Te jego sto rubli miesięcznie tyle mi znaczą, co nic.

— Widocznie, kiedy na nie wcale pracować nie chcesz i do biura ledwie raczysz zajrzeć, czy jest na miejscu. Musiał polecić innemu twoje zajęcie, bo ciebie nigdy nie ma w fabryce.

Kazia naląła kawę, podała teściowi cygara i zemknęła z pokoju. Słyszała jeszcze głos Andrzeja:

— To fałsz i przesada. Nigdy godzin zajęcia nie opuszczam; dziś wyjątkowo nie byłem, ale bym robotę techniczną wieczorem odrobił, gdyby nie scena, którą Loris urządził. Od jutra nie idę do fabryki.

— Jak chcesz. Jesteś pełnoletni — mruknął prezes. Zadzwoił na lokaja, kazał konie zaprzęgać.

— Zostaniesz w domu? — spytał syna.

— Nie, idę do teatru. Wracając do naszej spółki z Markhamem, chcemy odkupić interes jego brata, olejarnię. Ustępuje ją nam na bardzo dogodnych warunkach, potrzebujemy na razie sto tysięcy rubli. Czy mi ojciec może tymi czasy oddać tę sumę matki? Warunek spełniłem.

— Tak, ożeniłeś się, suma twoja. Możesz ją mieć w każdej chwili.

— Więc mogę już stanowczo mówić z Markhamem? Za dni parę przedstawię ojcu cały interes.

— Dobrze. Ja się ze swej strony dowiem, co o tym mówią. Owszem, może zdrowiej będzie dla ciebie większy i własny interes. Będziesz miał mniej czasu na głupstwa. Markham porządny chłopak. No, zatem masz moją sankcję, ale za to musisz i ty mi ustąpić i posłuchać.

— Co ojciec każe? — spytał Andrzej już dobrym tonem.

— Trzeba, żebyście oddali ludziom wizyty, zaczęli bywać i przyjmować. Ani tobie, ani mnie nie jest przyjemne, żeby komentowano i krytykowano nasze domowe stosunki. Jak jest, to jest, ale dla towarzystwa trzeba formy zachować. Sam to przyznasz, gdy spokojnie rozważysz. Nie robię ci żadnych uwag ani daję nauk, ale proszę, zrób to dla mnie.

— Dobrze. Jutro spiszymy, u kogo być mamy, i odbędę s tę pańszczyznę.

— Dziękuję ci. Z początku będzie trochę rwetesu, ale potem sama Kazia będzie rada jak najmniej bywać, więc będziesz swobodny. W wielu razach ja cię wyręczone. Nie pojechałbyś z nami do cyrku?

— Nie. Muszę być w teatrze.

— Nam czas ruszać. Wstał i zawołał synową.

Wyszła do przedpokoju już w kapeluszu.

— Bodaj to wieśniaczka — zaśmiał się prezes. — Nie każe na siebie czekać. A zadysponowałaś co na kolację, bo wrócimy o północy?

— Będzie wszystko gotowe.

— Proszę wziąć żakiet — odezwał się Andrzej. — Będzie upał nieznośny w cyrku, a w nocy chłodno.

Sięgnęła po żakiet i wzięła go na rękę.

Wyszli wszyscy troje i wsiadając do powozu rzekł prezes:

— Siadaj i ty — wyrzucimy cię przy teatrze.

— Pewnie — pomyślała Kazia. — Jakby ojciec nie wiedział, że jego teatr na Erywańskiej.

Tymczasem Andrzej usłuchał. Usiadł na przedniej ławeczce i łaskawie raczył do niej przemówić:

— Pojutrze zaczniemy już składać wizyty. Zapewne pierwsza będzie u Dębskich.

— Jeśli nie macie krewnych starszych, ciotek i wujaszków.

— Naturalnie, zacząć musisz od Wolskich i Dąbrowskich — potwierdził prezes. — A nie straszno ci tej wędrówki po obcych?

— Boję się tylko, by nie popełnić jakiej niestosowności dla was kompromitującej.

— Opowiem po drodze, do kogo jedziemy — rzekł Andrzej. — A ma pani wizytowe bilety z obecnym nazwiskiem?

— Nie mam, nie pomyślałam o tym. Jutro rano wstąpię do litografii. Czy dużo złożymy wizyt?

— Co najmniej dwadzieścia.

— O Boże — westchnęła tak szczerze, że aż się prezes roześmiał.

— A co? Już duch się tłucze! Nie bój się, za jaki rok będziesz w tym pływała jak ryba w wodzie. No, otóż i teatr. Wsiadasz, Andrzeju?

Powóz stanął. Po chwili jechali tylko we dwoje i stary rzekł:

— Za rok, mam nadzieję, że to ja sam zostanę, a on z tobą pojedzie — i westchnął.

— A to galant z ojca! — uśmiechnęła się. — Mnie bardzo dobrze tak, jak jest dzisiaj.

— Niech się pies udławi takim dobrem. Jeśli ci to dogadza, trzeba było mnie poślubić.

— Dlaczego ojciec się nie oświadczył? — żartowała dalej.

— Żartujesz, a to mnie najgorzej boli, ta twoja swoboda i obojętność. To dowodzi, że on ci niczym nie jest, niczym.

— Dzięki Bogu, tak. Gdyby inaczej było, w tych warunkach ładne piekło mielibyśmy wszyscy troje, Brrr! — wzdrygnęła się.

— To się zmieni, to musi się zmienić! Gdyby tak zostało, jak jest, nigdy bym sobie nie darował, że to ja urządziłem.

Milczała, nie chcąc mu prawdy powiedzieć.

Powóz stanął, znaleźli się w ciżbie i zaczęli w labiryncie korytarzy i przejść szukać swego miejsca. Gdy usiedli wreszcie w łoży, spojrzęła ciekawie na arenę, gdy prezes począł rozglądać się po widzach.

Na arenie galopował gruby tarant, a na jego grzbiecie w trykotach i różowych spodniczkach, nie dłuższych jak kreza, hasała woltyżerka. Przeginała się, skakała przez obręcze, zerkęła na galerie, posyłała całusy, a tarant galopował monotonicznie jak wahadło, a w środku areny podrygiwał kłown, podciągając białe spodnie, wrzeszcząc, wywijając koziołki, wreszcie siadł na piasku i począł nogą drapać się za uchem, co wzbudziło śmiech homeryczny całej publiki i hałaśliwe oklaski.

Wtedy Kazia spojrzęła po ludziach, zdumiona tą idiotyczną wesołością.

Nie spodziewała się zobaczyć i poznać kogo, ale zwróciło jej uwagę troje ludzi wychodzących z przeciwległej łoży. Poznała damę: była to pani Celina. Mężczyzny i drugiej damy nie znała.

— Ona tutaj, on w teatrze. Co to znaczy? — pomyślała i znowu patrzęła na arenę.

Prezes tymczasem skończył przegląd publiczności i rzekł:

— Mało znajomych. Jest Radlicz i radca Zawadzki z żoną. Cóż, bawisz się?

— Bawię się, dziękuję ojcu — odparła, ale w myśli przypomniała sobie gawędę Staśka Skowronka, że w mieście wszystko, co Boże — w niewoli.

Na arenie były teraz cztery siwe araby wolno puszczone i musztrował je berajter w obcisłych raj tuzach i botfortach, podniecając konie głosem przepitym i klaskaniem długiego bata. Arabi, parszcząc, chrapiąc, biegały w kółko, zwracały, zmieniały chody, przyklękały, podchodziły do niego, stawały dęba, ale oczy miały senne, ruchy drewniane i znać w nich było znikczemnienie niewoli, bierne, sztuczne spełnianie obowiązku.

— Moje uszanowanie pani — ozwał się za nią głos Radlicza.

Drgnęła, zwróciła się, podała mu rękę.

— Witam pana.

— Pani tak uważa na przedstawienie, jak zapewne nikt drugi. Czy pani lubi cyrk?

— Lubię konie. Zresztą jeśli tu jestem, to po to, żeby się przypatrywać widowisku.

Patrzęł na nią po swojemu, badawczo, bystro. Jego zmysł artystyczny lubował się w niej. Miała w sobie doskonałą — harmonię smukłych linii, złotaworóżowy koloryt twarzy, pogodny wyraz delikatnych rysów i niebywałą jasność i przejrzystość złotobrunatnych źrenic.

— Ja się w niej rozkocham jak w zdroju — pomyślał z dziwną radością, że może patrzeć i mówić z nią.

— Pani mi pozwoli przypatrywać się także razem?

— Proszę pana — odparła z prostotą,

— Wolno gawędzić?

— O, i owszem. Nie ma racji milczeć, bo nie ma czego słuchać.

— Siadajże pan — rzekł uprzejmie prezes. Radlicz usiadł poza Kazia i spytał:

— Pani zaprzestała konnych spacerów?

— Moja eskorta chora, ten chłopak stajenny. Jutro go zupełnie stracę. Tak tęskni po wsi, że go muszę do domu odesłać.

— Tak? Ano, to ci drugiego trzeba dostać — rzekł prezes. — A to ci osieł dopiero, Warszawa mu się nie podoba! Powiedz mi pan, czy tu zawsze takie pustki?

— Jeszcze się napełni po antrakcie. Przyjdą na Karolę.

— Ach, tę na trapezie, żonglerkę. Podobno bajeczna.

— Phi, modna — ruszył ramionami Radlicz — od czasu jak ją hrabia Kocio uczynił popularną, cała Warszawa lata do cyrku.

— Podobno kupił dla niej pałacyk po Sandersach w Alejach?

— I parę koni ze Styrii za pięć tysięcy rubli i czek na toalety na piętnaście tysięcy rubli miesięcznie, i już nie pamiętam wszystkiego, co opowiadają.

— Każdy w życiu bywa tym znacym kłapouchem i każdy miewa swoją Tytanię.

Kazia uśmiechnęła się milcząco.

— O, pani drwi ze mnie!

— Bynajmniej... Myślałam tylko, jak różne bywają sny nocy letniej.

— A pani jaki był? — spytał.

Obejrzała się na niego, sekundę zatrzymała wzrok na jego zuchwałych oczach i nic nie rzekłszy, patrzyła znowu na arenę.

Radlicz raz pierwszy w życiu uczuł, jakby dostał policzek.

Szczęściem prezes nic nie zauważył, bo już rozmawiał z radcą Zawadzkiem, wcale się o sztuki na arenie nie troszcząc.

— Pan ma pracownię w tej samej kamienicy, co panna Ocieska? — zagaiła rozmowę Kazia.

— Pani ją zna, bywa tam?

— Poznałam ją u Ramszycowej i byłam w pracowni. Śliczny ma portret na stalugach, pani Rudnickiej.

— Bagatela. Cudna kobieta! Tej nawet Ocieska nie potrafi zbrzydzić. Czy portret obstałował Goldmark?

Kazia zmarszczyła brwi.

— Nie znam pani Rudnickiej ani jej stosunków — odparła niechętnie.

— Ale ją zna cała Warszawa. Rudnicki jest szefem biura u Goldmarka. Pyszną ma synekurę dzięki żonie. To dziwne, że portretuje się u takiej pacykarki jak Ocieska.

— Ciekawam, kto jest kochankiem Ocieskiej. Pan pewnie i to wie?

— Ocieskiej? A jakież by boskie stworzenie mogło pożądać tego koczkodona? Przecież za to nienawidzi mężczyzn, piwa na nich i pogardza, od czci odsądza!

— Za to? — powtórzyła Kazia. — Aha, to i pana zapewne nigdy nie chciała żadna kobieta.

— Mnie? Dlaczego?

— Ano, bo i pan piwa na nie i od czci odsądza. Bardzo mi pana żal. Nic tak nie boli, jak zraniona miłość własna.

Radlicz spojrział na nią i uśmiechnął się.

— O! pani feministka! — rzekł ironicznie. — Nie do twarzy z tym pani. Proszę to zostawić Ramszycowej i jej klice na pociechę po zawiedzionych nadziejach. Pani za piękna, za urocza, zanadto stworzona do uwielbień i szczęścia.

Szyderczy uśmiech przemknął po twarzy Kazi, w oczach zapaliły się skry złośliwości.

— To istotnie kuszące i wybór łatwy. Któż by się wahał, czy być koczkodonem, czy być wielbioną przez warszawiaków i zdobyć szczęście z Goldmarkiem! Pan mnie upaja swymi pochwałami! Podobna przyszłość może mi w głowie do cna zawrócić!

— Pani drwi, a jednak ja oto dziś w tej chwili założę się z panią, że do przyszłej wiosny będzie pani kochała i będzie pani kochaną. Proszę się nie srożyć, nie piorunować zuchwalca. To się stać musi, inaczej byłaby pani potworem, kalectwem, istotą bez duszy, bez nerwów, bez myśli, nawet bez poczucia honoru.

— Szczególnie to ostatnie — uśmiechnęła się pogardliwie.

— Szczególnie! Honor nie znosi obrazy i krzywdy. Jakże? Trzyma pani zakład?

— Nie, bo nie żartuję z uczuć ani się nimi bawię.

— Nie bawisz się? — To posłyszał, i podjął prezes, skończywszy dysputę z radcą.

— Ależ, owszem, tatusiu! Pantomima była śliczna.

— Ano, teraz zobaczymy tę sławną Karolę.

Antrak się skończył, do jednej z łóż weszło kilku panów, poczęto się im przyglądać, jako znanym sportsmenom i szykowcom.

— Jest i Kołocki z Kociem — zauważył prezes lornetując.

Wśród burzy oklasków wbiegła na arenę zonglerka. Cała, jak waż złocisty, w błyszczących trykotach. Zamigotały brylanty w uszach i na szyi, sypnęły się na nią kwiaty. Ukłoniła się obejmując salę zalotnym spojrzeniem, zatrzymała oczy dłużej na łoży paniczów, posłała im od ust całusa i uśmiech i zwinna, gibka, poskoczyła na środek areny, chwyciła za trapez i jak pająk złocisty, po niciach sznurów, poczęła się piąć ku górze.

Kazia odwróciła oczy, wstrząsnął ją dreszcz zgrozy, publiczność wydawała okrzyki podziwu, akrobatka była niezrównana. Kładła się na sznurach i tańczyła, rzucała się w głąb zawrotną, chwilami wisiła, zda się, w powietrzu. Chwytała i ciskała tysiące przedmiotów.

Przemógłszy się Kazia śledziła ją. Wzrok miała bardzo bystry, widziała wyraźnie naprężenie mięśni, falowanie piersi, widziała nawet, że spoglądała często na łożę, uśmiechała się, dawała znaki, jakby czekała na coś,

Nagle hrabia Kocio sięgnął do kieszeni, dobył niewielki błyszczący przedmiot i cisnął go w górę. Zamigotał jak gwiazda i stało się coś w błyskawicznej sekundzie. Jak pająk Karola rzuciła się na łup, chwyciła go w powietrzu, wydała okrzyk, zawirowała w próżni i jednocześnie z okropnym krzykiem całej publiczności spadła na piasek areny. W jednej chwili tumult się uczynił, tłum ją otoczył, porwano ją na ręce, uniesiono. Kobiety mdlały i szlochały, mężczyźni wołali: czy żyje? Popłoch ogarnął cały cyrk, orkiestra umilkła, łoża sportsmenów była pusta.

Kazia błada jak płótno zagryzła wargi, patrzyła machinalnie na arenę, gdzie ciemniała niewielka plama krwi. Większość publiczności, gotowa do wyjścia, czekała tylko grobowej wieści. Radlicz wyszedł.

Wtem orkiestra zaczęła znowu grać, poczęto sykać chwilę, potem się uciszono.

— Chodźmy, tatusiu — szepnęła Kazia.

Prezes, wzburzony, ledwie ochłonał z wrażenia.

— Jak się to stało, bo nie uważałem? — pytał, torując jej drogę wśród tłoku.

— Bransoletę jej cisnął! Także koncept — ktoś mówił przed nimi. — Powinien sądownie odpowiadać, ale taki się ze wszystkiego wykręci.

— Panicz, gdzie to rzuca pieniądze, a na wpisy to rubla nie da! — ktoś warknął.

— Zabita pewnie. Mój Boże, dla marnej bransolety!

— Głupia, mogła ją dostać u siebie w buduarze.

— Co prawda, za kim to ludzie szaleją. Żadna piękność, tyle, że zagraniczna!

— Widzisz, Jasiu, czym się kończą łamane sztuki! A ty wiecznie na głowie chodzisz i na oknie się huśtasz! Widzisz, jak niewiele do nieszczęścia potrzeba.

— Jutro rano w „Kurierze” będzie.

Wśród tysiąca urywanych zdań wydostali się do kontramarkami. Tu tłum rzedniał, oddychał swobodniej.

— Pójdziemy na kolację do „Europy”.

— Maniu, a gdzie pan Władysław?
— Mój drogi, czy wracamy razem?
— Wstąpię do klubu!
— Wiecie, znajdziemy jeszcze partyjkę u Lisieckich.
— Dlaczego to Malwina zawsze bywa tylko z ciotką?
— Nie wiesz, kto się witał z Morskimi?
— Jazda do Łazienek! Siadajcie, panienki! Nareszcie wydostali się na ulicę i w tej chwili zjawił się Radlicz.

— Ledwie państwa dogonił.
— No i cóż? — spytał prezes.
— *Aus!* — rzekł krótko malarz.
— Hrabia może mieć grubą nieprzyjemność.
— Żadnej, już parę razy to było. Wszyscy o tym wiedzieli, ona się w ten sposób nim i sobą popisowała! Nie udało się. Bransoletę chwyciła jednak i tak ścisnęła w rękę, że siłą musiano wydrzeć.

— Kto? — spytała Kazia.
— Jej matka, dziedziczy po niej.
— Cóż hrabia? — rzekł prezes.
— Struty. Klął, obiecał matce wziąć na siebie wszystkie koszty i pojechał z Kołockim.
— Jakkolwiek by to było, rad jestem być w swojej skórze, a nie w jego — zakończył prezes.

— Żegnam państwa — ukłonił się malarz.
Oni wsiedli do powozu, on poszedł pieszo.
Wcześniej jeszcze było, rozmyślał, co robić z resztą wieczoru. Różne twarze i postacie kobiece majaczyły mu w myśli, nie mógł się na żadną zdecydować. Tak idąc, zamyślony potrafił kogoś, spojrzął, był to Andrzej Sanicki.

— Dokąd?
— Szukałem Markhama, siedzi u Dębskich. I po co on sobie tę gęś bierze?
— Ano, ma wenę czy pech — kocha się w pannie z towarzystwa.
— W czym ty widzisz wenę czy pech?
— Ano, może się z nią ożenić,—mieć, trzymać, ludziom się pochwalić. Całe życie Kocham się w mężatkach, diablo mi to czasem dokuczy, jak kłusownictwo królowi kurkowemu. Zazdroszczę mu. A pech? Ano, chwal się tu i ciesz, i pilnuj jednej całe życie. Podle jest świat urządzoney. Wiesz, idę z cyrku. Karola się zabiła. Mdli mnie dotychczas; pójdę chyba do knajpy.

— Zabiła się? Nie widziałeś mego starego i żony?
— Owszem. Wyszliśmy razem. Ale była chwilę i pani Celina.
— Sama? — spytał żywo Andrzej.

Radlicz sekundę się zawahał.
— Chyba, że sama, nie uważałem.

Andrzej stanął.
— Maksa nie było?
— Nie uważałem — powtórzył Radlicz.
— Dobranoc ci — mruknął Sanicki skracając na Królewską.

W domu nie spodziewano się go. W małym gabinecie prezes czytał gazety. Kazia naprzeciw niego szyła bieliznę dla protegowanych Ramszycowej. Gdy wszedł, spojrziała na niego prawie z przestachem, prezes z podziwem.

— Co się stało? Czy i w teatrze ktoś się zabił?
— Nie, ale się znudził. Mam głowę zajętą interesami, poszedłem do Markhama.
— On dziś u Dębskich — wtrąciła Kazia. — Może pan bez kolacji?

— Bez.

Wstała natychmiast i wyszła.

Po chwili znalazł w jadalni zastawioną przekąskę, Kazia gospodarzyła przy bufecie, podała mu sama herbatę. Spojrzał na nią i poczuł wyrzut sumienia za szorstką rozprawę na ulicy. Postanowił być uprzejmym.

— A zatem pojutrze wizyty? — rzekł. — Zaczniemy od wujostwa Dąbrowskich. Brat mojej matki i jego żona, dwoje bezdzielnych smakoszy. Druga wizyta gorsza, u Wolskich — brr, co za osie gniazdo. Stary safandula, pięć córek starzejących w panieństwie i matka zła za sześć. Tam z góry nienawidzą pani.

— Mnie? Dlaczego?

— Bo roili całe lata, że się z jedną ożenię; i wszystkie kochały się we mnie.

— Musimy tam bywać?

— Jakże! Krewni, cioteczna siostra matki.

— A ojca rodzina?

— Jest stryj, urzędnik w banku. Ma młodą żonę i czworo dzieci, katów i wisielców zarazem, bo katują rodziców, a warci wszystko czworo szubienicy, tak są niesforne, rozpuszczone i samowolne. Ojciec tam nigdy nie bywa, bo go to zanadto drażni, ja czasami chodzę jak do domu wariatów. Będziemy potem u Markhamów, u Winnickich, u Dębskich, u profesora Kęckiego.

— U doktora Downara? — szepnęła.

— Owszem, ale ja tam nie lubię bywać. On mruk, ona jędza.

Prezes, zdziwiony rozmownością syna, wszedł do jadalni. — Da] no i mnie, córuś, herbaty — rzekł wesoło. — Starzeję się, coraz mi lepiej w domu, z wami!

— Jeszcze ojciec partii do winta nie dobrał — zaśmiał się Andrzej.

— W tym roku zbiorę winta u siebie. Mamy gospodynię, trzeba ludzi ugościć.

— Winszuję! Fiks — w niedzielę może? No, mam nadzieję, że gospodynii pierwsza zaprotestuje.

— Ja? Przeciw ojcu! Cóż znowu?

— Przeciw mnie zatem — spojrzał na nią już niechętnie spotkali się oczami.

Zatrzymał na niej wzrok, raz pierwszy uważniej.

— Jakie to młode — pomyślał i wzrok mu złagodniał.

— Pani sama nie lubi tłumy i nie da sobie rady z tymi fikсами — dodał. — Ja bezwarunkowo nie będę miał czasu na tę cotygodniową pańszczyznę.

— No, no, nie buntuj się przed czasem — rzekł prezes. — Na dziś dobranoc, dzieci.

Zegar wybił jedenastą. Stary wyszedł. Kazia sprzątała w bufecie. Andrzej siedział zamyślony, paląc papierosa.

— Była z Maksymem w cyrku — myślał i czuł dziką wściekłość, chęć zemsty, dokuczenia sobie i swej miłości zdradzonej.

— Dobranoc — rzekła Kazia.

Wstał żywo i podał jej rękę. Trochę zdziwiona, wyciągnęła dłoń do uścisku. Zatrzymał ją i spojrzał jej w oczy.

— Nikt by nie uwierzył, że od sześciu tygodni żonaty i nie znam ust mojej żony — rzekł. Poczzerwieniała gwałtownie, cofnęła rękę, źrenice jej zamigotały gniewem.

— Ale sumę, dla otrzymania której z woli matki swej pan się ożenił, dostał pan.

— Zapewne, ale i żonę mam — *et je ne veux pas être un mari ridicule!*

— *Si vous prétérez être lâche — soit!*

Odwróciła się i wyszła. On zaczął chodzić po pokoju wzburzony, wściekły, mrużąc coś przez zęby, wreszcie zadzwonił na lokaja, kazał gasić światło i wyszedł.

IV

Kazia, ubrana na wizyty, zajrzała do gabinetu teścia, żeby się pożegnać.

Obejrzał krytycznie jej strój i wygląd.

— Suknia dobra, aleś ty, córuś, mizerna i blada, i oczka zmęczone, jakby płakały. Co ci? Straszno? Czyś niezdrowa?

Poczerwieniała, próbowała się uśmiechnąć.

— Trochę straszno, ale się oswoję. Do widzenia.

W przedpokoju Andrzej na nią czekał, milczący, chmurny. Zeszli, wsiedli do powozu i jechali obok siebie nie mówiąc słowa.

Gdy wysiadali na Chmielnej, chciał jej podać rękę, usunęła się z widoczną niechęcią i weszła w bramę. Dąbrowscy mieszkali na drugim piętrze, otworzyła służąca i powitała Andrzeja jak domowego.

— Są państwo oboje. Proszę do sali.

Przedpokój był ciemny jak zwykle — jak zwykle też mieszkanie miało specjalny zapach warszawskich mieszkań: mieszanina naftaliny, gazu i kuchni. Sala miała stereotypowe meble, dywan, lampę na stole przykrytym serwetą, fortepian, na którym nikt nie grywał. Na oknach dwie palmy, które mogły być równie dobrze blaszane lub papierowe, tak były sztywne i zakurzone.

— To ty, Andziu — rozległ się zasapany głos kobiecy i do sali wtoczyła się Dąbrowska, wołając żywo do służącej: — Budź pana!

— Przyszliśmy z żoną złożyć wujostwu uszanowanie — odparł Andrzej pochylając się do ręki ciotki.

— Jak się masz, witam, jakżem rada. Pozwól się uścisnąć, moje śliczne dziecko. — Objęła Kazię w ramiona, przytuliła do łona, potem przyjrzała się jej uważnie.

— Ślicznas wynalazł sobie kobietkę, co za cera zdrowa, nie ma to jak wiejskie dziewczynki. Jakże ci się podoba w Warszawie, pozwolisz starej ciotce nazywać się po imieniu?

— Ależ, ciociu, dziękuję za tę łaskę! — odparła Kazia.

Wejście Dąbrowskiego wznowiło powitanie. Ten ze staroświecką galanterią ucałował nową siostrzenicę w rękę, powiedział, że jest jak róża, i zapytał, jak jej się podoba w Warszawie.

Potem usiedli na sztywnych fotelach i rozmowa się rozstrzeżyła. Dobrowski począł rozpytywać Andrzeja o interesa, Dąbrowska zabawiała Kazię, a raczej ściągała z niej egzamin.

— Słyszałam, żeś odprawiła Janów? Kogóż masz na ich miejsce? O kucharki strasznie trudno. Czy kontrolujesz ją trochę? Byle poczuła, że pani młoda nie zna się na cenach, obdziera ją na każdej marchewce.

— O ile mogę, sprawdzam.

— Jakże? Ile płacisz drób? A masło? Moje dziecko, to nie dość wiedzieć, że kaczka cztery złote a kura rubla, ale jaka kaczka, jaka kura! Na to trzeba lat doświadczenia. Nie chwałę się, ale jak ja się na tym znam! Ha, czterdzieści lat jestem gospodynią. A masło?

— Masło mi ojciec przysyła.

— Dobrze? Centryfugowe? Poproszę cię o próbkę, może i mnie ustąpisz. Masło, to grunt, to zdrowie. Zapasy na zimę będziesz pewnie robić, służę ci radą we wszystkim. Spytaj o konserwy Dąbrowskiej. A twoi panowie wybredni, o znam ich, ci mają smak i gust. Naturalnie w miodowych miesiącach wszystko się gospodyni wybacza, ale potem rachuj na mnie, ja cię wszystkiego nauczę. Ach wy, wieśniacy, rajskie macie życie za darmo. Jaki nabiał, a jaja? Po czemu?

W ten sposób rozmawiały pół godziny.

Nareszcie Andrzej dał hasło odwrotu, ale jeszcze zeszedł kwadrans, zanim się pożegnali, obiecawszy przyjść w niedzielę na obiad dany na ich cześć.

Dąbrowska jeszcze przez drzwi wołała:

— A nie zapomnij przysłać mi próbki masła.

— Przyjemna szykuje się niedziela — mruknął Andrzej — obiad rodzinny.

Przy wsiadaniu do powozu znowu jej chciał podać rękę, usunęła się, tedy wybuchnął.

— Trędowaty nie jestem, nie zarazę dotknęciem.

Milczała.

— Czy pani postanowiła mi nie odpowiadać?

— Pan o nic nie pytał.

— Pytam zatem, czy pani nie raczy ze mną mówić?

— Bez koniecznej potrzeby nie.

— Ostrzegam, żeby to pani na złe nie wyszło. — Nic gorszego spotkać mnie nie może.

Żachnął się i umilkł. Po chwili przyjechali na Nowy Świat. Wolscy mieszkali na drugim piętrze; otworzył lokaj; państwo są w domu.

Taki sam ciemny przedpokój, ten sam zaduch naftaliny i gazu, salon był trochę inny, boć były panny w domu, potrzebna była reklama talentów i estetycznych aspiracji. Fortepian był otwarty, była jedna snadź przybrana za muzykalną, ekran z wyhaftowanym jakimś cudakiem ptasiego rodu zasłaniał dół pieca, stół zdobiły popielniczki, drewniane noże do papieru itp. przedmioty sztuki stosowanej bardzo elementarnie przez drugą zapewne pannę Wolską, nareszcie ostentacyjnie leżała rozłożona książka na kanapie, jakby przed chwilą czytająca wstała.

Kazia wzięła książkę do rąk i spojrzała na tytuł: *Korzon, Wewnętrzne dzieje Polski*.

Zaczęła ją przeglądać, ale chociaż otwarta była w połowie, mało co kart było przeciętych.

Oczekiwanie się przedłużało. W głębi mieszkania słychać było ruch, szepty, dyskretnie śmieszki, wreszcie ukazała się mama Wolska.

I ta była tuszy okazałej, otyłość jeszcze bardziej uwydatniała suknia obcisła, modna toaleta młodej matki dorastających córeczek.

Kazia mimo woli przypomniała sobie zdanie Radlicza: „Warszawianka pod starość jak się spacie, to na pokaz, jak wychudnie, to na postrach!”

Powstała na powitanie, pani Wolska przeszła ją wzrokiem, potem krytycznie obejrzała toaletę i majestatycznie podała jej dłoń.

— Bardzo mi miło poznać nowego członka rodziny. Jakże się pani Warszawa podoba?

Kazia się uśmiechnęła, ileż razy posłyszysz dziś to pytanie.

— Nie pierwszy raz tu jestem — odparła. — Chociaż, co prawda, mało jeszcze znam miasto.

— Bywacie zapewne często w teatrze? Prawda, że jeszcze nie sezon. Zaledwie od tygodnia wróciliśmy z wód, nie mogę się jeszcze połapać.

— Była ciocia, jak zwykle, w Trenczynie? — spytał Andrzej.

— Nie. Doktor Morawski wyprawił nas do Zoppot. Jadźka była bardzo osłabiona. Wiesz, pożegnaliśmy w Dreźnie Zośkę. Została dla malarskich studiów. No i wiesz zapewne, że i Jadźka niedługo z nami zostanie.

— Nie wiem, ale z góry życzenia składam.

— W Zoppot poznaliśmy pana Bukowieckiego. Zamożny obywatel z Ukrainy. Są po słowie.

W tej chwili weszły do salonu dwie panny przeciętnie przystrojone, przeciętnie ubrane, przeciętnie szykowne i eleganckie. Szczęśliwa narzeczona, pokazująca ostentacyjnie tradycyjny zaręczynowy pierścionek z turkusem, miała smętny, rozmarzony uśmiech na twarzy, druga kokietowała fryzowaną grzywką, zalotnym spojrzeniem i figurą toczoną.

Kazia wbijała sobie w pamięć ich rysy i myślała ze zgrozą, jak je pozna i czy pozna na ulicy, tak były banalnie przeciętne.

— Moje córki, Jadwiga i Maria — przedstawiła matka. Panienki zabrały się do bawienia Kazi i naturalnie zaczęły: Jakże się pani podoba Warszawa?

— O, bardzo! A paniom lato wesoło zeszło?

— Średnio — odeła usteczka Mania. — Ja się najlepiej bawię w Warszawie. Mamy bardzo miłe muzyczne kółko. Żeby się już sezon rozpoczął. Pani lubi muzykę? Gra pani sama?

— Trochę, zaledwie znośnie. Muzyki kto nie lubi?

— Gdzie pani robiła wyprawę, tutaj czy za granicą? — spytała Jadzia smętnie.

— Tutaj. Opiekowała się nią moja koleżanka, Tunia Dębska.

— Mama się waha jeszcze, gdzie robić. Mój Boże, jaka to praca mozolna — westchnęła.

— A najciężej mi się pogodzić z myślą, że już tak prędko pożegnana na zawsze Warszawę.

— Lubi pani wieś zapewne?

— Nigdy na wsi nie byłam, tylko na letnim mieszkaniu. Trzeba będzie przywyknąć. Podobno tam bardzo ludne i wesołe strony. Na zimę przyjadę do Warszawy, a na lato sprowadzę siostry i mamę.

Andrzej, zabawiany przez mamę Wolską, powstał. Poczęto się żegnać bardzo uprzejmie, ale ledwie się drzwi zamknęły, Mania parsknęła śmiechem.

— A to sobie wynalazł indyczkę!

— A brzydka, a chuda — dodała Wolska.

— Toć to nie ma o czym mówić z nią. Siedzi jak malowana.

— On znudzony, zły, bez humoru. Zestarzał, zbrzydł.

— Tak się zmarnować! Tak skończyć! ‘

— Moja mammo, a któż by za niego poszedł? Któż by się naraził na śmieszność? Trzeba być wiejską gęsią lub nie mieć już krzty ambicji.

Ukazały się jeszcze dwie panny. Najstarsza Liza, która od paru lat uderzyła w dewocję, i najmłodsza Terenia, uparcie udająca podlotka.

Przez szparę w drzwiach obejrzały już gościa, przyłączyły się do krytyki. Gadały i gadały, aż się zjawił Wolski z biura; opadły go jak sroki, trzepiąc wszystkie naraz.

Wolski, zahukany, zmęczony pracą, słuchał półtuchem, myśląc, żeby jak najprędzej zjeść obiad i pójść na winta.

— Kiedy oddamy wizytę? — spytał obojętnie.

— Nic pilnego. Ja sobie wcale bliższych stosunków nie życzę — zdecydowała pani. — Smarkata wcale mnie ciotką nie nazywała, nosa drze! Co to się takiej gęsi zdaje! Nędzarka, podobno na wyprawę dał prezes, a teraz tony przybiera. Biedny Andrzej, żal mi go.

— Prezes mi mówił, że z synowej bardzo rad — bąknął Wolski.

— Co miał powiedzieć. Nie znasz Sanickiego? Czy on kiedy mówi, co myśli? Stary hipokryta!

— Co nam do tego? Wizytę złożyli, chcecie tam bywać, bywajcie, nie, to nie. Ja na winta do starego pójde, bo mnie zaprosił, a teraz dawajcie obiad, bo muszę jeszcze wieczorem wstąpić do biura.

Nowożeńcy tymczasem wstępowali w progi stryjostwa Sanickich.

Tu do zapachu naftaliny i gazu dołączał się zapach dzieci. Gdy weszli, ujrzeli w głębi przedpokoju dwoje starszych chłopaków w gimnazjalnych bluzach. Popychali się, kto pierwszy zobaczy i pozna gości, i rzucili się w głąb, krzycząc z całych płuc:

— Mamusiu! To nie krawcowa, to Andrzej z jakąś panią. Niech mamusia się duchem ubiera.

— Feliś, będziecie cicho! — odpowiedział głos kobiety. — Obudzicie Maniusię. Nie wychodźcie do sali.

Ale chłopcy już byli tam razem z gośćmi. Obejrzeni Kazię i zaczęli gimnastykować się po meblach, rozmawiając poufale z Andrzejem.

— Ojca nie ma? — spytał.

— Co ma być? W banku siedzi.

— Dawnoście z letniego mieszkania?

— Już od tygodnia w sztubie.

— A ileście już razy w kozie siedzieli?

— Po co ci wiedzieć? I tyś kiedyś siedział! ‘

Poręcz krzesła trzasła, chłopak zwałił się na ziemię, aż jęknął, w tej chwili weszła matka.

— Feliś, znowu psocisz — zawołała żałośnie. Chłopcy wpadli jej pod nogi koziółkując i zniknęli z horyzontu.

— Witam i przepraszam za tych łobuzów — zawołała wesoło, wyciągając do Kazi obie ręce. — Andrzej do tego przywykł i panią pewnie uprzedził. Ogromnie żywe moje dzieci, a ja nie mam serca karcić je za niewinną swawolę. Siadajcie proszę, zaraz Feliks nadejdzie. Wiesz, Andziu chciałam się na ciebie już gniewać, że nam żonę tak kryjesz zazdrośnie.

W tej chwili powstał w mieszkaniu wrzask i płacz, pani się zerwała.

— Ach, rozbudzili małą. Muszę ją tu do siebie wziąć, bo się inaczej nie uspokoi.

Wróciła po chwili dźwigając na rękach dużą, może pięcioletnią dziewczynę, ryczącą wniebogłosy.

Przez dobre dziesięć minut nikt nie mógł przyjść do głosu, utulano pieśczołkę pocałunkami, pieśczołkami, wreszcie służąca, wezwana na pomoc, przyniosła pudełko czekoladek i mała raczyła je łaskawie przyjąć na pociechę. Przyszli też do pudełka chłopcy i pomimo że matka zrazu dać im nie chciała, poty nudzili, aż odeszli z pełnymi garściami.

Manusia na kolanach u matki nareszcie się uciszyła. Można było rozmawiać z biedą, chociaż chłopcy bawili się w konie i co chwila przelatowali jak huragan przez salę.

Pani Sanicka, młoda, przystojna szatynka, podobała się Kazi, Andrzej widocznie też lubił stryjenkę. Żartowali ze sobą poufale.

— Musi ci się przykrzyć w mieście — rzekła, zwracając się do Kazi. — Męża masz bałamuta, znajomych żadnych, no i mało co do roboty.

— Oddałam się w służbę pani Ramszycowej, mam pół dnia zajęte.

— Nie tęskno ci do wsi?

Kazia podniosła na nią oczy.

— Pani pewnie także ze wsi?

Roześmiała się kobieta.

— Tak. Widzisz, że cię rozumiem. Ja rodem z Krakowskiego. Tęskniłam ogromnie z początku, do pierwszego dziecka. I tobie to przejdzie.

Zaśmiała się znowu.

— Piętnaście lat jestem zamężna. Czwooro mam tych urwisów.

— Tymczasem... — uśmiechnął się Andrzej.

Poczerwieniła, pogroziła mu palcem.

— Nie żartuj! Ja się nie zarzekam, a ciebie czeka siedmioro. Chciałabym widzieć prezesa w gronie wnucząt. Tobym mu dopiero odpłaciła drwinami.

— Ojciec wcale nie krytykuje ilości dzieci stryjenki, tylko systemu chowania nie pochwała.

— Niech się mnie spyta, czy ja system twego wychowania pochwalam.

— Nie? Doprawdy? Dlaczego? Mebli nigdy nie łamałem, a biegać „w konie” nie miałem z kim.

— No, no! Łamałeś i łamiesz droższe przedmioty niż meble, a bierzesz na kiel jak najdzikszy koń! Ty mi się tylko za ideał nie przedstawiaj. Ach, Boże! Oto i Feliks! Muszę się zająć obiadem.

Uniosła w ramionach Maniusię i zjadając ją pocałunkami znikła, rzucając wchodzącemu mężowi:

— Są Andrzeju!

Sanicki, poważny, flegmatyczny pedant, powitał młodą parę, ale go wnet opadły dzieci i nie dały rozpocząć nawet rozmowy. W głębi mieszkania wrzeszczała Manusia. Andrzej miał dosyć całej rodziny.

Gdy się znaleźli na schodach, wybuchnął:

— Może by dość było tego na dziś, bo mi łeb pęknie.

— Dębskich nie możemy opuścić — rzekła Kazia — a ojciec bardzo zalecał także, by nie obrazić starych Markhamów.

Coś zamruczał, spojrzął na zegarek i rozkazał stangretowi: Mazowiecka 7. Był to adres Markhama.

Markham, stary, bardzo bogaty przemysłowiec, od dziesięciu lat zdał interesy na trzech synów, sam żył beczynnie, oddany manii zbierania starożytności. Żona jego miała dwie manie: swatania i leczenia siebie i całego świata, oprócz tego chowała całą masę pinczerów i była patronessą różnych dobroczynnych instytucji. Uważała się za umęczoną społecznymi obowiązkami.

Cieżyką troską jej życia było: jak świat będzie istnieć, gdy jej do kierowania nim nie stanie.

Po przywitaniu i obowiązkowym: „Jakże się pani podoba Warszawa” — spytała zaraz z przekąsem:

— Podobno pani jest adiutantem Ramszycowej?

— Adiutantem, nie — odparła spokojnie Kazia — ale pomagam jej, mając wiele wolnego czasu.

— Dużo amatek nie znajdzie w Warszawie. Nie bardzo kto zechce się z nią kompromitować. Był to radosny dla nas dzień, gdyżśmy się od niej uwolnili. Wnosiła ze sobą chaos. Wtedy powstało takie oburzenie, że sama poczuła, że musi się usunąć. Odetchnęłyśmy. Raczej pozbawić instytucję jej tysięcy, niż stanąć pod pręgierzem opinii publicznej. Opowiadam to pani umyślnie, aby ostrzec! Pani młoda, obca, niedoświadczona. Pani nie wie, co znaczy w świecie znajomość z taką Ramszycową. Tu idzie o największy skarb kobiety, o jej opinię i zdanie świata. Niech pani się cofnie, póki czas.

— Teść mój i mąż nie bronią mi tego zajęcia i stosunku — odparła spokojnie Kazia.

— Ach, mężczyźni! Zawsze obejrzą się poniewczasie, że postąpili nietaktownie. Zresztą i pani teść, i pani mąż nie znają tej kwestii, nie rozróżniają dobroczynności chrześcijańskiej naszej a tej jakiejś dzikiej, socjalnej, demagogicznej, jaką wyznaje Ramszycową. Zresztą nie wiedzą może i nie rozumieją, co to są feministki, to jest cała klika Ramszycowej. Stara jestem i doświadczona, jak matka panią ostrzegam! Jeśli nie chcesz zostać wyklętą z towarzystwa i kościoła, zerwij ten stosunek. Przystąp do rias, zapisz się do naszej świętej instytucji! Wszak mi tego nie odmówisz?

— Z największą chęcią. Proszę mnie tylko co do obowiązków objaśnić i nauczyć, co mam czynić.

— To dobrze! To dobrze! Dam ci tu zaraz ustawy, a po wtorkowej sesji cię wprowadzę! Zaraz poznasz różnicę czynów i zasady!

Po chwili otrzymała Kazia moc papierów i książek, a twarz Markhamowej promieniała.

Zaprezentowała jej swe pinczery, oprowadziła po mieszkaniu, na pożegnanie ucałowała i dumna wyznała w duchu:

— Nawróciłam tę duszę i będę nią kierować.

Tymczasem „nawrócona dusza” rozsypała na schodach papiery. Andrzej je zbierał.

— Co to za śmiecie znowu? — spytał.

— Ustawy jakichś dobroczynnych instytucji, do których chce mnie wpisać pani Markham.

— Ta niezawodnie uderzy w dewocję — pomyślał o żonie i nic nie rzekł.

Pozostała im na ten dzień już tylko jedna wizyta, ale tam, u Tuni Dębskiej, czuła się Kazia jak w domu.

Domem trudno było mieszkanie Tuni nazwać, choćby dlatego, że pan domu był zwykle nieobecny, a pani żyła w nim jakby na popasie.

Małżonkowie nie widywali się ze sobą nigdy prawie. Dębski wychodził rano do sądu, obiadował pięć razy na tydzień co najmniej poza domem, resztę dnia spędzał w knajpie, pracował pół nocy w swym gabinecie nad sprawami klientów lub pisał do gazet, bo się bawił literaturą.

W czasie zimowego sezonu przyjmowali we wtorki, wtedy każde z osobna bawiło gości, od czasu do czasu składali razem jakąś etykietalną wizytę, zresztą bywali i znali pół Warszawy, ale każde z osobna.

Od dziesięciu lat skojarzone to stadło było ze siebie i z losu zadowolone i szczęśliwe.

Dębski, zdolny i pracowity, zarabiał grubo. Tunia miała zbytek i swobodę, byli bezdzietni, ogólnie lubiani i uchodzili za ideał małżeństwa.

Dzień pani Dębskiej rozpoczynał się późno, około jedenastej, zwykle wizytą której z sióstr lub kuzynek, których miała legion.

Zrywała się z łóżka i w szlafroku rozpoczynała się śmiać, paplać i miotać po domu, zawsze coś gubiąc, czegoś szukając, popędzając służbę, słuchając ploteczek i nowinek odwiedzającej i powtarzając bezustannie:

— Mój Boże, co ja mam na dzisiaj roboty, jak ja wydołam!

Tak biegając i paplając myła się, czesała, piła kawę, dysponowała służbie, robiła rachunek z kucharką, wreszcie przeprowadzała siostrę czy kuzynkę do przedpokoju i tam, gdy się wycalaowały na pożegnanie, u drzwi samych stojąc, kończyły gawędkę, „dwa słowa”, które trwały do pierwszej. Płoszył je zwykle dzwonek nowej, już etykietalniejszej wizyty, przed którą kryła się pani Tunia do sypialni wołając w odwrocie do lokaja:

— Proś do sali. Leontyno, prędzej ubieraj mnie. Gdzie gorset, gdzie trzewiki? Mój Boże! Czy przynieśli stanik od krawcowej? Żelazko do fryzowania! Co się stało z kluczami?

Jeśli gość miał ważny interes lub był naiwny, czekał na ukazanie się pani bardzo długo.

Zwykle jednak ten pierwszy zmykał, a pani Tunia ukazywała się zaledwie tym, którzy przychodzili około drugiej. Spóźniający się nie zastawali jej już w domu.

Wystrojona, ładna, uśmiechnięta, zbiegała na ulicę, co krok witała znajomych i wiecznie czymś mocno zajęta, zaaferowana, załatwiała pośpiesznie wizyty, sprawunki, a szczególnie miała zawsze, co dzień, jak rok długi, jakiś niecierpiący zwłoki interes do krawcowej.

Ponieważ zaś dla uproszczenia kardynalnej kwestii strojów miała krawcowych i szwaczek sześć, a nigdy do żadnej nie przyszła na umówioną godzinę, bo zawsze jej coś przeszkodziło, więc sprawy te zajmowały jej większą część dnia i była zapracowana do obiadu, który miał być o piątej, a bywał, jak się zdarzyło.

Zwykle przyprowadzała z sobą znowu którą z sióstr lub z legionu kuzynek, znowu gadały, gadały, gadały. Zwykle też wieczorem porywała się pani Tunia za głowę, spojrzawszy na zegar:

— Rany Boskie! Miałam być o szóstej u Józwickich, a to już siódma. Leontyno, prędzej ubieraj mnie! Gdzie fularowa suknia? Żelazko do fryzowania mi grzejecie? Mój Boże, ja nie wydołam doprawdy! Głowę trzeba stracić w tym odmęcie roboty!

Albo porywała się o wpół do dziewiątej:

— Jezus Maria! A toć Julek na mnie czeka w teatrze. Na śmierć zapomniałam. Boże, gdzie się podziały białe rękawiczki? Bilet mi zostawił na wypadek, gdy się spóźnię. Gdzież ten bilet? Leontyno, gdzie klucze? Janie, leć po dorożkę. Spóźnię się! Ach, Boże!

Znając obyczaje domu, Andrzej był pewny, że o czwartej nikogo nie zastaną. Zadzwoił i sięgał ręką po kartę, gdy lokaj drzwi otworzył.

Ale Jan się usunął i nisko uklonił, a z daleka słychać było głos Tuni.

Wyjrzała i skoczyła z powitaniem:

— Nareszcie! Chodźcie! Jest mama i dziewczęta. Ta wyprawa mnie dobije! Głowę tracę i nóg nie czuję. W tej chwili wracamy ze sprawunków. Od jedenastej na mieście. Kaziu, pomóż nam!

— A my od dwunastej z wizytami.

— Wiem, wiem! Byliście u Wolskich. Panny już cię obgadały!

Zwróciła się do Andrzeja:

— Nie mógł się też pan z którą ożenić? Byłoby o jedną jędzę mniej!

— A o jednego męczennika więcej! — odparł. Weszli do salonu i zastali dwie siostry z matką nad stosami próbek z dwudziestu co najmniej magazynów.

Przyszła teściowa Markhama zaczęła rozpytywać Andrzeja o fabrykę spółkową.

— Bo to podobno będziecie ją mieli na prowincji, w Grodzisku — rzekła, krzywiąc się lekceważąco.

— Tak i młoda para tam zamieszka.

— I ta orearnia. Jak to musi nie pachnieć! Tak daleko będę od reszty dzieci! Czy chociaż ładny dom?

— Bardzo elegancki pałacyk, duży ogród.

— Ale ludzi nie ma, towarzystwa! Ciężko na starość zrywać stosunki tyloletnie! A interes, jak pan myśli, pewny? Bo to cały fundusz Emilki w to kładziemy! Broń Boże Markhamowi noga się powinie, zostaniesz bez grosza!

— Pani radczyni zmieni trochę akcyj, Markham senior nie kupi jednego gobelinu, to grosz się znajdzie i podsztukuje nogę Markhamowi.

— Pan żartuje, a u mnie dusza na ramieniu. Zakopać dziecko żywcem w grób, wyłożyć tyle pieniędzy... Ach, mój Boże! Ciężki jest los matek!

Westchnęła, milczała chwilę, potem pochyliła się do niego bliżej.

— Panie Andrzeju, czy pan zna młodszego Iwickiego?

— Młodszego? — uśmiechnął się. — Któryż to? Rejent czy radca?

— Radca przecież żonaty!

— A rejent wdowiec. Prawda! Zatem rejent młodszy.

Tego zna lepiej mój ojciec, bo grywają w wmta i bywają razem w Karlsbadzie. Czy on prowadzi interesa pani radczyni?

— Nie. Bywa u mnie — odparła wymijająco.

— Panie Andrzeju — zagadnęła Tunia — czy to prawda, że nasz Markham spirytysta?

— Wątpię — chyba dlatego, że zapewne bawi pannę Emilię rozmową o związku dusz.

— Nieznośny pan jest! — nadąsała się narzeczona, a Tunia rzekła:

— Wolskie rozpowiadają, że ma jakieś medium i po nocach urządza jakieś seanse.

— Widocznie Wolskie lepiej ode mnie wiedzą, jak Markham spędza noce, bo ja o niczym podobnym nie wiem.

— Czego Wolskie nie wymyśla! — mruknęła radczyui.

— Nie wymyśla nigdy dobrego słowa — rzucił niecierpliwie.

Zwrócił się do żony, dając znak dyskretny.

— Co? Chce mi ją pan zabrać? — zaprotestowała Tunia. — Mam z nią mnóstwo do mówienia i zatrzymuję. Moglibyście bez ceremonii zostać na obiad. Nawet może Julek będzie.

— Nie mogę. Mam o piątę] ważny interes. Zostawię ci powóz — rzekł do żony.

— Ależ nie. Bardzo chętnie wrócę pieszo.

Pożegnał tedy panie, Tunia przeprowadziła go do przedpokoju i zatrzymała.

— Wie pan, Wolskie gorsze rzeczy głoszą — zaczęła cicho. — Powiadają, że Markham utrzymuje Burecką.

Żachnął się niecierpliwie.

— A jeśli tak jest, co im do tego?
— Im nic, ale nam bardzo! To musi być zerwane! Niech pan wpłynie na niego!
— Markhama nie trzeba uczyć, co wypada. Zresztą dalsze jego postępowanie zależy od żony i jej wpływu,
— No, no, niech pan się w morały ze mną nie bawi i ostrzeże po przyjacielsku Markhama, że wiem, jak jest, i wiem, czego wymagam. Emilka nie jest Kazia. Pogroziła mu palcem i wróciła do salonu.
— Kaziu, chodź no na chwilę ze mną — zawołała i wyprowadziła ją do sypialni.
— Wiesz, interesa twoje się poprawiają — szeptała poufale. — Pani Celina zdradza go z Maksem Unfriedem, Lada dzień będzie skandal.
Kazia ruszyła ramionami.
— Żebyś wiedziała, jak mi to obojętne!
— Bajesz! A ja się tak ucieszyłam, bo to Wolskie rozpowiadają, że Andrzej chce się już rozwodzić, że ty zebrzesz litości, żeś ostatnią jego służebnicą, że tobą pomiata. Bóg wie, co za nikczemności i kłamstwa. Kipiałam z oburzenia.
— Po co — uśmiechnęła się apatycznie Kazia.
— Jak to po co? — oburzyła się Tunia. — Ty jesteś ślimak, ostryga. Zlituj się, czy ty nie masz odrobiny ambicji? Jak to? Nie odbić rodzzonego męża starej awanturnicy, nie zmusić go, by się w tobie rozkochał, za tobą szalał, tobie służył, ciebie uwielbiał! Umarłabym z hańby i wstydu, żebym tego nie zrobiła,
— Po co mi to? Nie cierpię go, był mi obojętny, stał się wstrętny. Będę szczęśliwa, gdy o mnie zapomni. Chciałabym tylko dla niego nie istnieć. Poza tym, niech sobie kocha, trzyma, zdradza, zdobywa, kogo sobie chce.
— Bój się Boga! Ty chyba kochasz innego?
— Kocham i on to wie! — wybuchnęła Kazia.
— W takim razie jesteście oboje potwory! — zawołała impetycznie Tunia.
Kazia milczała. Zmęczona była i znękana bezmiernie. Czuła potrzebę zwierzenia, skargi, a rozumiała, że Tunia jej nie pojmie.
Powstała, przesunęła rękę po oczach, zapanowała nad sobą, zdobyła się na uśmiech.
— Potwory, zapewne! Raczej galernicy skuci łańcuchem!
Ano, może Wolskie raz wypadkiem powiedzą prawdę o tym rozwodzie.
Tunia odetchnęła z wrażenia.
— To nie może być! Gdzieżbyś się tak prędko zakochać mogła! Brednie, nikogo nie znasz. Chybaś nie oszalała za Radliczem?
— Nie, przysięgam! — uśmiechnęła się.
— No, to w kim? Mów! Muszę wiedzieć! Nie puszczę cię, aż powiesz. Gdzie on jest?
— Gdzie? Bardzo daleko. Zresztą, pisałam kiedyś do ciebie, żeś zaręczona. Zapomniałaś?
— Kiedyś, kiedyś? Prawda, pisałaś! No, ale potem on przepadł. Jakiś student? Aha! Pamiętam! No — więc to — to! I tyle! Więc wróci! Jest w Warszawie?
— Nie! Od dwóch lat nawet pisywać przestał do babki.
— I to w nim ty się kochasz? Cha, cha, cha! Wierzę, że nawet Andrzej ci na to pozwala! Śmiała się, śmiała, aż na tę wesołość wpadły siostry, pytając, co się stało.
Szczęściem dla Kazi ukazała się jednocześnie Leontyna z wielkim pudłem.
— Proszę pani, przynieśli od krawcowej.
— Nareszcie! — krzyknęła Tunia. — Pokaż, pokaż!
— Mamo, Emilko! Chodźcie! Mam nareszcie zielony kostium! Zaraz go zmierzę. Leontyno, rany Boskie, gdzie klucze? Daj nowy gorset!
Już zapomniała o zabawnej, pysznej anegdocie z romansem Kazi, nawet o niej samej.
Pewnie nie zauważyła, kiedy się z nią pożegnała, i o чудо, nie przeprowadziła do przedpokoju na dwa słówka!

Prezes spotkał Kazię na ulicy i wyznał szczerze:

— Wiesz, zatęskniłem za tobą i wyszedłem na poszukiwanie. Cóż, bardzo zmęczona?

Taka szczerą radość i serce patrzyło na nią ze starych oczu teścia, że uśmiechnęła się do niego.

— Zmęczona nie, ale znudzona. Niech ojciec zgadnie, ile razy mnie zapyłano, jak mi się podoba Warszawa?

— Ano, każdy i każda. No, a gdzież ci było najznośniej?

— U stryjostwa.

— Co? W tym instytucie moralnie zaniedbanych dzieci? Winszuję!

— Doprawdy. Stryjenka wesoła i dobra, stryj poważny i myślący, a dzieci nie wydały mi się gorzej rozpuszczone od naszej Zosi w Gurowie.

— To niewielka pochwała. No proszę i Feliksowie mogą się komuś podobać, i to jeszcze mojej Kazi. Tej sympatii z tobą nie dzielę.

Ale uśmiechnął się pomimo to do niej, więc zaczęła mu opowiadać wrażenia.

— Wolscy są straszni. Gdy tam weszła i poznała cały komplet, zdawało mi się, że jestem na jesieni w pasiece, kiedy każda pszczoła gotowa ciąć żądłem. Brr... jak ja się ich boję!

Pani Markham wciągnęła mnie do Towarzystwa Świętego Salezego. Mówiła mi, że i ojciec jest członkiem.

— Może być. Ciągłe mi każą płacić i wszędzie moje pieniądze są mile widziane.

Machnął ręką.

— Udają, że coś robią, i chcą być w „Kurierku” wydrukowane. Markhamowej nie można odmówić.

Wrócili do domu. Andrzej na obiad się nie ukazał, wieczór prezes miał winta. Kazia została sama. Odczytała tego dnia otrzymany list od ojca.

„Moja jedyna pociecho! Dzięki ci za dobre wieści. Wszystkie moje troski są niczym wobec myśli, że tobie może być źle, a żadna pomyślność nie zastąpi mi spokojnej pewności, żeś szczęśliwa i z losu zadowolona. Takem się trwożył, czy nie przebolejesz rozstania z wsią i dotychczasowym zajęciem. No, dzięki Bogu, dobrze ci, nie zawiodłem się na Sanickich. Cóż ci donieść? Babcia Bogucka trochę niedomaga, byłem u niej onegdaj, dopytuje się o ciebie i tęskni. Niewesołą ma starość, o Stachu diiii słychu, jeśli nie umarł, to źle o nim świadczy. Krótko mówiąc, przepadł.

U nas żniwa skończone, lokomobile już dymią przy stertach, świetna pogoda sprzyja. Brak mi ciebie na każdym kroku, ano, co się stało, stać się musiało! Zdaje mi się, że wpadnę tymi czasy do was, zobaczyć cię na własnym gospodarstwie i ucieszyć się twym szczęściem naocznie. Tymczasem całuję cię i błogosławię, dziecko kochane!”

Przeczytała i opuściwszy ręce i papier na kolana zadumała się patrząc w próżnię.

A próżnia ta wypełniła się szerokim morzem ściernisk złotych, gajów już żółknących i przestrzenią bladego jesiennego błękitu. Powietrze pełne było zapachu świeżo ruszonej pługiem roli i echa od dudnienia wozów i parskania koni, i piosenki, którą nucił Stacho Skowronek wracający „do dom”. Szczęśliwy Stacho, mógł wrócić!

Porwała ją taka tęsknota, żal, ból fizyczny prawie, że się wzdrygnęła, przycisnęła ręce do piersi i zgryzła usta, by nie jęknąć.

Goryczy, wstrętu, nudy pełna była po brzegi dusza.

— Nie wytrzymam — szepnęła rozpacznie.

Wzrok jej padł na list i po chwili poczęły na papier padać gorące łzy. Musiała wytrzymać.

V

Ocieska leżała na otomanie w swym saloniku obok pracowni i czytała.

Była to osoba ni młoda, ni stara,, ni brzydka, ni ładna, wysoka, szczupła, ubrana niedbale, z twarzą zmiętą, bardzo charakterystyczną, do której przyrósł grymas sarkazmu.

W bluzie roboczej, jak odeszła od stalug, odpoczywała, czytając i dozorując zarazem spirytusowej maszyny do kawy.

Zachodzące słońce oświetlało salonik, a szczególnie padało całą masą purpury na portret Rosy Bonheur, zdobiący przeciwległą ścianę. Oprócz tego portretu wzdłuż innych ścian wił się cykl obrazów, kopie średniowiecznego Tańca Śmierci. Zresztą umeblowanie pokoju stanowiły przeważnie książki. Pełno ich było po stołach, szafach, półkach, nawet na podłodze.

Przez uchylone drzwi widać było pracownię i jakąś podmalówkę na stalugach.

.Syczenie kawy na maszynie oderwało uwagę Ocieskiej od książki. Zdmuchnęła płomień.

W tej chwili ktoś do drzwi zapukał i nie czekając pozwolenia, ukazał się w progu Radlicz.

— „Sąsiadko, witaj! Co mi świat!” — zanucił wchodząc.

Ocieska coś zamruczała, nie przerywając czytania.

— Przyszedłem do kolegi, a raczej do jego biblioteki — mówił niezrażony lub nawykły do jej humoru, rozglądając się po książkach. — Czy dostanę na dni parę Szekspira?

— Mam, ale nie dam! — odparła lakonicznie.

— Bo?

— Bo dałam Zarębie kiedyś i musiałam potem wykupić na licytacji jego gratów.

— Klnę się na prochy Giotta, że pierwszy mój termin wekslowy jest na Szymona i Judę męczenników, a Szekspira oddam pojutrze, tj. piętnastego września. No co? Dostanę?

Ocieska zachnęła się niecierpliwie.

— Zawracanie głowy. Tak panu idzie o Szekspira, jak o wczorajszego „Kurierka”. *Heraus*, po co pan przyszedł?

— Zaraz po co? Tak sobie. Śnił mi się dziś *Sen nocy letniej*. Muszę go sobie przypomnieć.

— Śliczny sen. Że pan jest tkaczem Pyramem, wiadomo; któraż z nadobnych .warszawianek była ostatnią Ty tanią?

— Hm — mogę tu popełnić niedyskrecję. Ty tanią była pani.

— Przecie dobrana choć raz para: osioł z kockodanem — odparła spokojnie Ocieska. — Tak mi się to podoba, że pożyczę panu Szekspira. Tam, znajdzie go pan na półce.

Nalała sobie kawy, zapaliła papierosa i zagłębiła się na powrót w czytaniu.

Radlicz wziął książkę, zajrzał do pracowni.

— Już skończony portret pani Rudnickiej? Dlaczego nie ma na wystawie?

— Pan nie wie? — ruszyła ramionami. — Dziwię się! Pan nawet zna tajemnice alkowy pani Rudnickiej. Myślałam, że tym lepiej wie pan, gdzie umieszczono portret.

— Ależ kolega dziś zły — zaśmiał się.

— Czy bywam kiedy dobra?

— Phi — dobra, nie — ale mniej zła.

— Względem pana? Wątpię, nie miałam przynajmniej nigdy tego zamiaru.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Mówię w oczy, co pan za oczy,

— Jak to?

— Tak to! Z tą różnicą, że gdy pana nie widzę, nie wiem i nie pamiętam, że pan istnieje na świecie. A jak pan mnie nie widzi, co pan jednak mnie łaskawie wspomina, odsądzając od czci, wiary, lalentu, co zresztą czyni pan z każdym i każdą.

— To fałsz. Trzeba nie być artystą, żeby nie uznawać pani talentu, a oryginalną wolno pani być na pani stanowisku.

— Doprawdy, wolno? — zaśmiała się ironicznie. — A jakby nie było wolno, tobym nie była?

Zaśmiała się raz jeszcze z bezmierną pogardą. Wstała, spojrzała na słońce, potem na zegarek.

— Co za pycha patrzy z paru — zaśmiał się Radlicz.

— Myśli pan? Nie! Tylko pewność bezwzględnej wolności. Wolno mi być sobą, bo nie w ludzkiej mocy odjąć mi to, co posiadam, ani dać, czego pragnę.

— Śliczne zdanie, ale do bajki. Chciałbym panią widzieć bez sławy, bez talentu, bez pieniędzy i bez ludzi.

— Ludzie mi dali talent i sławę?

— Sławę mogą pani odjąć w każdej chwili. Ruszyła ramionami.

— I owszem. Żeby wiedzieli, jak mi zbrzydły portrety i słuchanie bredni i komunałów przy pozowaniu! Będę malowała bardziej udane Boże twory niż ludzie.

— Ale ludzie płacą.

— To niech nie płacą. Mam osobisty fundusz.

— *Invulnérable!* — zaśmiał się Radlicz.

Ocieska popatrzała drwiąco na niego.

— Tak. Nawet natura uczyniła mnie takim koczokodanem, że i czci mojej zbrudzić nie można, boby nieszczęsny, o romans ze mną posądzony, wyzwiał potwarcę o obrazę męskiego honoru.

Spojrzała znowu na zegarek.

— Pani wychodzi? — spytał.

— Czekam na panią Sanicką.

Spojrzała na Radkczę, jakaś myśl przeszła jej błyskawicą przez głowę.

— Aha! Szekspir! — mruknęła. Radlicz poczerwieniał jak student.

— Co pani ma za posądzenia? Skądże mogłem wiedzieć, że pani Sanicka tu będzie?

— Nie mam żadnych posądzeń. Czekaj pan. Nie mój interes.

Wyszła do pracowni i wróciła po chwili, już przebrana jak na wizytę. Radlicz siedział.

— Pani drwi ze mnie, ale który z nas, artystów, nie zachwyciłby się panią Sanicką! Nie zdarzyło mi się spotkać w życiu tak uroczej twarzy, tak ślicznego w całości typu kobiecego.

— Taak? A Baumbiattowa?

Radlicz skoczył, jakby mu kto nadeptał na odciski.

Baumbiattowa była to podżyła piękność wschodnia, nieszczęsny, fatalny kaprys sprzed kilku lat, wstyd i śmieszność całej jego kariery miłosnej. Spojrzał wściekły na drwiącą twarz Ocieskiej.

— Żebym wiedział, kto mi tę babę przylepił!

— Tak, to była nieudana fantazja. Chyba jako studium do *Walpurgisnacht*.

— Ależ to fałsz u licha!

— No, no, szanowny artysto, nie mnie okłamujcie, bom was widziała pewnego majowego wieczoru w Łazienkach. Wysiedliście z powozu za mostem nad stawem i...

— A cóż pani robiła po nocy w Łazienkach?

— Hm, może byłam z kochankiem. W każdym razie nie profanowałam cudnej nocy księżycowej i słowicznych pieśni gruchaniem z takim poronionym Bożym tworem, jak Baumbiattowa.

— Pani jesteś oprawcą — zaśmiał się Radlicz, widząc, że się przed nią nie wyklamię.

W tej chwili zapukano do drzwi i weszła Kazia. Zeszczuplała i zbielała przez te parę miesięcy miejskiego życia, zdyszana była i zawołała od progu:

— Spóźniłam się, myślałam, że wcale się nie uwolnię. Wie pani, Kostyński umiera!

Spostrzegła Radlicza, zawahała się chwilę, podała mu rękę.

— Mówiono mi, żeś pan wyjechał.

— Zapewne Wolskie. Co prawda, od trzech dni nie wychodzę na miasto; Pracuję.
— Nie, Wolskie zajęte są teraz doktorem Downarem. Boże, com się naśmiała! One jutro coś wymyślą na mego teścia.

— Cóż wymyśliły na Downara? — spytała Ocieska.

— Ano, zawsze jedno. Downar ma romans!

Ocieska ruszyła ramionami.

— Słyszałem już o tym — zaśmiał się Radlicz. — Downar ma mieć kawalerskie mieszkanie, gdzie odprawia orgie. Panie w to nie wierzą, ja owszem! Żebym miał taką Downarową za żonę, miałbym nie jedno, ale trzy kawalerskie mieszkania i do domu wcale bym nie zaglądał.

— A ja, co Downara dobrze znam — odparła Ocieska — to ręczę, że gdyby go pod szubienicę prowadzili, a najcudniejsza z kobiet mu rzekła: weź mnie, a nie będziesz wisiał, toby katowi pomagał stryczek zakładać, byle prędzej skończyć.

— Ja zaś nie rozumiem, w czym Downarowa jest gorsza od innych — rzekła Kazia. — Skrzętna, radna, porządna kobieta. Widuję ich często, a nigdy nie byłam świadkiem żadnej przykrej sceny.

— Do sceny potrzebny dialog. Więc gdy ona piłuje i miota się, a Downar milczy, nie ma pełnego efektu. Wypije pani kawy? — rzekła Ocieska.

— Wypiję. Mamy jeszcze czas.

— Panie idą w Aleje?

— Tak. Wtorek u pani Ramszycowej. Odpowiedziała, nie patrząc na niego, chociaż czuła, że oczu z niej nie spuszcza. Zdjęła kapelusz i rękawiczki i odebrała z rąk Ocieskiej filiżankę.

— Sama sobie usłużę — uśmiechnęła się. — Uważa pani, jak się zasługuję, bo mam prośbę.

— Co, znowu dobroczynna karota pani Markham?

— Broń Boże. Myślę o małej Kostyńskiej.

— Mam ją adoptować?

— I owszem, jeśli tego będzie warta. Tymczasem spróbować, czy warto ją kształcić na artystkę.

— Żeby popełniała w przyszłości takie kryminały, jak malowane ekrany, patery, poduszki itp. ohydy, które ją doprowadzą do głodowej śmierci a ludzkość do kompletnego zaniku poczucia artysty. Winszuję! Ja mam do tego pomagać?

Kazia zaśmiała się serdecznie.

— No nie! Zapobiec raczej, jeśli nie ma talentu. Kostyński wszystkie troje dzieci mi oddał pod opiekę; biedak umiera spokojny o ich los.

— Wierzę. Żeby był umarł, zanim się ożenił, jeszcze lepiej by zrobił — mruknęła Ocieska.

— Kto jest Kostyński? — spytał Radlicz.

— Biedny grajek z orkiestry, wdowiec, suchotnik. Lokator z naszego domu.

— I w myśl zasady: nic w naturze nie ginie, autor trojga młodocianych suchotników — odpowiedziała Ocieska.

Kazia uderzyła ją rękawiczką po rękę.

— Nie sztydzić z ludzkiej nędzy! Zresztą dzieci zdrowo wyglądają. Starszego chłopca umieściłam w szkole handlowej, drugi ma zajęcia w redakcji. Dziewczynką pani się zajmie. Jeśli ma talent, tu zostanie, w przeciwnym razie mam dla niej lokatę w Galicji.

— Niech mi ją pani przyśle jutro — z westchnieniem zwalzonego egoizmu i lenistwa rzekła Ocieska.

— Dziękuję. Pani pozuje na nieużyta, ale już się na tym poznałam — uśmiechnęła się Kazia.

Piła kawę śpiesząc się. Widocznie denerwował ją uporczywy wzrok Radlicza.

— Pani już nie bywa konno w Alejach? — rzekł.

— Owszem, co dzień, tylko zmieniałam godzinę, żeby nie spotykać znajomych.

Było to dobitne. Dla złagodzenia dodała:

— Słyszał już pan Cafieri?

— Tak! W *Cavallerii* i jestem zachwycony.

— My mamy być pojutrze na *Carmenie*.

— Bardzo nowa, świeżutka opera — zaśmiała się Ocieska.

— Dla mnie będzie nowa. Byłam w życiu trzy razy na operze.

— Nie może być?

— A najwyżej dziesięć razy w teatrze.

— Żartuje pani?

— Nie. Doprawdy. Nie miałam kiedy używać tej rozrywki. Jestem przecie dzika wieśniaczka.

— A teraz? Woli wieczory w domowym kółku?

— Tak! Wolę samotność i ciszę niż gwar i tłum. Nie nudzę się nigdy sama ze sobą, a często z ludźmi nawet bardzo zabawnymi.

To było znowu dobitne i cięte i znowu dla złagodzenia dodała:

— Zresztą mało mam wolnych wieczorów. Wtorki u pani Ramszycowej, czwartki u Markhamów, niedziele u Dębskich, w sobotę sami przyjmujemy. Dodać do tego różne sesje teścia i fabrykę męża, na teatr już nie ma czasu. No, już idę — zakończyła wstając i naciągając rękawiczki.

Radlicz powstał także i pożegnał panie.

Zaraz za nim one wyszły. Przed bramą czekał powóz.

— Phi, taka parada! — rzekła Ocieska.

— *Idée fixe* mego teścia — odparła Kazia. — Przyśniło mu się, że mnie tramwaj przejechał, i nie pozwala wieczorem iść pieszo. Co prawda, i ja się boję ulicy. To dziwne, u siebie na wsi nie wiedziałam, co strach. Bywałam wśród piorunów w polu, na cmentarzach w noc ciemną, błądziłam w zadymkę, unosiły mnie konie, gonił rozszalały byk, nigdy nie doświadczałam tej zgrozy i lęku, jak tu, gdy mi parę razy się trafiło wracać późnym wieczorem wśród ludzi.

— Ba! W tym właśnie różnica. Tam się ma do czynienia z Bogiem i ze zwierzem, tu z ludźmi. Tamto może zabić, zniszczyć, to czasem też zabija, ale rzadko, a zawsze brudzi. Co Radlicz pani zawinił? — spytała nagle.

— Właściwie nic. Jest jak wszyscy, tylko cyniczniejszy bardziej — odparła z niesmakiem. — Byłam z nim szczerą i swobodną; źle to pojął i posunął się za daleko, musiałam go z błędu wyprowadzić, no i zemścił się obmową.

Ocieska potrząsnęła głową.

— Obmówił panią — ha, może być, ale wątpię.

— Chyba zły jego język jest dość sławny.

— Tak. Ten dla konceptu wszystko sprzeda.

— Zresztą, co tu jest innego jak obmowa — wybuchnęła Kazia. — Dlaczego się ludzie znają, odwiedzają, bywają w teatrze, na koncertach, wydają rauty, nawet uprawiają dobroczynność, sport, nabożeństwo, tylko żeby się obmawiać, żeby wynaleźć nowinkę, żart, plotkę i tylko mieć pastwę dla obmowy. Wie pani, od paru miesięcy, gdy tu jestem, nie słyszałam jeszcze jednego dobrego słowa, pochwały lub uznania. Jeśli nie kryminał, to skandal, jeśli nie skandal, to brudne podejrzenie i insynuacja podła, zresztą drwina i śmieszność. Kogo nie można stawić pod pręgierz, tego chociażby oplwać lub wyszydzić. Obmawiają mężczyźni, zda się, poważni i zapracowani, obmawiają matrony kwestujące w kościele, obmawiają młode panny i kawalerowie, dzieci obmawiają w Saskim Ogrodzie. To jest reguła bez wyjątków.

— Owszem. Tam, gdzie jedziemy, nikt nikogo nie obmawia.

— Tak — tylko tam — odetchnęła Kazia. — Zresztą, słuchając tych ludzi, którzy się uśmiechają, ściskają i całują, myśli się, już nie z oburzeniem, ale ze zgrozą, czy ci ludzie mają jeszcze sumienie i gdzie ich wstyd i etyka.

— A co jest najstraszniejsze, że kto tam wpadnie i żyć wśród nich musi, zrazu się przerazi, potem się oburzy, potem zobojętnieje, potem się zarazi i wreszcie staje się jak wszyscy. Jedni przez bierne nasłuchanie, inni ze strachu, inni przez zemstę. Oplwani plują także.

Kazia potrząsnęła głową, spojrzała prosto, jasno w oczy Ocieskiej.

— Ja nigdy, bo coraz mi wstrętniejsze, coraz dalej się od nich odsuwam, coraz więcej mam niechętnych. Zostanę wreszcie sama, ale plwać przy sobie nie pozwolę i sama plwać nie będę.

— Ale oplwaną pani będzie.

— Już jestem i będzie jeszcze gorzej. Kobiety jedne nie mogą mi darować, żem zrobiła świetną partię. Świetną — powtórzyła ironicznie. — Drugie, że bronię obmawianych i prostuję fakta. Mężczyźni, znając moje domowe stosunki, pewni, że nikt się za mną nie ujmie, pozwalają sobie tymczasem pochlebiać i zaczepiać, potem będą się mścić za porażkę. Przygotowanam na wszystko, nawet na utratę opinii, na śmieszność, na wszelkie oszczerstwa. Ale wśród tych ludzi mnie nie pomieszczą ani ta zaraza mnie nie ogarnie. Obcą tu byłam i obcą zostanę.

— Amen — rzekła Ocieska, podając jej rękę. — Samą pani nie zostanie. Bywa nas przecie pięcioro tutaj!

Powóz stanął. Wsiadły i Kazia rzekła do stangreta:

— Jedźcie, Walenty, po pana na Wiedeński. Jeśliby zatrzymał was, to wróćę dorożką, jeśli nie, bądźcie tu o dziesiątej.

— Mąż pani wraca co wieczór? — spytała Ocieska.

— Prawie co dzień. Dziś będzie niezawodnie, bo jutro ślub Markhama.

— Tak prędko?

Weszły do przedpokoju, potem do małego saloniku, gdzie już zastały resztę towarzystwa.

Ramszycowa, zawsze czynna, robiła koronkę. Dwóch mężczyzn: doktor Downar i młody podróżnik i botanik, Sokalski, rozmawiali o biegunie południowym. Przy bocznym stoliku mała Lili po opieką Angielki przeglądała ilustracje.

Na widok wchodzących dziewczynka zerwała się z radosnym okrzykiem i poskoczyła do Ocieskiej. Ta ją podniosła z ziemi, ucałowała i trzymając na rękach powitała resztę towarzystwa, podczas gdy Lili świergotała, despotycznie ją skubiąc za ramię..

— No i co się stało dalej z tym żukiem? Skończysz, chodź do nas — o tam — do tego stolika. Miss niech sobie idzie. Ty będziesz ze mną.

— Lili! wynoś się lub siedź cicho! — zawołała Ramszycowa.

Lili umilkła, położyła paluszek na ustach, uśmiechnęły się do siebie z porozumieniem i usiadły opodal pod lampą, u stołu z rysunkami. Angielka podała Ocieskiej zeszyt, gdzie były jej ilustracje do historii o awanturniczym żuku. Lili usadowiła się wygodnie na jej kolanach, wlepiła oczy w ołówkę i słuchała cudnej bajki.

Ramszycowa spojrzała w tę stronę i rzekła do Kazi z uśmiechem:

— Idź! Powiedz jej, że lubi dzieci, to się obrazi jak o największy afront.

Doktor Downar zbliżył się do Ocieskiej i spytał:

— Nie miała pani listu od Kazimierza?

— Owszem, wczoraj.

— Cóż u nas słyhać? — pytał zniżając głos.

— Bahnicki wisi na włosku. Marszałkowa umarła. Dowojna się żeni. U pana Floriana dzieci chore na szkarlatynę.

— Przez to i nie pisze — mruknął Downar, który gdy się nie pilnował, zawsze popełniał prowincjonalizmy. — Bahnickiemu pan Kazimierz zginąć nie da. Niechaj że i do mnie napisze, ile trzeba, ale do pani adresując. A kogo bierze Dowojna?

— Suliską.

— To i dobrze. Marszałkowej szkoda i zły, i dobry na nią się oglądał i rachował.

— No — i co żuk zrobił, jak go wróbel złapał? — dopominała się Lili.

Downar powrócił na swe poprzednie miejsce.

— Opowiadają, że profesor cudu dokonał operując Rudnickiego — rzekła Kazia.

— Ot, gadanie — odparł Downar. — Będzie cud, jak wyżyje.

— A co mu jest? — spytała Ramszycowa.

— Wczoraj się pojedykował i dostał postrzał w bok.

— Rudnicki, mąż tej pięknej pani Rudnickiej? — zawołała Ocieska. — Onegdaj była u mnie! Malowałam jej portret. Z kim się pojedykował?

— Z jakimś Ossorią, kolegą z biura u Goldmarka.

— A naprawdę, jeśli umrze, zabójcą będzie społeczeństwo — rzuciła gorąco Kazia.

Downar potakująco skinął głową.

— Rudnicki pracą i zdolnością wybił się nad tłum, z niskiego urzędnika został szefem biura Goldmarka, jego prawą ręką. Nikt mu nic zarzucić nie może, ale przecie nie wolno uznać cnoty i zasługi, pochwalić, zostawić chociażby w spokoju. Ponieważ jego opinii nie sposób było zbrudzić, zbrudzono opinię jego żony, bo przecie nie ma i być nie może kobiety uczciwej, a już piękna kobieta musi być bez czci.

— A to jest łgarstwo — rzekł Downar, bo Rudniccy się kochają i jak najlepiej żyją.

— Ale to nie przeszkadza, że dla Warszawy Rudnicka ma romans z Goldmarkiem, a mąż temu zawdzięcza karierę.

— Z Goldmarkiem — uśmiechnął się Downar. — Toć on ma tabes i ledwie żyje. Ech! — I ręką machnął pogardliwie.

— Ossoria to paniczek, którego przez protekcję wpakowano do biura. Nic nie chciał robić, wreszcie prawie nie przychodził, tylko po pensję. Rudnicki dał mu dymisję, ten mu odpowiedział obelgą na żonę i teraz go może zabił dla dokończenia honorowego rachunku.

— A choćby żył, co lepszego — ruszyła ramionami Ramszycowa i sięgnęła po notatnik na biurku. Gdzie oni mieszkają? — spytała.

Kazia powiedziała adres.

— On leży u mnie w klinice. Tam niech pani przyjdzie — dodał Downar.

— Skąd pan wie, że mam być?

— Bo to do pani podobne. Sokolski, milczący dotąd, odezwał się.

— Jak to dobrze, że nie mam żony ni przyjaciół.

— Dlaczego? Że pana ludzie nie obmówią? — zaśmiała się Ocieska. — Za pozwoleniem, cała Warszawa wie, że pan wcale ani w Kongo, ani pod biegunem nie był, tylko trzy lata siedział w Wiedniu, wertował podręcznicze księgi i tam czerpał materiał do swych opisów i odczytów.

Sokolski otworzył szeroko oczy.

— Ja? W Wiedniu? — wyjąkał zdumiony.

Wszyscy parsknęli śmiechem z jego miny i Ramszycowa dodała:

— Dość o ludziach. Lili — marsz spać! Doktor spoglądał żałośnie na fortepian.

— Zaśpiewa nam pani Sanicka, potem ja zagram, żebyśmy zgrzytu zapomnieli.

Lili spojrzała żałośnie na rysunki, ale usłuchała bez protestu. Zniknęła z Angielką.

Kazia, nie dając się prosić, usiadła przy fortepianie, zaśpiewała parę pieśni Moniuszki. Głos miała czysty i silny, mało uczony, ale słuchacze nie myśleli o krytyce, cieszyli się melodią w milczącym skupieniu.

Gdy skończyła, Ramszycowa podziękowała jej uśmiechem. Downar tak był zamyślony, że nawet się nie poruszył, Ocieska rzuciła mruczając: „Tam byłby raj, tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była”. Sokolski miał minę wniebowziętą.

W tej chwili gdy Kazia jeszcze przegrywała melodię, lokaj otworzył drzwi i zaanonsował:

— Pan Andrzej Sanicki!

Ramszycowa podniosła głowę zdziwiona:

— Proś! — rzuciła wstając.

Fortepian umilkł w pół akordu.

Andrzej wszedł, powitał wszystkich i rzekł do żony: — Przyjechałem po ciebie.

— Ojciec zachorował? — spytał błędnie.

— Zdrow. Nic strasznego, głupia historia!

Skrzywił się. Chwilę rozmawiał potocznie, wreszcie wstał i rzekł do Ramszycowej:

— Pani daruje, że tak wpadł i żonę porygam. Cudzy kłopot gorszy czasem od własnego.

— Zapewne dlatego, że pan pierwszy raz w życiu tego doświadczasz — rzekła złośliwie.

— I oby ostatni — odparł. Zaledwie wsiedli do powozu — rzekł:

— Małżeństwo Markhama zerwane.

— Taak? — Mało ją to obeszło. — Spodziewałam się.

— Skąd? To ta przekłęta Dębska naplotkowała. Teraz co robić? Markham siedzi u nas i desperuje. Ojciec mnie po ciebie posłał. Co tu na to poradzić?

Pierwszy raz zwracał się do niej po radę. Ruszyła ramionami.

— Ja się w ogóle dziwię, jak w tym steku plotek może się bodaj jedno małżeństwo skojarzyć.

— Czego te baby chcą od Markhama? Chłopak porządny, bogaty, solidny. Dwa karnawały odtańczył, dwa sezony odrautował. Zasypana była kwiatami i cukrami, służył jak Murzyn, dziesięć tysięcy rubli wpakował w konkury i urządzenie domu, a w przeddzień ślubu stara pisze, że dziecka nie ma na sprzedaż, że wobec uwłaczających wieści musi zobowiązanie uważać za zerwane i odsyła pierścionek. Trzeba być starą histeryczką, żeby podobną rzecz zmalować. A ten osioł Markham, zamiast plunąć i losowi podziękować, desperuje jak student. Jak się zaręczał, nie był zajęty, raptem zakochał się. Idiota!

— Ale z tą aktorką nie zerwał! — rzekła Kazia spokojnie.

— Zapewne zerwał, a zresztą co im do tego? Panna nie powinna o tym wiedzieć ani nawet rozumieć. Jeśli o to się małżeństwo rozejdzie, nie on, lecz ona się skompromituje.

— A jeśli ona go kocha i będzie wołała tę kompromitację jak taki podział uczucia i upokorzenia?

— Ech, zwracanie głowy tą miłością! Ona chce wyjść za męża, zrobić partię...

— A on chce dostać pięćdziesiąt tysięcy na fabrykę. Dla takiej sumy można choć na czas jaki nie mieć aktorki na utrzymaniu. Nie żenować się wolno tylko żony bez posagu. Tysiące chcą względów i stawiają warunki.

Spojrzał na mą.

— Dowodzenie kobiecie kończy się zawsze ukrytym ja!

— Nie moje. Dziękuję Bogu, że pan dla mnie nie ma względów. Jak się nie kocha, to szczęście. Wracając do Markhama, służę pośrednictwem; pojedę do Dębskich i zbadam kwestię.

Powóz stanął. Prezes spotkał ich w przedpokoju i odetchnął:

— To chryja dopiero! Markham siedzi nad listem i pierścionkiem i ma minę samobójcy.

Kazia weszła do salonu. „Samobójca” zerwał się na jej widok i podał w milczeniu list.

Przeczytała, pokręciła głową i — rzekła:

— Bardzo panu chodzi o pojednanie?

— No jakże! — wybuchnął. — Ślub zamówiony, ogłoszenia rozesłane, goście się zejdą. Pół Warszawy będzie. Trzeba nie mieć sumienia, żeby kogoś na taką śmieszność narazić!

— Aha! — uśmiechnęła się ironicznie. — I piramidy obstalowane! No wobec tego jadę do Dębskich.

— Wiesz co, jedź i ty z nią — rzekł prezes do Markhama, rad się pozbyć „samobójcy” z domu. Zaczekasz w karecie. Jeśli jej się misja uda, to cię zawoła, a nie, no to...

— *Va te pendre ailleurs!* — szepnęła mu w ucho złośliwie Kazia. Ucałowała starego i wyszła.

Gdy zostali sami z synem, prezes rzekł:

— Ona te baby przyprowadzi do opamiętania. Co? Może myśmy nie lepiej się urządzili? Cicho, prędko, spokojnie. I szczerze złoto dostaliśmy. Andrzej milczał.

— Maluczko, a będą nam zazdrościć. Kobięcina z każdym dniem pięknieje, nabiera szyku i taktu.

— I złego języka — mruknął Andrzej.

— To dobrze. Nie da się. Bałem się, że będzie za pokorna i nieśmiała.

— Nie ma obawy. Kąsać potrafi.

— To dobrze. Niech jej nie zaczepiają.

— I owszem. Ale i mnie może zbraknąć cierpliwości słuchania impertynencji.

— Tobie? A to ci tylko wstyd, że nie masz nic lepszego. Nie znajdziesz takiego, co by tobie współczuł.

— Ja też współczucia nie pragnę, ale spokoju.

— Spokoju ci jeszcze brakuje? Pokaż mi dom w Warszawie, gdzie by był taki ład i spokój jak u nas!

Andrzej coś zamruczał i wyszedł do swego gabinetu. Wrócił po chwili i począł odczytywać całodzienną korespondencję. Prezes wziął się do gazet, ale co chwila na zegar spoglądał.

Nareszcie o dziesiątej rozległ się dzwonek.

— No i cóż? — zawołał niecierpliwie.

— Piramidy się nie zmarnują, gapie mogą iść do Wizytek! Co to — panowie jeszcze nie pili herbaty! Józefie, dlaczegoście nie podali?

— Ja kazałem czekać na ciebie, córuś! Opowiadaj, jak się to odbyło. Coś tak zdyszana?

— Biegłam tak, żeby się schronić od plotek i gawęd. Brr! Tom użyła! Wpadłam jak między podkurzone osy.

Weszła do jadalni i krzątając się około herbaty opowiadała:

— Więc — mech no przypomnę, bo tyle tego! Więc mówią, że Dębska nazwała Markhamów Żydami; mówią, że Markhamowa powiedziała, że łaskę robią, przyjmując jakąś tam pannę Zaleską do rodziny; mówią, że Markham powiedział, że się żeni, bo go złapano; mówią, że stara Zaleska miała romans z ogrodnikiem: mówią, że posag pójdzie na długie kawalerskie Markhama; mówią, że Emilka ma gors fałszywy — za to ostatnie najtrudniej mi ją było przebłagać i wyperswadować. Ale kto mówi, kto słyszał od samej Markhamowej, od Markhama, tego naturalnie nie ma.

— A, to coś mnie wspominała, że mówią? — spytał Andrzej, o tym pewnie nie było wzmianki.

— Owszem, ale to pozostało do załatwienia samym interesowanym. Emilka płacze, Markham przysięga, tak ich zostawiłam. Reszta rodziny wyczerpana gadaniem spoczęła na laurach.

Usiadła na swym miejscu naprzeciw Andrzeja, spojrzała na niego, zawahała się chwilę i wreszcie rzekła:

— Wracalam z bezmierną przyjemnością do domu. Wdzięczna, że nie byłam oszukana tu ani okłamana. Jak się i tamto widzi i słyszy, ma się cześć dla prawdy, jaka by ona była.

Andrzej poczerwieniał. Doczekał się przecie complimentsu, pomyślał prezes, ale go łyka z niesmakiem.

— No, córuś! — rzekł głośno. — Szykuj się tedy na ślub i wesele, któreś doprowadziła do skutku.

— Ale, prawda, mają być tańce — zawołała. — Trzeba będzie trzy razy zmieniać toalety, a że Tuni jeszcze dwie nie—gotowe, popłoch tam straszny.

— Wyobrażam sobie — zaśmiał się Andrzej. — Ręczę, że Dębski drapnął aż pod Radom!

— A twoje suknie gotowe? — spytał prezes.

— Już od tygodnia.

— A rachunek? Kazałaś mi przysłać?

— Już zapłaciłam. Miałam oszczędności.

— Osobliwość. Za biletami będę cię pokazywać. Miewasz oszczędności, płacisz sama krawcową. Ale, ale, co mi dziś gadał rządca. Rewolucję robisz w kamienicy. Kazałaś zdjąć kartę na mieszkanie Kostyńskiego, osiedliłaś tam jakąś jejmość nad dziećmi.

— Już i rządca robi plotki. Kostyński jeszcze żyje, za mieszkanie zapłacił, dla dzieci sprowadził opiekunkę. Ja w tym nie figuruję.

— No, no! Już ja wiem, że jak się słuch o tym rozejdzie, na przyszły kwartał wszystkie sutereny, strychy i oficyny spadną na twą głowę i kieszeń! Zobaczymy prędko dno tych oszczędności.

— Tatusz myśli, że ja nie wiem, kto zajmuje sutereny i strych? O, doskonale wszystkich znam, lepiej jak rządca, stróż i cyrkuł. Wiem, kto może płacić a kto nie.

— Skąd ty bierzesz czas na to wszystko?

— Ja? A cóż ja właściwie robię? Nawet już na swój chleb przestałam zarabiać jak w Gurowie. Bawię się. Jutro wesele, pojutrze opera, w sobotę, raut.

— Ładne masz suknie?

— Może tatusz chce obejrzeć? Ale bilety płatne.

— Grubo?

— Słowo tatusia do rządcy, żeby nie sprzedawano maszyny tej szwaczce. Po pierwszym zapłaci.

— Hm! Po pierwszym, jak ty weźmiesz trzysta rubli. Rozumiem! No, pokaż suknie.

Położył rękę na jej włosach i pocałował w czoło. Wtem Andrzej się odezwał.

— Wiele potrzeba tej szwaczce?

— Siedemnaście rubli.

— To ja je płacę.

— Chcesz także stroje obejrzeć? — zaśmiał się prezes.

— No pewnie. Będziemy przecie razem występować. Jeśli są brzydkie i niegustowne...

— Toś się za późno obejrzał. Trzeba było być przy obstalunku — rzekł ojciec.

— Trudno zrobić coś, o czym się nie wie.

— Trudno też wiedzieć, o czym się nie myśli — mruknął prezes idąc za Kazia na schody.

Otworzyła szafę i dobyte stroje. Obejrzeni i prezes rzekł:

— Za skromne. Widać, że z oszczędności kuchennych.

— Ujdą — zdecydował Andrzej, ale odtąd masz otwarty kredyt u Hersego. Nie chcę więcej tandety podszewkowej.

Nic nie odrzekła. Złożyła na powrót suknie.

— No, a teraz, cóż ja mam płacić? — spytał prezes wesoło. — On mnie wyręczył.

— To bardzo źle, bo ja miałam inny zamiar.

— Co takiego?

— Mam biedaka bez zajęcia. Ślepy na jedno oko, był dwa miesiące w szpitalu. Może by znalazł zajęcie w fabryce.

— Z żoną i sześciorgiem małych dzieci!

— Nie — tylko troje.

— Tylko — uśmiechnął się. — Niech się zgłosi — Wezmę go!

Spojrzała na niego pocziwie, wdzięcznie i zrobiło mu to przyjemność.

— Tak, ale to wszystko ja, a ojciec co? — zagadnął.

— Czekam.

— Ojciec doda stróżowi dwa ruble miesięcznie, bo mu się onegdaj urodziło siódme dziecko.

— Cóż ja temu jestem winien? — oburzył się komicznie prezes. — No, stało się, dam, ale mu zapowiedz, że za ósme itd. będę zmniejszał po rublu. No, i patrzcie, jak ta kobieta umie robić interesy. Z jednej maszyny naciągnęła trzy! Zmykam!

Pocałował ją serdecznie i wyszedł.

Andrzej chwilę pozostał, wreszcie rzekł krótkie „dobranoc” i Kazia została sama.

Włożyła na powrót stroje do szafy, popatrzyła na nie z niesmakiem, namyśliła się. Wydobyła z głębi tekturowe spore pudełko, postawiła na stole i obejrzawszy się, że drzwi zamknięte, otworzyła. Uderzył ją zapach ziół suchych, zapach skoszonych łąk, zżętych zbóż. W pudełku olbrzymi pęk kłosów i polnych kwiatów, a na tej pościeli leżał złożony starannie jej roboczy strój gurowski, błękitna płócienna bluza, skórzany pasek, prosty słomiany kapelusz. Popatrzała długą chwilę na „stroje”, potem przyłożyła twarz do kwiatów, wciągając chciwie w nozdrza ich zapach i tak pozostała myślą bardzo daleko i od wesela Markhama, i od kredytu u Hersego, i nawet od swych dobroczyńnych zajęć.

VI

Pewnego dnia, w późnej jesieni, Andrzej wracał o zmroku z Grodziska, gdzie w fabryce spędził cały tydzień. Może widok młodej pary małżonków nastroił go sentymentalnie, ale wracał, marząc o pani Celinie, i wprost z dworca do niej zajechał.

Zastał ją w buduarze samą; nie wstała z fotelu, leniwie podała mu rękę.

— Cóż to — niełaska? — spytał z uśmiechem.

— Chociażby, nie udawaj, że cię to obchodzi — odparła, cofając rękę od pocałunków.

— O widzę, że moja pani się dąsa. Za co? Com zawinił?

— Nic, nudzę się. Wyjeżdżam do słońca. Humor mam jak to niebo tutejsze. Po com tak długo siedziała, nie rozumiem. Nie było dla kogo ani dla czego.

Spojrzał na nią urażony, zmrożony tym przyjęciem, tak różnym od spodziewanego. Czuł, że będzie „scena”, której nienawidził.

— Czy się coś w twym życiu zmieniło? — spytał z wymówką.

— Pytasz? A cóż z dawnego pozostało?

— No! — Chociażby ja! — odparł, starając się nadać rozmowie ton żartobliwy. — Czy ja już nie wystarczam?

— Ty? alboż ty jesteś dla mnie! *Non, mon cher!* Straciłam cię od lata. No i nic dziwnego: młoda żona, obowiązki światowe i rodzinne względy, zresztą *le foyer, l'alcove conjugale*, to absorbuje. Mężczyźni stworzeni są na pasterzy i hodowców gęsi. Gdy jedną posiadają na własność, marzą o stadku. Andrzej brwi zmarszczył.

— Może być — nie wiem. Gęsi nie mam i nie pasę — odparł.

— *Tiens!* Już się obrażasz za żonę. Już mi jej tknąć nie wolno — zaśmiała się szyderczo.

— Nie wiem, dlaczego o niej mówić mamy. Jest to przedmiot dla obojga nas niemiły.

— A o czymże mówić? Wszystko na tym się skończy. Od lata stosunek nasz zeszedł na nic. Nie bywamy razem w teatrze, nie wychodzimy, nie pokazujemy się ze sobą, rzadko kiedy widuję cię w piątce. Nie wypada, nie wypada!

Musiałam tamtej ustąpić we wszystkim, wszędzie.

— Tylko nie w moim sercu.

— Phi! mała pociecha, gdy duma cierpi.

— Zapominasz, że ci wielokrotnie ofiarowywał swe nazwisko. Nie chciałaś być żoną.

— Nie. Zanadto wielbię i znam miłość, *pour prendre mali*. Zresztą zanadto ciebie wtedy kochałam. Wzdrygałam się na samą myśl, by nasze uczucie miało za akompaniament kuchnię, jadalnię, komeraże kumoszek i sypialnie uświęcone kościelnym kadzidłem. Nie, nie, tej profanacji swemu bóstwu nie uczynię.

On w tej tyradzie zauważył jedno tylko zdanie i powtórzył:

— Wtedy mnie kochałaś. Mówisz, jak o przeszłości.

— *Mon Dieu*, tak się wyraziłam. Łapiesz za słowa jak na śledztwie. Zresztą, uderz się w piersi, czyś ty mnie także nie kochał bardziej jak teraz? Pięć lat, to bajecznie długi okres dla miłości.

— Moja pozostała bez zmiany.

Cień jakby niesmaku i zniecierpliwienia przemknął po twarzy kobiety.

— Zdaje ci się. Ja widzę ogromną różnicę i czuję, że coraz bardziej staję się przeszłością. *Enfin*, trzeba umieć umrzeć z godnością, ustąpić nowej gwiazdzie.

— Celu — dlaczego to mówisz, nie wierzysz, nie możesz wierzyć! Chyba — zająknął się — chyba sama przestałaś kochać?

— Nie — odparła — ale obserwuję, słyszę, widzę. Widziałam cię z tą w teatrze. Jakżeś był uprzejmy, nadskakując, uśmiechnięty! Na mnie nie raczyłeś spojrzeć; kompromitacją jestem. Widziałam was oboje wchodzących do Hersego, wiem, żeś jej tam otworzył kredyt

nieograniczony, czuję, że dla niej opuszczasz piątki, dla niej wracasz wcześniej do domu. Spojrzałeś na mnie jak na wariatkę, gdym ci kiedyś żartem, na próbę, zaproponowała małą wycieczkę, parę tygodni, sam na sam na południe. Wszystko wiem, czuję; muszę ustąpić, ale wiem i to, że będziesz bardzo ukarany.

Roześmiała się nerwowo.

— Twoja geś ciebie zdradzi, może już zdradziła. Ja będę przez nią nieszczęśliwa, ale ty będziesz przez nią pośmiewiskiem.

Krew uderzyła do twarzy Andrzeja. Powstał.

— Przestań, proszę. Na mnie wolno ci mówić wszystko, ale nie tykaj czci mojej żony.

— Twojej żony? — zaśmiała się. — Co za majestat! Żona! Jacy wy jesteście z jednej strony przejęci swą potęgą, a z drugiej głupi! Co jest żona? Według was to glina, którą kupujecie na targu, urabiacie wedle swej woli, dajecie jej swoją myśl i duszę, aby się stała waszą rzeczą, echem, częścią domu! Przysięgła, a zatem dotrzyma, to nie ulega wątpliwości. Jesteście tego tak pewni i tak pewni, że sobą, swym nazwiskiem i stanowiskiem czynicie jej taki honor i zaszczyt, taka rozkosz jest być waszą gospodynią i niewolnicą, że nawet nie spytacie, czy ona myśli, czy ona czuje, czy jej wystarcza to szczęście. Uraczywszy ją waszym szaleń, złymi humorami, utrzymując ją z waszej kieszeni, ani się zatroszczycie o więcej. Musi być szczęśliwa i cnotliwa, bo jest waszą żoną! Zresztą strzeże jej dla was prawo, zwyczaj, konwenanse, opinia! Jesteście spokojni. Po odbyciu miodowych miesięcy wracacie do swych kawalerskich nawyków. Macie swój zawód i pracę, swoje stosunki i towarzystwo kolegów, klub, knajpę, ano i kochanki. Otóż, mój drogi, wierzę w feniksy, chimery i świętego Graala, ale widzę i czuję, i wiem, że każdy człowiek ma krew, zmysły, fantazję, oczy, uszy i marzenie, i mózg. Każdy — mężczyzna i kobieta. Ty będziesz kochać, szaleć jeszcze wiele razy, twoja żona uchowa swą cześć, nie opuści twego domu, będzie ci gospodynią i kucharką, ale serce jej możesz stracić i stracisz, choć o tym nie będziesz wiedział ani tego odczujesz nawet, zasklepiony w swym egoizmie. Dlatego ja twoją żoną być nie chciałam.

— Żeby móc mnie rzucić, gdy kochać przestaniesz.

— Chociażby — odpowiedziała zuchwale.

— I czynisz to w tej chwili?

— Nie, gdyż jeszcze cierpię!

Wstała, zadzwoniła o światło. W tej chwili wpadła do buduaru Bella, trzepiąc od progu.

— Wiecie, skąd powracam? Z pracowni Radlicza. Widziałam ten jego Wrzos. Cudne! Zupełnie *à la Böcklin* historia. Stara sosna z ulem, pustka, wrzosowisko w kwiecie, blade jesienne niebo i boginka, pół kwiat wrzosu, pół kobieta, snująca z kądzieli białe pajęczyny. Śliczne, powiadam wam!

— A boginka portretowana? — spytała pani Celina ze śmiechem.

— A jakże! — odparła podobnie pani Bella — rzucając okiem w stronę Andrzeja.

Ale on ani słyszał rozmowy, ani wzroku nie widział. Siedział zamyślony, wzburzony poprzednią rozmową, zbuntowany i ponury. Szczebiot pani Belli denerwował go. Czuł, że sam na sam skończone, prowadzić potocznej rozmowy nie był w stanie. Wstał i pożegnał się sztywnie. Pani Celina go nie zatrzymywała.

Gdy wyszedł, pani Bella ukłoniła się z gestem ulicznika i zachichotała szyderczo.

— Pst — posłysz! — upominała pani Celina szeptem.

— *J'm'en liche!*

Andrzej poszedł do domu. Zmrok był chmurny, deszcz padał, wicher gwizdał; stylowy jesienny wieczór dostrojony do jego humoru. Otworzył zatrzask, wszedł. Lampa kopciła w przedpokoju, w domu panowała grobowa cisza. W jego gabinecie było ciemno, zadzwonił na lokaja i czekał długo, zanim się Józef zjawił, widocznie zaspany.

— Dlaczego nie ma światła tutaj? Wywietrzyć przedpokój.

Spojrzał na swe biuro; zarzucone było beładnie listami i gazetami.

- Co tu za nieporządek. Kurzu aż grubo! Jak ty sprzątasz! Czy pani nie ma?
- Nie, proszę pana. Jeszcze nie wróciła. Zawczoraj wyjechała.
- Wyjechała? A gdzie starszy pan?
- U siebie. Jest hrabia Kołocki.

Andrzej poszedł do gabinetu prezesa. Kołocki właśnie wychodził, spotkali się we drzwiach.

— A! jesteś! Witam. Zostałbym, ale się śpieszę na polowanie do Romana. Do widzenia. Ojciec ci powtórzy, z czym tu byłem. Wpadnę po odpowiedź. — Uścisnął mu dłoń i wyszedł.

- Gdzie Kazia? — spytał żywo Andrzej.
- Otrzymała depezę, że babka jakaś umiera i wzywa ją do siebie.
- Co za babka? Nie ma żadnej babki.

— Więc może ciotka. Powiedziała mi, że babcia Bogucka umiera, była okropnie zmartwiona. Odwiozłem ją na pierwszy pociąg i nudzę się bez niej już dwa dni. Ten Kołocki! Nie wiedziałem, co mu zrobić, wyrzucić za drzwi czy odesłać do Tworek.

— To żadna krewna ta Bogucka, to babka jej eks-narzeczonego! Po co ojciec jej pozwolił jechać? Do czego to podobne?

Prezes się zastanowił, wreszcie rzekł:

- Pierwszy raz słyszę o tym narzeczonem! Gdzież on, jest tam?
- Nie, jakiś student, który gdzieś przepadł bez wieści, u Jakutów.
- No, więc co? Staruszka umiera, chce ją widzieć. Co w tym niestosownego? Ojciec jej tam jest. Zresztą, cóż ona niewolnica, żebym jej miał pozwalać lub bronić? Żeby nie wypadła, sama by nie pojechała. A tyś kiedy wrócił?

— Dopiero co.

— Otóż posłuchaj, z czym przyszedł Kołocki. Ten Radlicz sportretował w jakimś obrazie Kazię i sprzedać nie chce.

— Co mnie do tego — mruknął Andrzej.

— Kołocki dowodzi, że tobie będzie musiał sprzedać, więc żebyś użył swego wpływu i ten obraz dla niego kupił.

— Że też rodzina go nie zamknie w jakimś zakładzie! — ruszył ramionami Andrzej i dodał czymś innym zajęty: — Kiedyż ma wrócić?

— Kto może określić. Po pogrzebie zapewne.

— Może ten wnuk, narzeczony, wrócił?

— Licho wie, co ci, po głowie chodzi. Ojciec jej telegrafował. Wiesz, że ja nie jadam w domu. Spróbowałem. Taki kram z kucharką i wszystko było podłe.

Andrzej chodził zamyślony po gabinecie, nie słuchał.

— Cóż tam w waszej fabryce? — zagał prezes.

— Wszystko dobrze. Zjechała się stara Zaleska, więc Markham nie tyle będzie w domu przesiadywać. Mogłem się uwolnić.

— To dobrze. Trzeba, żebyś był w domu jutro o drugiej. Wolska ma prezentować tego narzeczonego. No, chodźmy na obiad. Ten pusty dom stał mi się wstrętnym.

Ale Andrzej pożegnał ojca w bramie i poszedł szukać Radlicza; musiał się z nim widzieć.

Było to dość trudne przedsięwzięcie. Wstąpił do restauracji, potem do cukierni, gdzie Radlicz zwykle bywał, nie znalazł go, dalej nie wiedział, gdzie iść, gdy szczęściem, spotkał Józwickiego, redaktora, i ten go objaśnił, że Radlicz ma być z nim właśnie na jakimś koleżeńskim zebraniu, że poszedł do domu przebrać się.

Jakoż Radlicz był u siebie, ale się nie stroił, leżał na kanapie, patrzył w sufit i coś nucił.

Drzwi były tylko przyknięte, więc Andrzej wszedł bez pukania.

— Ledwie cię znalazł. Szukam w całym mieście. Mam do ciebie interes, prośbę, a przede wszystkim, czy mogę cię uważać za szczerego przyjaciela? — zagał po przywitaniu.

Radlicz patrzył na niego badawczo, potem zaśmiał się po swojemu cynicznie.

— Hm! Jak by to powiedzieć. Byłbym bardzo rad być twoim wrogiem, ale niestety, muszę być przyjacielem! O co chodzi?

— Powiedz mi, ty wiesz pewnie, co się dzieje z Celiną? Radlicz spodziewał się czegoś innego; chwilę się stropił.

— Z Celiną? — powtórzył. — Nie byłem tam od paru tygodni. Widziałem Bellę — mówiła, że wyjeżdżają do, Włoch.

— Wyjeżdżają? Kto?

— Ano Celina z Bellą.

— I nikt więcej.

— A któż by? Może ty?

— Józef — ty łiesz! Ty wiesz, że tam ktoś jest nowy. Ja to czuję od dawna, ona mnie zdradza. I za co! Com zawinił! Szaleję za nią, ubóstwiam.

— Wiele sobie kobieta z tego robi, czy kto szaleje i ubóstwia, jeśli sama nie kocha — mruknął Radlicz ponuro. — Co? Dała ci odprawę?

— Gorzej, bo czuję, że kłamie przez tchórzostwo czy litość! Czuję, że ją stracił. I za co?

— Za co? Za nic. Albo miłość bywa za coś lub ustaje dla czegoś? Jest to przyczyna bez skutku i skutek bez przyczyny. Nie mówię tego o was, ale jako teorię. Celina może tylko jest zazdrosna.

— Ona mnie już nie kocha — szepnął posepnie Andrzej. — Ona kocha innego. Żebym wiedział kogo!

— I co ci to pomoże? Choćbyś go zabił, nie wskrzesisz jej miłości, jeśli już umarła, a czy on się nazywa Jan czy Paweł, to obojętne. Daj na mszę, że ona pierwsza kochać przestała, to wprawdzie gorzej boli, ale mniej dokuczy jak rozkochana baba, gdy się o nią już nie dba.

— Józef — ty wiesz, kto to jest?

— Wiem, nazywa się Ali Baba. Przypadek, traf odkrył mu słowo zaklęcia do skarbów; a ty zamiast stać przed skałą i łamać głowę, jak się na powrót tam dostać, idź, szukaj innych i wierz mi, że lepiej być zdradzonym, jak przesyconym.

— Nie chcesz mi więc być przyjacielem!

— Owszem — i dlatego ci mówię. Jeśli się czujesz zdradzonym, nie upieraj się, nie bądź śmiesznym. Im więcej będziesz walczył o taką miłość, tym więcej wywalczysz rywalowi, a zdobędziesz zamiast obojętności nienawiść. Mówisz, że czujesz w niej fałsz! Czego chcesz, więcej fałszu?

— Kocham ją. Nie rozumiem życia bez niej. Pięć lat była mi wszystkim. To nie może się zerwać. Ja jej nie dam nikomu!

— Ty nie, ale ona siebie da, komu zechce. Słuchaj, Jędrak, nie bądź głupi. Jeśli czujesz, że cię zdradza, pluń i bierz inną.

— Ale pierwszej się zemścić!

— Za co? Żeś nie potrafił jej utrzymać?

— Nie zmieniłem się w niczym!

— No, to się ona zmieniała, to na jedno wychodzi. Chcesz się mścić, walczyć, zabić rywala? Możesz, ale to ci szczęścia nie wróci. To już skończone. Szczęście ci wróci inne serce i usta.

Andrzej wstał, nerwowo się przeszedł po pracowni, i stanął przed Radliczem.

— Więc stanowczo nie chcesz mi nic powiedzieć?

— Owszem, powiem ci, że jest śliczna pani Rudnicka. Onegdaj owdowiała.

— Bywaj zdrow, dowiem się i sam.

Gdy wyszedł, Radlicz wstał, wziął lampę, odłonił płótno z obrazu na sztalugach, długą chwilę nań patrzył, wreszcie odstał z westchnieniem:

— I taką mając żonę szaleć za starą awanturnicą! Ba, Brnie i owszem. Niech jej nikt nie kocha, nikt nie pożąda, nikt nie posiada!

Andrzej po bezsennej nocy, rozdrażniony okropnie, poszedł do pani Celiny. Zadzwoił, bo zapomniał wziąć ze sobą klucz od zatrasku.

Po dość długim oczekiwaniu otworzyła służąca.

— Pani już wstała? — rzekł wchodząc jak do siebie.

— Pani nie ma. Wyjechała dziś w nocy.

— Dokąd?

— Nie wiem. Z kuframi na kolej.

— Sama? — pytał nieswoim głosem.

— Z panią Bellą.

— Nie zostawiła do mnie listu? Nie kazała nic powiedzieć?

— Kazała mieszkanie sprzątnąć i odnieść klucze do pana. Właśnie sprzątam.

Służnie, za mieszkanie on płacił, meble kupował, zwracała mu wszystko, oprócz siebie. Służąca odeszła. Stał jak skamieniały, ogłuszony, z chaosem w głowie, z krwią pulsującą gwałtownie. Od jakiegoś czynu szalonego uratował go w tej chwili drobiazg: cichy, dyskretny szept służącej za drzwiami i chichot tłumionego śmiechu. To lokaj z pokojówką zabawiali się jego kosztem.

I oto wszystkie uczucia opanowało jedno: strach śmieszności, przeświadczenie, że w tej klęsce, która mu złamała serce, stanie się dla ludzi pastwą. Nikt mu nie współczuje, wszyscy wydrwią, a iluż będzie triumfować! Rozpaczać, cierpieć, mścić się, wszystko trzeba tymczasem stłumić, ukryć, przede wszystkim ratować próżność, przede wszystkim kłamać, ocalić chociażby pozory i formy.

Bardzo blady, ale spokojny wszedł do mieszkania, obszedł je, wydał parę dyspozycji, zawołał stróża, oddał mu apartament pod opiekę, rozliczył i opłacił służbę, i gdy wychodził stamtąd, był jak zwykle przytomny, tylko czuł, że musi się gdzieś skryć, być sam, by myśli zebrać i coś postanowić.

Machinalnie prawie wsiadł do dorożki i rzucił adres Radlicza. Tego jednego nie bał się spotkać i czuł w nim potrzebną dla się w tej chwili trzeźwość i życzliwość. Zastał go już ubranego i przy robocie.

Nie potrzebował mówić, malarz spojrział i gwizdnął jak ulicznik.

— Drapnęła! — rzekł.

Odłożył pędzel i paletę, dobył z kąta butelkę, nalał złotawego płynu w szklanę.

— Masz, pij i połóż się. Na nowiu drugiego miesiąca ani będziesz tego pamiętać! Tymczasem masz pełne gardło żółci i octu, pij wino!

Andrzej machinalnie usłuchał, potem usiadł na stołku, objął głowę rękami, wsparł łokcie na kolanach i milczał.

— Kobiety są stworzone na katów — rzekł wreszcie.

— Racja — kochać naprawdę umiejają tylko swoje dzieci, zresztą szaf i okrucieństwo.

— I fałsz! W tym są mistrzyni. Boże, jak ja ją ubóstwiałem, jak wierzyłem! Za to mnie zabiła!

Podniósł głowę, oczy jego pałały.

— I uciekła, nikczemna. Znajdę ja ich na końcu świata i porachujemy się.

— Szkoda prochu — mruknął Radlicz. — Tymczasem nie myśl o zemście, ale o sobie i ludzkich językach. To będzie uczta, to dopiero używanie.

— Żeby o tym nie myślał, już bym ich gonił. Zostałem, żeby się bronić od śmieszności. Jutro piątek, zebranie u niej. Co ludziom powiem? Jak wytłumaczę?

— Nic nie powiesz. Wyjedź na tydzień gdzie bądź za interesami: do Moskwy czy Odessy, jak najdalej. Ja powiem, żeście oboje wyjechali, każdemu powiem pod sekretem, żeby się prędko rozniosło. Wyjechaliście *incognito* z powodu twej żony. To im się okropnie podoba, połkną przynętę i będą przeżuwać skandalik. Jak wrócisz, będziesz bohaterem.

— Wątpię, bo dotychczas już pół Warszawy wie, z kim ona wyjechała.

— On nie pojechał, bądź pewny.

— Kto? On? — pochwylił Andrzej.

— Ano, ten jakiś Ali Baba. Pani Celina zanadto jest wytrawna, żeby się nie podrożyć. Zresztą mnie się zdaje, że najprozaiczniej pojechała do męża, który znowu podobno ma miliony. Mówiła mi Bella, że pisał do niej już parę razy.

Andrzej milczał. Coraz głębsza otchłań otwierała się przed nim. Od jak dawna był zdradzany, oszukiwany, otoczony intrygą i fałszem. Ból jego serdeczny coraz bardziej ginął pod uczuciem wstydu, upokorzenia, zranionej miłości własnej.

— Daj jeszcze wina — rzekł wstając.

Radlicz nalał szklanekę i uśmiechnął się. Spełniał przyjacielską przysługę, opiekował się Andrzejem, ale w głębi duszy miał własny interes i niepokój.

— Wiesz, kto będzie najbardziej z twej klęski się cieszyć i triumfować? — Ojciec i żona. Zostali panami położenia, odzyskali ciebie!

Andrzej skoczył, poczerwieniał.

— Oni mi zapłacą za dzień dzisiejszy. Czy myślisz, że to by się stało, żeby nie to przekłete małżeństwo?

— No, niezawodnie Celina była zazdrosna! — bąknął Radlicz.

— A ojciec obmyślił sprytnie plan, tylko się pomylił co do wyniku. Ta mnie zdradziła i porzuciła, ale oni się grubo myślą, jeśli triumfują. Jeśli mnie kiedy stracili na zawsze, to dzisiaj!

W klęsce poniesionej człowiek mniej cierpi, gdy znajdzie winowajcę. W tej chwili Andrzej najbardziej czuł upokorzenie.

Zdrada pani Celiny była logiczna. Znudził ją, miłość zgasła, przyszedł przesyt, żądza nowych wrażeń. Rzuciła go, przestał dla niej istnieć. Ale tego ścierpieć nie mogła jego próżność, tego nie chciała zrozumieć zarozumiałość i pycha. Więc szukał innej racji. Z całej wczorajszej rozmowy chciał pamiętać to, co ona udawała, by się zamaskować: zazdrość. Zazdrość kobiety nawet zdradę uniewinnia, a jakże pieści próżność. Zdradziła, bo nie chciała podziękować, kochała go, ale się zemściła za żonę.

Strata ukochanej, ból, zawód, wstyd, śmieszność, wszystko nań spadło z winy tej głupiej, cnotliwej świętoszki, z którą w jakimś obłędzie głupoty dał się skuć na życie, oplatany przez starego filuta, ojca!

Jej zawdzięcza klęskę! Tej gęsi, której dał wszystko, stanowisko, dobrobyt, a która jeszcze się ośmiela okazywać mu lekceważenie, jest tak bez ambicji i kobiecości, że rada jest i przechwala się, że jej mąż nie kocha, czym by się czuła upokorzona ostatnia.

Radlicz słuchał wybuchu i cieszył się. Nie był on zły, ale cierpiał. Od pierwszego spojrzenia Kazia mu się podobała, zajęła oczy, potem myśli, teraz był rozkochany w niej, stała się dlań treścią życia.

Nie był zły. Dałby dla niej życie, służyłby jej i dogadzał, znosiłby męki dla niej, ale się cieszył w tej chwili, że była zapoznana i pogardzona, obciążona niesłusznymi zarzutami, nie kochana i że jej żywot ciężki stanie się jeszcze cięższym.

Dałby krew wytoczyć dla jej szczęścia, a cieszył się jej nieszczęściem i krzywdą, bo czuł, że tylko w ten sposób zachowa ją wolną i może zdobędzie.

Żeby mu kto powiedział, że w tej chwili jest katom, obraziłby się śmiertelnie. On kochał! Siebie? Nie! Ten cudny „Wrzos” — swoje natchnienie.

Andrzej, wyrzuciwszy żółć w bezwzględnych, ostrych słowach, odzyskał równowagę, uspokoił się.

Tedy Radlicz rzekł:

— Znasz Barańską?

— Nie.

— To cię tam wprowadzę, jak wrócisz. Ciekawa facetka. Gdziez myślisz jechać?

— Mniejsza gdzie, tylko bym nierad do domu wracać, żeby ojca nie spotkać, a potrzebuję wziąć trochę rzeczy i pugilares z biurka.

— To ci załatwię, a ty się prześpij. Jeśli kogo spotkam, powiem, że ciebie już nie ma.

VII

Prezes na próżno wyglądał syna. O dwunastej wyszedł, a w czasie jego nieobecności Radlicz zabrał rzeczy i pugilares. Gdy prezes wrócił około drugiej, lokaj mu to doniósł. Stary Sanicki był wściekły na syna, stęskniony po Kazi, w najgorszym tedy humorze przyjął Wolskich, których i bez tego nie cierpiał.

Stara już w przedpokoju rozpytała lokaja i miała minę ogara na tropie grubego zwierza.

Małe jej, tonące w tłuszczu oczki świdrowały twarz gospodarza.

— Cóż to, słyszę, młodzi państwo się rozjechali — rzekła słodziutko po przywitaniu i przedstawieniu narzeczonego. Ale prezes już się pohamował.

— Wyprawiłem Kazię do chorej krewnej. Zapewne dziś, jutro wróci. Andrzej przed chwilą został wezwany do fabryki depeszą. Nowa maszyna jeszcze niezupełnie normalnie funkcjonuje, a Markham nie technik.

Zwrócił się do narzeczonego z jakimś banalnym pytaniem, zaczął żartobliwie pannę i rozmowa poszła gładko. Narzeczonego, typ podolskiego bałaguły, duży, tęgi, z byczym i karkiem i głosem, mówił o burakach i cukrze, o kontraktach 1 i jarmarkach. Prezes udawał, że go to bardzo interesuje, ale 1 w duchu myślał, że Wolska szpieguje i szpera i że ją trzeba ułagodzić sutym prezentem. Powtarzał w duchu: — Srebro, makaty, saski serwis czy Mankielewicz? Wreszcie, korzystając, że młoda para poszła oglądać jakiś obraz w drugim końcu salonu, spytał konfidencjonalnie:

— Darujcie szczerłość, ale rad bym ofiarować jaką pamiątkę Jadzi na nowe gospodarstwo. Wiesz najlepiej, co by jej zrobiło przyjemność?

— Ależ, cóż znowu! Każdy drobiazg będzie miłym. Nie krępuj się niczym. Pan Bukowiecki ma dom świetnie urządzonego, nic nie brak. No, nie idzie zatem, żebyśmy też dziecka nie zaopatrzyli we wszystko.

— Więc może srebro stołowe?

— Ach, to za wspaniałe. Cóż znowu!

— Załatwione! O srebro się już nie kłopotcie.

— Dzięki, dzięki stokrotne! Jadzia się tak ucieszy, ona, dziecko, marzyła o kolczykach.

— Marzyła? Będzie je mieć — uśmiechnął się prezes. Wolska promieniała.

— Mój drogi! Jakżem wdzięczna!

— Daj że pokój, nie ma o czym mówić. No, a jakież stan finansowy tego pana? Zasięgnęliście informacji?

— A jakże! Był przecie jego wuj i dowiadywaliśmy się przez znajomych. Bardzo porządna rodzina. Ma własny, rodowy majątek i duże dzierżawy.

— Ano, to chwala Bogu. Andrzej wziął też żonę bez posagu i trafił najszcześliwiej.

Wzmiankę o „żonie bez posagu” zatuszowała Wolska chrząknięciem, bo młodzi wrócili, ale prezes nie obstawał przy temacie, rozmowa stała się ogólna. Bukowiecki był oszołomiony Warszawą, przyszła teściowa już potrafiła go zawojować. Patrzył jej w oczy, gdy miał odpowiadać; poza cukrem i burakami nie umiał mówić.

Po chwili zaczęto się żegnać. Prezes najsolenniej za syna, synową i siebie obiecał obecność na weselu, zamieniono mnóstwo czułych słówek i wizyta była skończona.

Stary odetchnął. Stał u okna i zamyślił się.

— Dwa tysiące rubli — zamruczał. — Jeśli baba za to nie będzie milczeć, to dla drugiej dostanie figę. I gdzie się ten nicpoń Andrzej podział? Jak na złość to urządził. No, może babie gębę zatkać. Widzę, że tego draba łudzą jakimś posagiem. Ładnie się osioł ubierze.

„A tymczasem Wolska wróciła do domu, narzeczonego, zbywszy pańszczyzny, ulotnił się do hotelu, kobiety zaczęły sejmować.

— Jak to? Sam prezes? A Andrzejowie? — pytały córki.

— Ona niby u rodziny. On niby w Grodzisku — odpowiedziała, brwi wznosząc Jadzia.

— To podejrzane — zabrzmiał chór.

— Bardzo — rzekła stara. — A szczególnie dlaczego? Wiecie?

— No, no? Dlaczego? Zauważyła coś mama?

— Z miny starego nie. To filut! Ale z jego postępowania. Oho! Zanadto hojny!

— Jak to?

— Ano, Kostuni Dąbrowskiej dał raptem dwa dywany, Zosi Zwolińskiej pierścionek, a Jadzia, wiecie, co dostanie?

— Co? Co? — pytały pół ciekawie, pół zawistnie.

— Całe stołowe srebro i kolczyki.

Jadzia była czerwona z radości, tamte czerwone z zazdrości i żalu.

— Srebro i kolczyki! Mój Boże!

— To podejrzane! On się przymila do nas!

— Musi tam coś być, ale co?

— Dowiemy się — dopowiedział chór.

W trzy dni potem wiedziały i wiedziało pół Warszawy, że Andrzej porzucił żonę i pojechał z panią Celiną za granicę, w tydzień mówiono, że odesłał już przedtem żonę do rodziny, bo ją zastał u Radlicza na schadzce, gdy mu w pracowni pozowała w stroju — żadnym...

A tymczasem rzeczywiście na Marszałkowskiej prezes był wciąż sam. Od Kazi otrzymał list, że babka umarła, a macocha ciężko zasłała, w parę dni potem depeszą został wezwany do Gurowa doktor Downar i wieści się urwały.

Co prawda, mniej to gryzło prezesa jak nieobecność syna. Gdy się przekonał, że go nie ma w fabryce, parę dni udawał swobodę, ale gdy się dowiedział, że pani Celina wyjechała, i gdy Kołocki znowu go napadł o obraz Radlicza, stary postanowił rzecz wyjaśnić i posłał kartkę, prosząc malarza do siebie.

Radlicz stawiał się natychmiast. Prezes się nim opiekował w szkołach, był mu jak krewny; zresztą myślał, że ujrzy Kazię.

Ale dom wiał pustką i chłodem, stary był chmurny i stękający.

— Powiedz mi, mój drogi, czy to być może, żeby Andrzej za tą starą awanturnicą poleciał?

Radlicz wobec troski starego poczuł wyrzuty sumienia i niebywałe postanowienie mówienia prawdy.

— Co znowu! To ona od niego uciekła! Prezes nagle o dziesięć lat odmłodził. «

— Nie może być? Bajesz, byle mnie pocieszyć! Naprawdę go rzuciła? A on? Co?

— On desperuje. Chciał gonić i strzelać. Alem wyperswadował. Pojechał do Kijowa, żeby się otrzeźwić.

— I tydzień tam siedzi! To nie może być. Albo łiesz, albo sam prawdy nie znasz!

— Że baba drapnęła, wiem, że on desperował, wiem, że go wyprawił, by ludziom zeszedł z oczu, też wiem, a czy potem nie poleciał za nią, tego nie wiem.

Prezes znowu o dziesięć lat zestarzał.

— Co teraz czynić? Warszawa się trzęsie od plotek. Czy ten człowiek ma sumienie! On mnie do grobu wpędzi! Naturalnie, poleciał za nią, to jasne jak słońce. Szatan nie kobieta. Piekło ją porodziło na moje nieszczęście. A tu, na domiar złego, Kazia tam siedzi nad chorą macochą! Wszystkie pozory przeciw niemu.

Radlicz, który plotkę sam stworzył, milczał. Prezes począł chodzić po pokoju niespokojnie.

— Można oszaleć! Gdzież ta baba pojechała? Gdzie go szukać?

— Ona go nie chce. Żeby miał rozum, i mnie słuchał, toby jej nie gonił. Teraz wróci wściekły.

— Albo ją przejedna, pogodzą się i znowu ją tu sprowadzi.

— Wątpię! Zna pan prezes zdanie: *Auf das Gewesene gibt der Jude nichts*. To już przeszłość tylko.

W tej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju i zaraz głos, na który obadwa zerwali się.

— Kazia! Nareszcie! — zawołał prezes.

— A tuż i ona stała już w gabinecie, blada, mizerna, ze smutnym na licach uśmiechem.

Prezes z wybuchem radości począł ją ścisnąć i całować, wołając:

— Skądże? Jakim pociągiem? Boże, jak ty źle wyglądasz! Nigdy już cię więcej samej nie puszcze. Cóż tam słyhać? Jak macocha?

— Źle — odparła smutno, — Jest i ojciec, i doktor Downar pocziwy nam towarzyszył. Ulokowaliśmy ją u niego w lecznicy. Zapewne będzie potrzebna operacja, przy tym ma wadę serca. Bardzo źle.

Przywitała Radlicza, a o Andrzeja nawet nie spytała, pewna, że jest w Grodzisku.

— A gdzie twój ojciec? — spytał prezes. — A mała? Została w Gurowie?

— Została. Ojciec musi za parę dni wracać. Będzie dojeżdżał. Dla małej trzeba dziś jeszcze wyszukać dobrą bonę. A tu macocha chce, żebym jej nie odstępowała. A ja doprawdy takam zmęczona, że ledwo stoję. Tatusiu, proszę o klucze, muszę w domu przede wszystkim się rozejrzeć. Strasznie tu brudno i nieporządnie.

— Opamiętaj się, kobieto! — oburzył się prezes. — Spójrz, jak wyglądasz. Musisz odpocząć. Do macochy dziś nie pójdziesz. Po ojca twego zaraz idę.

— A ja bonę załatwię — ofiarował się Radlicz. — Zobaczysz pani, jak się na tym znam.

— Dziękuję panu. Nie bardzo ufam.

— Przekona się pani. Za godzinę przyślę tuzin do wyboru.

Pożegnał ich i wyszedł. Ona poczęła się krzątać po domu, a prezes za nią chodził uszczęśliwiony, że wróciła, rad chorobie macochy, śmierci babki, potłuczonym lampom, zasuszonym kwiatom, molom w dywanach, opieszałości służby, wszystkiemu, co przebyła i zastała, byle jak najpóźniej spostrzegła nieobecność męża i nie spytała, gdzie jest.

Po godzinie maszyna domowego życia poczęła działać prawidłowo, służba poczuła rygor i władzę.

Kazia się przebrała, gdy zaczęły napływać naganiane przez Radlicza bony. I temu był rad prezes, chociaż i drażniło go to, że Kazia snadź ani na chwilę nie pomyślała o mężu.

Nareszcie piątą kandydatkę wybrała i omówiwszy warunki i obowiązki odprawiła do jutra.

Wtedy prezes rzekł:

— Wiesz, że Andrzeja nie ma?

— Widzę. Nigdy go o tej porze nie ma.

— Ale go i potem nie będzie. Wyjechał za granicę.

— Tak? Na długo? — spytała obojętnie.

— Nie mógł określić dnia powrotu. Pojechał do Berlina w interesach fabryki.

Nie pytała więcej. Usiadła w fotelu, przymykając zmęczone bezsennością oczy.

— Trzeba iść — szepnęła.

— Dokąd? Krokiem cię nie puszcze. Macocha pastwiła się nad tobą, zameczała. Teraz niech sobie szuka opieki.

Otworzyła oczy.

— Była dla mnie złą, teraz jest „chora śmiertelnie. Będę jej służyć jak córka. A ojciec?

Wstała, wyprostowała się, siłą woli otrząsając zmęczenie.

— Pójdę, tatusiu. Przyjdziemy z ojcem na obiad.

— Czeka — utrapienie! To i ja pójdę z tobą.

Ubrał się, wyszli. Po drodze, gdy spotkali kilku znajomych, rzekł:

— Bo nie wiesz, co się stało. Gdyście tak oboje zniknęli z Warszawy, powstała plotka, żeście się rozeszli. Musimy się razem pokazywać.

Spojrzała uważnie na niego; zastanowiła się dopiero nad położeniem.

Tyle wrażeń innych miała w pamięci, tak się czuła jeszcze wśród trosk i wydarzeń gurowskich, że z pewnym trudem wracała do stosunków swego domowego pożycia.

— Gdy Andrzej wróci, pokażemy się razem w teatrze i będzie znowu o nas cicho.
— Żebyż on szybko wrócił — westchnął prezes.
— Ojciec wątpi? Może on wcale za interesami fabryki nie pojechał nawet?
— A jeżeli? — spytał prezes zgnębiony. Brwi Kazi zbiegły się na sekundę.
— W takim razie nic nie pomoże, jeśli mnie z ojcem nawet będą widywać. Nie uratujemy opinii, gdy on o nią nie dba.

— Kaziu, ty to mówisz tak obojętnie, jakby to nie o ciebie chodziło!

— A czyż to o mnie chodzi? Cały świat wie, dzięki jego taktowi, że jestem żoną opuszczoną, zdradzoną, tolerowaną zaledwie. W niczym nie zmodyfikował swych kawalerskich obyczajów. Robiłam, co mogłam, aby moje śmieszne i upokarzające położenie zamaskować, ale teraz nie widzę sposobu uratowania pozycji, gdy on, jak przypuszczam, wyjechał za granicę z kochanką. I zresztą nie widzę, co już więcej ludzie mogą na nas pleść jak dotychczas. Chciałabym tylko ukryć prawdę przed ojcem i myślę, że nawet lepiej, iż nas razem nie ‘zobaczy.

— Ale ty nie wiesz wszystkiego, co tu się porobiło! Ta baba go rzuciła i wyjechała.

Ruszyła z lekka ramionami.

— A on za nią pogonił?

— Skąd wiesz?

— Domyślam się.

— Tak. Ten osioł myśli, że ją odzyska!

— Życzę tego z całego serca, ‘

— Kaziu! To okropne, co mówisz. Więc ty nic, ani trochę nie dbasz o niego?

Zagryzła wargi, żeby nie rzec złego słowa, i odpowiedziała po chwili.

— Życzę, żeby z tamtą wrócił, bo jeśli ją straci, będzie się mścił na mnie. A doprawdy — dla ojca i dla was, tatusiu, i dla siebie samej, by nie łamać mej przysięgi małżeńskiej, nie chciałabym, o, za nic nie chciałabym go zniechęcić. A czuję, że gdy tamtą straci, już nie obojętną mu będę, ale nienawistną, i on mnie również.

— A ja mną widzę przyszłość. On stamtąd wróci sam i uzdrowiony. Przejrzy, opamięta się, wyzwoli spod opętania tej baby — i...

Prezes, upojony nadzieją, spojrział na nią z uśmiechem, ale twarz młodej kobiety miała taki wyraz zgrozy i chłodu, że się przeraził.

— Kaziu, zlituj się, ty mu przecie wybaczysz, darujesz, będziesz dobrą dla niego. Ty tego nie uczynisz!

— Czego? Odepchnąć męża, który raczy być łaskawym dla mnie? Cóż znowu! Alboż żonie to nawet wolno? Dajmy pokój tej kwestii, tatusiu. Nie ma o czym mówić. Będzie, jak on zechce.

Dojrzała troskę na jego twarzy, opamiętała się, przytuliła serdecznie do jego ramienia i rzekła głosem pełnym łez:

— Tatusiu! Proszę mieć dla mnie względy. Jestem strasznie zmęczona i zdenerwowana. Tydzień byłam nad konającą, tydzień z chorą macochą, straciłam moc i panowanie nad sobą. Muszę trochę wypocząć i opamiętać się. Doprawdy, jak się widzi chorobę i śmierć, nabiera się do życia pogardy i lekceważenia. Niech się tatuś nie troska i we mnie nie wątpi.

Ale prezes nie mógł odzyskać otuchy i dobrej nadziei, opadły go gromadą zgryzoty i troski.

Chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— A ten Kołocki z tym obrazem?

— O tym nic nie wiem. Co za obraz?

— Radlicza, na którym ty jesteś sportretowaną podobno. Muszę raz pójść na wystawę i zobaczyć, czy to prawda. Kołocki daje Radliczowi trzy tysiące, a ten sprzedać nie chce.

— Niech mu da pięć, ale co nam do tego targu?

— Licho wie, co plotą. Żeś pozowała Radliczowi. Jak Andrzej wróci, może być skandal.

Wzdrygnęła się ze wstrętem, spojrzała z bezmiernym obrzydzeniem po ludziach zapelniających ulicę, po tej czarnej fali śpieszącej, zda się, zajętej, zaabsorbowanej, zapracowanej, i rzekła:

— Niby mrowisko, a to tylko chmary żuków szukających nawozu — dla biesiady! Czyż oni, doprawdy, nie mają własnych uciech i trosk, zajęć i celu wyższego? Ohydne!

Wzdrygnęła się raz jeszcze. Weszli w bramę lecznicy, zatrzymała się u drzwi schodów.

— Tatusiu, polecam wam ojca — szepnęła smutno.

Szpanowski rozmawiał z doktorem Downarem w pokoju poprzedzającym sypialnię chorej. Został z nimi Sanicki. — Kazia, przeszła do macochy.

— A jesteś przecie. Myślałam, że już ciebie nie zobaczę — powitała ją grymaśnie chora.

— Zajrzałam na chwilę do domu i jestem na usługi. Jakże pani tu się czuje, bardzo droga zmęczyła? — odpowiedziała Kazia troskliwie.

— Pani, pani — zamruczała Szpanowska. — Jeśli nie z serca, to dla oka ludzkiego mogłabyś mnie matką nazywać! Aleś ty teraz wielka pani, ja na twojej łasce! Ach, Boże! Cóż doktor mówi, źle ze mną?

— Nic nie mówi, żeby źle było. Niech się matka nie trwoży. Pojutrze będzie konsylium, może po paru tygodniach wróci matka zdrowa do domu. Ja tu będę prawie ciągle. Bonę dla Zosi już mam, jutro ją wyprawię do Gurowa. Nie trzeba się niepokoić, wszystko dobrze będzie.

— Jakaż ta bona? Masz jej świadectwa? Niech do mnie przyjdzie. Muszę ją widzieć.

— Będzie tu wieczorem. Świadectwa przyniosłam.

— Biedna Zosieńka! Biedny anioleczek! Ach! mój Boże, za co mnie tak karzesz?

Zaczęła przeglądać świadectwa. Kazia krzątała się po pokoju; wszedł Szpanowski z Downarem.

— Ach, doktorze! Kiedy wy mnie stąd uwolnicie! Dziecko tam samo zostało! Ja nie mogę tu długo pozostać! Może by dziś konsylium! Niech wiem, co mnie czeka! Muszę wracać do domu.

— Dziś nawet ja pani nie będę egzaminował. Trzeba do jutra po podróży wypocząć. Pojutrze będzie nas trzech: kolega Morawski, Raps i ja. Wtedy zdecydujemy kurację. Ale niech szanowna pani nie liczy na tygodnie, ale na miesiące. Do tego przygotowuję z góry.

— Miesiące! Ja nie chcę! Mówiliście w Gurowie, że to potrwa może dziesięć dni. Dłużej nie zostaną.

— Mamy zatem dziesięć dni, więc dziś nie mamy o co się spierać. Przede wszystkim spokój. Zaraz tu przyjdzie siostra Klara, której panią polecę w opiekę, żeby się pani nie nudziło.

— Siostra Klara? Dozorczyńni? Kaziu, obiecałaś ty tu zostać.

— I zostanę, matko — spojrzała pytająco na Downara.

— Pani Sanicka zostanie, o ile będzie mogła — odparł spokojnie. — A siostra Klara będzie stale.

— Szpital! Śmierć! — jęknęła chora.

— Ależ, moja droga — wtrącił Szpanowski — będziemy bezustannie nad tobą czuwać. Nie irytuj się.

— Ale ty odjedziesz pojutrze, a ona wpadnie z łaski swojej na godzinę dziennie! Wywieźliście mnie tutaj, „żeby się pozbyć kłopotu! O, ja was rozumiem! Zarznięcie mnie prędzej!

— Kaziu! — rozległ się zza drzwi głos prezesa. Wyszła. — Słyszał wszystko, czerwony był z gniewu.

— Ja cię tu pięć minut więcej nie zostawię! Chodź!

— Nie, tatusiu! Zostanę do piątej, przyjdę na obiad. Proszę sobie iść i nie słuchać. Piętnaście lat byłam w takich warunkach w Gurowie.

— Byłaś, ale nie będziesz!

Odprowadziła go w najdalszy kąt pokoju i rzekła:

— Mówił ojciec z doktorem Downarem? Wie ojciec, że dla nie] nie ma wyzdrowienia. Chyba cud. Życ będzie może ledwie tygodnie, a ja może długie lata. Proszę mnie tu zostawić. Jej dogodzę, a sama przejdę bardzo dla mnie na przyszłe lata użyteczną szkołę cierpliwości i znoszenia spokojnie prześladowania.

Pocałowała go i pozostawiła zakłopotanego.

Zrozumiał, do czego czyniła aluzję, i pośpiesznie zamyślony poszedł do domu.

Po chwili wyszedł też z lecznicy doktor Downar i ruszył również ku domowi.

Wyjechał był przed czterema dniami i chociaż wrócił lano, dzień cały spędził na mieście, nie kwapiąc się do rodzinnego ogniska. I teraz się nie kwapił, myśląc w dalszym ciągu o jutrzejszych zajęciach, wizytach, interesach, których się zapas nagromadził przez ciąg jego nieobecności.

Szedł zamyślony, nareszcie się obejrzał i spostrzegł, że zamiast na Marszałkowskiej był na Smolnej.

Zamruczał coś, stanął, i skręcił w bramę. Stróż mu się uklonił.

— Stara jest na górze? — spytał.

— Jest, proszę pana, ale tu onegdaj jakaś pani pytała o pana.

— No i co?

— Ano nic — powiedziałem, że pan tu nie mieszka, ale bywa, i poszła sobie.

— Jakaż to pani?

— Taka chuda, z dużym nosem.

— W czarnej rotundzie?

— Tak, tak!

Downar nic więcej nie rzekł, wszedł na wschody.

— Wściekła się czy co? — zamruczał do siebie, otwierając kluczem zatrzask w drzwiach na pierwszym piętrze. Wszedł do ciemnego przedpokoju, zatrzaskał drzwi. Po kwadransie wyszedł z powrotem na ulicę, zawołał na dorożkę i kazał się wieźć do domu. Miał minę jeszcze bardziej zamyśloną jak przedtem.

Zadzwoił i rzekł do lokaja:

— Światło do gabinetu.

Rozebrał się powoli, nasłuchując ostry, krzykliwy głos kobiecy, rozlegający się w głębi mieszkania, w sporze z ku—l charka widocznie.

Wszedł do swego gabinetu, gdzie tymczasem lokaj zapalił lampę, i usiadł do biura, na którym piętrzył się stos listów zaległych z czterech dni. Zaledwie odczytał pierwszy, krzykliwy głos zbliżył się do drzwi, bezustannie burcząc na służbę, i do pokoju weszła kapłanka domowego ogniska.

— Cóż to, nie raczysz się ze mną nawet przywitać — zaskrzeczała od progu.

— Dobry wieczór — rzekł flegmatycznie Downar. — Słyszałem, że masz jakąś scenę z Franciszką, nie chciałem przerywać. Mam, jak widzisz, masę zaległej roboty

— Kiedyś wrócił? — spytała tonem sędziego śledczego.

— Dziś.

— Cztery dni byłeś tam. Dali ci tysiąc rubli?

— Przywieźliśmy chorą do lecznicy.

— To inny interes, ale za cztery dni ileś dostał?

— Nic — mruknął, biorąc się do odpowiedzi na list.

— Jak to nic? Kłamiesz.

Ruszył tylko ramionami i pisał.

— Ja się dowiem. Wszystkiego się dowiem, jak już wiele wiem. A tu tymczasem straciłeś lekko kilkaset rubli. Goldmark miał atak, trzy razy byli od hrabiny Pelagii.

— Ano, trudno, nie mogę być tu i tam jednocześnie.

— A powiedz mi, co to za figury?

— Kto?

— Ano, jakiś twój rodak spod Smorgoń, co tu wlaź wczoraj w kaloszach do salonu i zostawił tę kartkę.

Rzuciła mu na biurko bilet wizytowy; Florian Sopoćko, a pod tym kilka słów ołówkiem.

Downar spojrział, przeczytał i schował bilet do kieszeni.

— No i czego ta dzicz chce? — spytała pani. — Pewnie wsparcia.

— Sopoćko? To milioner.

— Mógłby za swe miliony być bardziej do ludzi podobny. No — ale to prawda — Sopoćko! Żeby Litwin stał się do ludzi podobny, straciłby w swych oczach całą wartość.

Downar milczał. Twarz jego nie zdradzała żadnego wrażenia, tylko sztywniała, kamieniała, zda się. Stojąca za nim kobieta nie badała zresztą wrażenia, jakie sprawia, była zajęta sobą.

— Była też Boufałowa dzisiaj, ale że koniecznie chciała się z tobą widzieć, udałam, że nie wiem, po co przyszła.

— Było dać trzydzieści rubli. Wiesz przecie, że się im miesięcznie należą.

— Po pierwsze: nie należą się, ale z łaski dostają. Po drugie: trochę mi za wiele tych twoich ubogich krewnych zagląda do kieszeni. Zresztą mogła mnie poprosić. Fanaberia!

Dzwonek w przedpokoju. Pani wyjrzała.

— Od doktora Morawskiego bardzo pilne — rzekł zdyszany głos.

Downar wziął z rąk żony kartę.

— To o Goldmarku — szepnęła, zaglądając mu przez ramię ciekawie.

Wtem na schodach, potem w przedpokoju rozległy się kroki, szlochanie dziecka, potem głos służącego.

— Czego tu, mała? Wynoś się!

— Do pana doktora przysłała mamusia. Tatuś się zarznął w fabryce, jużci kona. Olaboga! Mamusia leży. Wczoraj siostrzyczka się urodziła. O Jezu! Mamusia z łóżka się zwlekła i nie może wstać, tatko we krwi. O Jezu! Żeby pan doktor zaraz przyszedł!

Zaczęła mówić w przedpokoju, skończyła za drzwiami, bo ją lokaj usunął. Downar wyszedł z gabinetu, spojrział na wygalowanego lokaja Goldmarka, wziął palto i kapelusz.

— Idę — rzekł krótko.

— Spiesz się, spiesz! Możesz nie zastać! — mówiła żywo żona.

— I pewnie, że nie zastanę — odparł.

Wrócił do gabinetu, wziął z szafy gruby pugilares z narzędziami. Śledziła go.

— Po co pociągasz za sobą ten cały kram? Tam nie będzie operacji żadnej. Spiesz się! Czy cię czekać z obiadem?

— Nie czekaj. Albo jak chcesz — odparł wychodząc.

Lokaj Goldmarka szedł za nim, na schodach skulona siedziała dziewczynka, otulona starym szalem, zerwała się na skrzyp drzwi i rzuciła się do jego rąk.

— Cicho, chodź ze mną — rzekł szeptem. Gdy byli już w bramie, zwrócił się do lokaja:

— Powiedz doktorowi Morawskiemu, że będę za godzinę.

Wyszedł na ulicę, skinął na dorożkę.

— Siadaj, mała, i prowadź.

Dorożka potoczyła się na Solec.

W trzy godziny potem Downar wrócił. Żona przyszła zaraz do gabinetu i zastała go, jak mył ręce.

— Gdzieś ty mógł tak obelić surdut? — zdziwiła się. Cóż, żyje?

— Kto?

— Któż by? Goldmark?

— Jużem go nie zastał.

— Boś po swojemu się zbierał. Naturalnie, nic ci nie dali. Ile ty tysięcy tracisz przez swą obrzydliwą litewską powolność! Nigdy niczego się nie dorobisz. Takie szczęście mając, inny milion by zebrał, a my, co mamy?

— Na jeden obiad mamy, a dwóch nie zjemy — odparł spokojnie. — Goldmarka nie było sposobu uratować. Po co się było spieszyć do trupa.

— Logika człowieka bez ambicji. I co ci ludzie widzą w tobie? Ładnie byś wyglądał bez mojej opieki! No, ale masz mnie, nie dam ci zginąć!

Raczyła rozchmurzyć oblicze i poklepała go łaskawie po ramieniu.

— Wiesz, mam niespodziankę dla ciebie. Zgadnij.

— Może obiad, bom głodny.

— Jest i obiad, i jest kamieniczka. Ta, wiesz, com targowała na Żurawiej.

— Kupiłaś? Ano, to dobrze. Ale obiad mi pilniejszy.

Zbliżył się do światła, chwyciła go za rękę.

— Skąd ty masz krew na mankietach?

Downar cofnął żywo rękę, spojrzął i odparł.

— Albo ja wiem? Trzeba się przebrać. Janie!

Wyszedł do sypialni. Na szarą, zwiędłą twarz Downarowej wystąpił rumieniec, rzuciła się do biurka, otworzyła pudłares z narzędziami.

— Był jeszcze gdzieś, przed Goldmarkiem. Dlatego, się spóźnił! On mnie okrada, to prawda, co gadają Wolskie, ma kochankę!

Przejętna żona zrobiłaby scenę z wtórem płaczu, spazmów, ale Downarowej pożycie składało się z bezustannych wymysłów i gderania i Downar do tego tak nawykł, jak do śpiewu kanarka i terkotania zegara; nie czyniło to już na nim żadnego wrażenia. Miała inny sposób, by go wyprowadzić ze spokoju.

Gdy po chwili przyszedł do jadalni, zastał żonę przydującą u stołu w głuchym milczeniu. Zajął swe miejsce, spojrzął na puste naprzeciw siebie nakrycie i spytał.

— A gdzież Stefan?

Był to krewny pani, student, który u nich się stołował i mieszkał.

Nie było odpowiedzi, tylko wzgardliwe ruszenie ramion.

Downar spojrzął na żonę i zrozumiał, że czeka go niełaska długa, że nie otrzyma odpowiedzi na najbardziej ważne i na najprostsze pytania i trwać to będzie, dopóki jej nie przebłąga. Przez cały zaś ciąg tej pokuty złość swoją będzie wywierać na służbie, w domu powstanie wojna, sroższa niż zwykle, a w rezultacie kucharka, młodsza i lokaj poproszą o uwolnienie od obowiązków.

Wszystko to stanęło w myśli Downara i dało zupie smak żółci; przestał jeść.

Przy pieczeniu wybuchła scena z Janem, który nie nagrzał do baraniny talerzy, wskutek tego zabrano baraninę i talerze do kuchni.

Milczeli oboje, obiad się przeciągał, nareszcie gdy pani sama odebrała z rąk lokaja kompot i wymyślając kucharce, poszła z nim do kuchni, Downar serwetę rzucił i głodny poszedł do gabinetu.

To jedno wiedział, że pracować może spokojnie, żona nie raczy go odwiedzić.

Czytał, pisał i tak się wreszcie w zajęciu zatopił, że przesiedział do dwunastej.

Wtedy posłyszał złowrogie mruczenie w sypialni, potrącanie sprzętów, wreszcie trzaśnięcie drzwi i zgrzyt krucza w zamku. To znaczyło, że będzie spać w gabinecie na otomanie.

Podniósł oczy, popatrzał na te drzwi, pomyślał chwilę, potem głową potrząsnął kilkakrotnie ruchem powolnym niedźwiedzia, któremu pszczoły zaplaczą się w kudły i syczą. I znowu pochylił głowę nad jakąś rozprawą, którą pisał do druku.

I zdawało się, że ten człowiek jest zupełnie nieczuły, a on był tylko tak bardzo silny.

Nazajutrz, jak zwykle, wychodząc o dziewiątej, spotkał na schodach Kazię. Teraz już się znali dobrze i rozmawiali.

— Nie zasnęła pani?

— Nie, ale zamiast na mszę idę wprost do lecznicy i stracha mam.

— Niełaskawego przyjęcia. Ano, to pójdę z panią. Będzie różniej.

— Dziękuję. Naturalnie, że z profesorem poszłabym wszędzie odważnie.

— Ale ja darmo nie służę. Musi mi pani oddać przysługę także. Zostanę w lecznicy, a pani tymczasem pojedzie na Solec 17 i wyszuka w suterenie robotnika Wieczorka. Wczoraj go opatrzyłem, odwiedzę jutro, dziś nie mogę, ale tam jest siedmioro dzieci, najmłodsze ma dwa dni, najstarsze dwanaście lat.

— Już wiem, rozumiem i załatwię, co trzeba.

Weszli do lecznicy. Zły humor i rozdrażnienie Szpanowskiej ułagodziło się przy pierwszych słowach Downara. Został przy niej i zastała go jeszcze Kazia, gdy wróciła z Solca. Zdała mu w paru słowach sprawę z polecenia i zajęła swe miejsce przy chorej. W południe odbyło się konsylium; zdecydowano operację za tydzień. Szpanowski został u żony, Kazia uwolniła się, by załatwić zaległe interesy.

Wstąpiła po drodze do Ocieskiej. Zastała artystkę sprzątającą w pracowni. Na stalugach stało puste płótno, na którym wycierała z farby pędzle, pisząc fantastycznie: *Hans Huk Klauber, lass molen stolm.*

— Co to znaczy? — spytała z uśmiechem Kazia.

— To znaczy: Hans, przestań już malować. Spełniam, bo jadę w świat.

— Dokąd?

— Do słońca.

— Na długo?

— Ha, albo ja wiem! Nie cierpię wiedzieć, co będzie, ile będzie. Nie jadłam nigdy w życiu obiadu, który sama dysponowałam. Ale chyba znowu do tej przeklętej Warszawy wrócę!

Cisnęła pędzle na stół.

— A pani gdzie była przez ten czas?

— U ojca. Grzebałam umarłych, doglądałam chorych. Mam ciężkie zmartwienie. Macocha leży w lecznicy Downara, było dziś konsylium, będzie operacja i prawdopodobnie zły koniec. Muszę nad nią siedzieć, myślałam, że panią uproszę o pomoc w moich pracach z panią Ramszycową. Boję się u niej pokazać, dwa tygodnie opuściłam.

— Ładnie by wyszli pani protegowani na mojej opecie. — Widziała pani *Wrzos Radlicza*?

— Nie.

Ocieska się roześmiała.

— Kapitalne. Prawdziwe *article de Varsovie*. Toć przecie pani mu do tego pozowała.

— Ja?

— I za to mąż panią odesłał do rodziny i rozpoczął „kroki rozwodowe”. Przecie to fakt. I Radlicz spoliczkował za panią Kołockiego i mają się pojedykować. Nie wie pani, skądże pani wraca?

— Wracam od natury i Boga, ze wsi. Nic nie wiem o błocie i ludziach.

Zbladła, zamyśliła się, przesunęła ręką po czole i uśmiechnęła się z przymusem.

— Co robić! Królestwa niebieskiego mi nie odbiorą.

— Radlicz jest osioł — mruknęła Ocieska. — Mówiłam mu: było sportretować grubą Rosenblatową. Żydy by ci dali tysiące i każdy rozsądny człowiek uwierzyłby, że ta ci

pozowała. A tak sławy dużo nie zbierzesz, a gnaty ci słusznie przetrąca. Swoją drogą hultaj dał śliczny obrazek.

— Więc pani wyjeżdża? — szepnęła smutno Kazia.

— Oj! osobliwość. Prawie wierzę, że mnie ktoś żałuje — zaśmiała się szyderczo Ocieska.

— Niech pani wierzy. Będzie mi bardzo źle tymi czasy, jeszcze gorzej bez pani niefrasobliwej filozofii. Zazdroszczę jej pani.

— Niestety, nie zaszczeplić jej, a szkoda, bo z nią bardzo dobrze żyć. Powiadają jedni, że wszystko poznać, to wszystko wybaczyć. To dla pani napisane, na tym pani skończy życiową walkę.

— A pani zdanie?

— Moje osobiste: wszystko poznać, to nic nie chcieć. Z tym mi dopiero dobrze.

Kazia się uśmiechnęła.

— Myślę, że mnie sądzono: dużo chcieć, a nic nie poznać i nic nie mieć. Więc z wiosną wróci pani? Proszę o słowo wieści.

— Dobrze. Napiszę, a pani niech na duchu nie upada. Wszystko minie. To jad szczęścia, a wino utrapienia. A zresztą: wszystko głupstwo.

Uścisnęły sobie dłonie.

— „Wszystko głupstwo” — powtarzała w myśli, idąc wzburzona tym, co słyszała, zaniepokojona pomimo spokoju sumienia.

Ale nie mogła przejąć się niefrasobliwością Ocieskiej. Wrzał w niej bunt na los, na ludzi, na samą siebie i głuche przekonanie, że pokierowała swym życiem fałszywie, poświęciła się na próżno, ni sobie, ni innym nie dała nie tylko szczęścia, ale nawet spokoju. Czuła się słabą, niezdolną do dalszej walki, zniechęconą do obowiązków, obcą i wrogą w tym mnóstwie ludzi, w tym nienawistnym otoczeniu, i biedną, i smutną, i samą.

Nie była w humorze załatwiania interesów i sprawunków, a chciała bodaj zobaczyć jedną życzliwą duszę, poszła tedy do Tuni.

Po drodze spotkała starą Markhamową. Wydało się jej, że powitanie było chłodniejsze niż zwykle, a oczy matrony patrzyły na nią krytycznie. Spotkała dwie Wolskie; uśmiechnęły się dziwnie na jej widok i coś do siebie szepnęły, skinąwszy jej tylko głową.

Tunia, dziwnym trafem sama w domu, przyjęła ją okrzykiem:

— Bój się Boga! Co się dzieje z tobą? Nie wiesz, co się tu dzieje? Ładnieś się skompromitowała!

— Ja? Czym?

— Ano — Andrzej z Celiną za granicą.

— I to ma być moja kompromitacja?

— A czyjaż? Tyś winna i słusznie będziesz cierpieć. Mówiłam ci! To wstyd, to hańba, żeby mąż robił taki skandal! Jak ty teraz ludziom oczy pokażesz? W pół roku po ślubie rzuca cię dla starej awanturnicy. Pfuj! ja bym umarła ze wstydu! Być pośmiewiskiem!

Kazia słuchała w milczeniu. Rysy jej tężały w jakiś wyraz tępego uporu i zaciętości. Tunia zaś wyładowywała długo zbieraną żołąć. Serdecznie lubiła dawną koleżankę, ale tak były odrębne! Odczuła gorąco jej „nieszczęście”, jak nazywała, kłóciła się o nią zajadle ze znajomymi, teraz całą duszą pragnęła ją uratować.

— Nie rozumiem doprawdy ciebie. Nie masz odrobiny ambicji! Młoda jesteś, ładna, elegancka i nie skokietować rodzzonego męża! W twoim wieku zajmować się dobroczynnością, fach sobie z tego zrobić. Kto temu uwierzy! Naturalnie, twoje latania po różnych dziurach Powiśla to ci zrobiły, że posądzają, iż mieszasz schadzki. Nikt nie uwierzy także, że bywasz u Ocieskiej, gdy Radlicz ma w tejsze kamienicy pracownię i wystawia obraz z twoim portretem. Co wolno Ramszycowej, to nie wolno tobie. Zlituj się, toć opowiadają, że bywasz w szpitalu św. Łazarza! Już nie wiem, co jeszcze wymyślą na ciebie za bezceństwa! Czyś zwariowała? Masz dom, stanowisko tak piękne, stosunki z całym światem, młodego

męża, *notabene* ślicznego chłopca, i to wszystko depcesz, lekceważysz, opuszczasz — i po co? Doprawdy nie chcesz być szczęśliwa, chcesz zginąć. Żeby cię nie znała, jak znam, myślałabym istotnie, że jesteś kobietą bez czci i wiary, ale ty jesteś bez serca i nie rozumiesz, co czynisz! A teraz co będzie? Co myślisz postanowić? Według mnie, powinnaś natychmiast wyjechać do ojca i zagrozić mężowi rozwodem. To go opamięta! Tak jak rzeczy stoją, nie możesz ludziom się pokazywać.

Tunia raz pierwszy spojrzała na nią uważnie i skamieniała. Kazia się śmiała! Nie był to wesoły śmiech, ale ironiczny, podczas gdy oczy były zimne i twarde, i złe.

Tak, Kazia czuła, że robi się złą i zaciętą.

— Czy mam wyjechać od razu z Radliczem, czy sama? — spytała zmienionym głosem.

Tunia się obraziła.

— Jeśli tak przyjmujesz moje serdeczne rady, możemy więcej o tym nie mówić! — rzekła, a zadarty jej nosk rozzymał się oburzeniem.

Kazia zapatrzyła się w szary, dymny szmerek zimowego nieba i milczała. Czuła, że co by powiedziała, Tunia ani jej zrozumie, ani uzna, ale jej żal było tak się rozstać z jedyną życzliwą sobie duszą.

— Przepraszam cię — szepnęła. — Jestem beżmiernie rozdrażniona — i wyciągnęła do niej rękę.

Tunia nie umiała długo się dąsać. Nosek się jeszcze rozzymał, ale już wolniej.

— No, pewnie, jesteś w okropnym położeniu. Ja bym nie przeżyła chyba takiego upokorzenia. Ale trzeba myśleć o ratunku.

— To trudno! — rzekła poważnie Kazia. — Na to trzeba inną być, niż jestem, inaczej czuć i myśleć. Trzeba przy tym mieć dom i rodzinę, by do niej wrócić, i trzeba ojcu wszystko wyznać, a ja tego nie uczynię. Muszę milczeć i cierpieć, i tu pozostać pod pręgierzem opinii.

Opowiedziała chorobę macochy, katastrofę, która wisi nad ojcem, konieczność ukrywania przed nim prawdy. Tunia się zamyśliła.

— Istotnie, komplikacja straszna. Ale przynajmniej rozmów się z teściem. Niech on wpływa na syna. Tego trzeba opamiętać, niech wraca. Ludzie ścienną, gdy zobaczą cię pod męską opieką. Ach, dałabym ja mu, dała, tobą będąc. Dziesiątemu by zakazał urządzić takie fugi. Ale ta kobieta ma w sobie jakiś szalony urok! Doprawdy, uczyć się od niej, jak się mężczyzn trzyma. Ja jej zazdroszczę tej sztuki czy tego czaru.

W ruchliwym mózgu Tuni myśl zbiegła na tory miłości, rozchmurzyła się zupełnie.

— Wiesz, nie uwierzysz, ale i ja miałam z Julkiem przejście. Dowiaduję się, naturalnie przez mamę Wolską, że ma kochankę. Przeraziłam się, obejrzałam, że go zaniedbywałam, i naturalnie błąd mój zaraz naprawiłam. Mieliśmy drugą edycję miodowych miesięcy.

— Za to, że cię zdradził?

— Ano, cóż robić? Tym się mężów trzyma, moja droga. Muchy na ocet się nie biorą! Ty musisz ze swoim nie mieć odrobiny taktu i sprytu. Powtarzam, twoja wina tylko!

— Zapewne — uczucia mu nie obiecywałam i nie dałam.

— To bardzo źle, bo to błąd, i grzech. Zresztą, jak ty możesz tak żyć bez miłości? Rybią masz krew czy co?

Zaśmiała się, tym śmiechem i spojrzeniem chcąc wywołać zwierzenie. Kazi skronie pokrył rumieniec, ale odpowiedziała spokojnie:

— Myślę, że nie doznam tych wrażeń. Nie umiem widocznie kochać i nie pragnę. Jestem kaleka!

Uśmiechnęła się smutnie i znowu się zapatrzyła w szary dymny szmerek nieba.

Dzwonek w przedpokoju spłoszył Tunię, spojrzała na zegarek.

— Rany Boskie, miałam ó trzeciej być u krawcowej! Kazia pożegnała ją i poszła do domu. Prezes spotkał ją na schodach, zmieniony na twarzy, zdyszany z pośpiechu.

— Chciałem cię szukać. Depesza od Andrzeja — mówił urywanym głosem, wracając na górę.

— Wraca? — spytała krótko.

— Gdzież tam! Chory leży w Hamburgu. Nie mam pojęcia, co robić! Awantura.

— Trzeba spytać, co mu jest i co mu potrzeba — odparła spokojnie, biorąc do rąk depeszę.

— No, groźnego nic nie ma: „Zatrzymany niezdrowiem”.

— Może by pojechać tam? — bąknął stary. — Niezdrowie to podejrzanę, a może miał pojedynek, jest ranny? Głowę tracę, ten człowiek do grobu mnie wpędzi!

— Przede wszystkim wysłać depeszę z zapytaniem. Niech tatko pisze, zaraz Józefa poślę.

— Pójdę sam, bo mam po drodze interes. Ojciec twój zaraz będzie na obiedzie. Zaczekajcie na mnie.

Kazia zajęła się domem i obiadem i swobodnie powitała ojca, ale Szpanowski chmurny był i zatrzymał ją, kładąc rękę na głowie i badawczo patrząc w oczy.

— Słuchaj no, co się tu u was dzieje?

— Co takiego?

— Ty coś przede mną ukrywasz. Gdzie Andrzej?

— Za granicą. Dziś była depesza, że się parę dni opóźni, bo niezdrow. Czy ojcu tak piłno go ujrzyć? — zaśmiała się.

Szpanowski usiadł ciężko w fotelu i, milczał długą chwilę.

— Wiesz, że babcia Bogucka zapisała ci w testamencie swój folwarczek, jeśli Stach nie żyje. Trzeba podać ogłoszenie we wszystkich pismach, może wreszcie jaka wieść o nim będzie. Człowiek nie może tak zginąć. Tymczasem będę tą ziemią zarządzać dla niego.

Nic nie odpowiedziała, a on po chwili znowu zaczął: — Żebym mógł być przyszłość przewidzieć zeszłej wiosny. Po com ja cię tu dał? To nie dla ciebie świat i ludzie, a tam bez ciebie jakże mi pusto!

— Zabierze mnie tatuś może znowu.

— Wróciłabyś?

— O Boże! — choć dzisiaj! — wyrwało jej się nieopatrznie.

Podniósł oczy.

— Widzisz, zem ci szczęścia nie dał. Obejrzała się.

— Nie. Tak źle mi nie jest. Jeszcze mi za wsią tęskno, jeschcem się tu nie zżyła, ale to przyjdzie z czasem. Owszem, dobrze mi, przywyknę. Tatuś tu zostanie czas jakiś. Myślę, że może by lepiej było Zosię tu sprowadzić. Matce byłoby to miłe i o dziecko bylibyśmy wszyscy spokojniejsi.

Mówiła prędko, żywo, chcąc go zająć czymś innym, skierować na inny tor rozmowę.

— Muszę zostać — rzekł ponuro Szpanowski. — Nie mam żadnej dobrej nadziei, wiem, że wrócę, z trumną. Dziecko warto sprowadzić, ale jak?

— Poślę po nie pewną porządną kobietę, którą znam i mogę zaufać. We dwie z boną dadzą radę.

— Dziękuję ci. Ja bo jestem odurzony tym wszystkim. Słońca niewiele miał w życiu, ale teraz listopadowe niebo mam w duszy. Ano, trudno, praca została na pociechę.

Otrząsnął się siłą woli z apatii, wyprostował się i począł rozpytywać o fabrykę w Grodzisku, o stosunki, o jej życie. Na tym ich zastał prezes i z rozczuleniem spojrzął na Kazię.

— Mówię ci, jakem po niej tęsknił przez te dwa tygodnie, było nie do wytrzymania.

— Czuję kadzidło i zmykam! — rzekła z uśmiechem wychodząc do jadalni.

— Józefie, ktoś dzwoni. Powiesz, że obiad — rzuciła do lokaja.

Ale służący wrócił po chwili i rzekł:

— To pan Radhcz. Jest w gabinecie pana i prosi, żeby pani raczyła przyjąć?

Rzuciła głową, zawahała się, wreszcie wyszła.

Radlicz czekał z kapeluszem w ręku.

— Otrzymałem depeszę od Andrzeja. Wzywa mnie do siebie natychmiast — rzekł z cicha.

— Więc co? — spytała zimno.

— Chciałem panią uspokoić, że nic strasznego, i spytać, czy powiedzieć prezesowi. Miał pojedynek i ranny.

— Naturalnie, powinien pan ojcu powiedzieć. Przecie jutro będą o tym wiedziały wszystkie gazety.

— Nie ode mnie, może pani być pewną.

Popatrzała na niego.

— Pewną nie jestem. Zresztą może. Może pan ma dość tego, w co mnie zaplątał.

— Ja? Panią?

— Ano, sprawa z obrazem, plotki, że mi pozowała panu, historie z Kołockim.

— Ze panią kocham, wie pani, że mi nie potrzeba patrzeć na panią, by mieć ją zawsze przed oczami, wiem ja, a sprawa z Kołockim — jaka? — Że on chce kupić coś, czego nie mam na sprzedaż. Widziała pani obraz?

— Nie, mam dość słuchania o nim.

— Niech pani go zobaczy. Pozować do takiego tematu mogą nawet westalki. Zresztą nikt na świecie, nawet pani, nie może mi zabronić kochać.

Zmarszczyła brwi.

— Mówił już mi to pan i otrzymał odpowiedź. Czy mam powtórzyć?

— Nie, pamiętam i dziękuję pani. Miłość z wzajemnością kończy się przesytem, a taka, jak moja dla pani, jest natchnieniem. Owszem, bardzom pani wdzięczny za odprawę. Nigdy tak dobrze nie pracował.

Mówił swobodnie, lekko.

— Nawet gdybym usłyszał od pani dobre słowo, miałbym zawód. Popsuły się ideał, jakby mi kto alpejskie szarotki podał na jarzynę. Wracając do rzeczy, jadę tedy do Hamburga i przywiozę pani sakramentalną własność i urzędową miłość. W salonie ktoś jest, wolę tutaj rozmówić się z prezesem.

— Zaraz go tu przyślę. Żegnam pana. Skłonił się sztywnie. Spojrzała nań i rzekła:

— Niech pan ten obraz z wystawy usunie. Chcę wierzyć, że pan się na mnie w ten sposób mścić nie chce. Nie o mnie już tu chodzi, plotka już poszła, ale ojciec mój nic nie wie jeszcze.

Skłonił się znowu w milczeniu.

VIII

W parę dni potem Kazia, znalazłszy chwilę czasu, poszła do Ramszycowej. Zastała ją na schodach, eskortującą Lilę i Angielkę do karety pełnej pakunków.

— I pani wyjeżdża? — spytała zdziwiona.

— Jeszcze nie. Wysyłam tymczasem małą do Florencji, a za parę tygodni sama tam pojedę na czas jakiś.

— Same jadą? Nie boi się pani?

— Zdam je pod opiekę Ocieskiej. Tu się roześmiała.

— Siadaj pani. Odprowadzimy je na dworzec i zobaczy pani bezpłatną komedię.

Pomimo swego smutku i znękania Kazia dała się pociągnąć. W drodze spytała:

— Jakże pani namówiła pannę Ocieską na taką ofiarę?

— Wcalem nie namawiała. Powiedziała mi, że jedzie w sobotę, więc wczoraj napisałam do niej trzy słowa: „Korzystam, że jedziesz, żeby wyprawić z tobą małą i Angielkę. Dostawię ci je na dworzec jutro”. Na to ona mi przysłała adres kantoru nianiek i ani słowa więcej.

Kareta stanęła przed dworcem, wysiadły. Lila pierwsza dostrzegła Ocieską i pobiegła do niej.

— Masz tedy małą i Angielkę — rzekła Ramszycowa spokojnie po przywitaniu. — Mieszkanie w hotelu już zamówione, tu są ich kapitały podróżne, tylko mi dziecka zanadto nie rozpieść.

— Kto dzieci ma, niech, je niańczy i wozi! — odparła Ocieska, — Ja wcale do Florencji się nie wybieram i wolę jechać w gęsim wagonie niż w —dziecinnym.

— Ale w tym pociągu, którym jedziesz, mogą być dzieci?

— Pewnie, bo mnie nie stać na ekstracug.

— Otóż Lila będzie, a że jedziesz przez Florencję, możesz je po drodze wyrzucić.

— Tyle to mogę.

Zwróciła się do Kazi i dodała z komiczną determinacją:

— Może pani chce posłać do Florencji kanarki lub drób żywy, mogę załatwić jedno przy drugim.

Kazia i Ramszycowa śmiały się, a tymczasem Lila szukała czegoś po ziemi około siebie i poczęła wreszcie skubać matkę, płaczliwie wołając:

— Nie ma — zgubiłam!

— Coś zgubiła? A! bukiet. No, to masz.

Rozchyliła rotundę, dała małej parę gwoździków, które miała u paska. Lila napadła Ocieską, mówiąc prędko:

— Był tyli bukiet. Zgubiłam! masz i wiesz, obiecałam mamusi, że nie będę jeść czekoladek. — A wiesz i Fryc jest z nami. Będzie wesoło!

— Co? Fryc! — załamała rękę Ocieska, mierząc wzrokiem bezmiernego oburzenia Ramszycowa.

Fryc był to pinczer Lili.

— Ano, Lili żyć nie może bez niego. Mnie o niego nie chodzi, możesz wyrzucić — odparła Ramszycowa.

Lokaj przyniósł bilety. Rozległ się pierwszy dzwonek. Ocieska, która podróżowała z jedną małą walizką, patrzyła ponuro, jak do przedziału zaczęto wnosić paczki i paczuszki, jak się rozgościła Angielka i jak Lili zajęła się koszyczkiem, z którego się odzywał dyskretny pisk Fryca.

— Dobrze wam tu będzie — zdecydowała Ramszycowa.

— Niezupełnie. Braknie papugi i kilku instrumentów dętych — mruknęła Ocieska.

Drugi dzwonek, zaczęto się żegnać.

— Lila, bądź grzeczna. Przyjadę za dwa tygodnie i jeśli zasłużysz, kupię ci osiołka.

— Będzie dwa ze mną — rzekła Ocieska. — Dwa tygodnie mam to niańczyć? Nie! Jeśli za tydzień ciebie nie będzie, zdaję swe obowiązki konsulowi i wyjeżdżam do Rzymu.

— Dobrze, dobrze — śmiała się Ramszycowa — albo raczej oddaj małą do azylu jakiego. Do widzenia, a napisz z drogi. Dziękuję ci serdecznie.

Uścisnęła Ocieską, ucałowała Lilę, dała parę poleceń Angielce i zeszły z Kazia na peron.

Trzeci dzwonek. Spojrzały w okno. Ocieska, z gwoździkiem w zębach, trzymała Lilę na rękach, posepna i skrzywiona jak uosobienie ofiary z musu. Fryc już był w objęciach Lili. Pociąg ruszył, zostały same na peronie.

— No, jestem o małą spokojna. Co prawda z nikim innym by nie pojechała. Byłby lament straszny. A bałam się o dziecko, bo straszna szkarlatyna w mieście i mam masę roboty właśnie po tych norach.

— A ja panią opuściłam bez uprzedzenia prawie. I doprawdy taki mi wstyd! Co sobie pani o mnie myśli?

— Myślę, że panią serdecznie żałuję. Doktor Downar opowiedział mi wszystko we wtorek.

— Wszystko zapewne nie — wtrąciła.

— No, resztę mi opowiedziała Ocieska. I co pani pomyślała?

— Ano, to, co zwykle myślę, gdy słyszę ludzkie paplanie: *guarda e passa!* Niech pani się nie martwi, macochy dogląda; gdy mąż wróci, słowa nie mówi i nie oglądając się na prawo i lewo, swoje robi: pracuje, czyta, gra, bywa, przyjmuje. Głowa do góry i prosto przed siebie. Tylko nie tchórzzyć i ustępować. Straci pani trochę stosun—ków, odu rócą się od pani ci i owi, mniejsza; im mniej zostanie, tym lepszych. Rozmieni pani dużo srebra na trochę złota. Bardzo dobry handel. Ma pani trochę czasu? Pojedziemy za roгатki, mam już plac na dom dla moich protegowanych, dostałam od Ramszyca na gwiazdkę. Zaczynają zwozić materiały.

Wyszły z dworca na plac i na schodach spotkały Ramszyca z pudłem cukierków i bukietem.

— Spóźniłem się. Tam do licha — zawołał — a chciałem podziękować panie Ocieskiej.

— I małą otruć słodyczami. Bóg ją ustrzegł, a ciebie od miny, z jaką by Ocieska przyjęła twe podziękowanie — zaśmiała się Ramszycowa. — Już ja to załatwiłam.

— No, to mnie uwolnij od tych paczek, bo spieszę na sesję. A panie wracają? — spytał pomagając im wsiąść do karety.

— Nie, jedziemy za roгатki. Bądź zdrow. Pożegnał je i skinął na dorożkę.

— Tyleśmy się widzieli w tym tygodniu — rzekła Ramszycowa. — Urządzają jakiś syndykat nowy, a że ja nazywam syndykaty rozbojem i żądam od niego sto tysięcy rubli z tego rozboju na ubogich, wywija mi się jak piskorz, niecnota. Chce mnie zbyć marnymi kilkunastu tysiącami. Co znaczy kilkanaście tysięcy! Wyjadę do Florencji i zostawię mu moje mteresa do administracji na sześć tygodni. Zobaczymy, jak sobie da rady! Czy pani mi może dziś po dawnemu towarzyszyć? Bardzo będzie zdrowo. Żadne rady i morały tyle nie zrobią, co porównanie naszych bied do innych.

— Służę z miłą chęcią. Wyrzuci mnie pani w lecznicę potem.

Tego dnia prezes obiadował na mieście, więc Kazia zapowiedziała się macosze na cały wieczór. Gdy weszła, zastała chorą śpiącą. Usiadła tedy na uboczu i pograżyła się w myślach. Nie musiały być wesole, bo twarz jej była surowa i brwi ściągnięte, a wzrok apatycznie utkwiony w jednym' kierunku. Wzięła do rąk machinalnie robotę, którą tu sobie przynosiła z domu, ale nie haftowała. Opadło ją bezmierne zniechęcenie i nuda.

Nie wiedziała, ile tak przeszło czasu, ani zauważyła, że macocha przygląda się jej bacznie; dopiero na szelest drzwi w sąsiednim pokoju drgnęła, schyliła głowę, zaczęła szukać igły.

— Ciemno już — rzekła Szpanowska.

Zwykły wyraz swobodny, jak maska, pokrył twarz Kazi, wstała, zadzwoniła o lampę, uśmiechnęła się do chorej.

— Gdzież Zosia? — spytała.

— Ojciec ją zaprowadził do tych waszych krewnych, gdzie wczoraj z tobą była. Dziękuję ci za ten pomysł. Dziecko tak szczęśliwe, że ma towarzystwo, i ta pani zaprosiła ją na każdy wolny wieczór. Ledwie się doczekała trzeciej godziny, tak jej było pilno. Musi się doskonale bawić. Dziękuję ci: pocziwa jesteś!

Było to pierwsze dobre słowo, które Kazia usłyszała w życiu od macochy, i w takiej chwili padło. Spojrzała na chorą oczami pełnymi łez.

— Dziecku źle bez matki — mówiła dalej Szpanowska. — Będziesz ty dobra dla Zosi — prawda?

— Ależ serdecznie ją lubię i o ile ją mieć będę, postaram się zabawić. Za kilkanaście lat, jeśli matka nie zechce ambarasu, będę jej matkować na karnawałach — odparła Kazia siląc się na żartobliwy ton.

— Za kilkanaście lat — ho! ho! Może mnie za kilkanaście dni już nie będzie na świecie.

— Co znowu! Za dwa tygodnie będzie matka rekonwalescentką.

— Moja droga, moja matka i dwie jej siostry umarły na raka i ze mną to będzie. Zgodziłam się na operację, ale w wyzdrowienie nie wierzę. Ano, trudno — raz się skończy! Wiesz, byłam dzisiaj u spowiedzi, raczej ksiądz tu był i jestem spokojna. Jutro chcę rozmówić się z rejentem, zostawić wszystko w porządku. Mąż twój nie wrócił?

— Lada dzień się go spodziewam.

— Wolałabym zostawić Zosię tobie niż ojcu. Czuję, że jej krzywdy nie dasz wyrządzić, on tam zapracowany, zostawić ją musi na pastwę najemnie. Rodziny nie mam. Mój Boże, żebym wiedziała, że to tak prędko mnie spotka, nigdy bym ciebie z Gurowa nie puściła.

Kazia milczała, zmrożona śmiertelnie tym okrzykiem egoizmu. Za długoletnią poniewierkę los ją mścił, nie czuła triumfu z tego odwetu, tylko żal, żal, że nawet ta zmiana usposobienia macochy nie była uznaniem dla niej, tylko interesem.

— I żebyś choć dobrze trafiła. Poniewierają cię, a wiesz czemu? Bo nic nie masz!

— Ależ, mam, jest mi bardzo dobrze — zaprzeczyła Kazia. — Mój mąż wiedział, że nie mam posagu.

— Wiedział i wie, i dlatego sobie pozwala. Ja już jestem poinformowana o wszystkim. Tu obok zajmuje numer jakaś pani i odwiedzała mnie. Warszawianka — opowiedziała mi wszystko.

— Przy ojcu? — zawołała Kazia bez tchu.

— Nie, i ja mu jeszcze nic nie mówiłam. Aha, zdradziłaś się, nie chcesz, by ojciec się dowiedział.

— Tyle plotek krąży, po co ma się martwić ludzkimi domysłami i oszczerstwami. Ja, doprawdy, jestem szczęśliwa.

— I miałaś minę szczęśliwą, tu siedząc przed chwilą. Myślałaś, że śpię. Moja droga — nie żądam od ciebie zwierzeń, zresztą po co! Żeby być szczęśliwą i dać sobie radę na świecie, trzeba mieć pieniądze albo stosunki, a ty nic nie masz. Dlatego nikt o ciebie nie dba, ani świat, ani mąż, ani jego rodzina. Stary nad tobą skakał, bo myślał, że syna wyciągnie od kochanicy, jak się to nie udało i on się od ciebie odwróci. Zobaczysz.

Umilkła, patrząc na młodą kobietę haftującą przy świetle lampy.

— Powinam powiedzieć wszystko twojemu ojcu — rzuciła po chwili.

Kazia podniosła oczy.

— Niech matka tego nie czyni — rzekła błagalnie.

— Powinam — wtedy on w to wejrzy i ciebie stąd zabierze, a przynajmniej położenie twoje u Sanickich stanie się inne. Nie będą tobą pomiatać, bo będziesz bogatą. Ale za to przysięgniesz mi, że dla sieroty mojej matką będziesz. Kazia poczerwieniała.

— Matko, bez przysięg i niebogata uczynię wszystko, co w mej mocy, żeby wam usłużyć. Ale doprawdy, skąd matce takie myśli dzisiaj?!

— Nie wmawiaj mi próżnej nadziei. Nie chcesz, by ojciec prawdę wiedział — nie powiem, ale mi przysięgnij, na pamięć swej matki przysięgnij, że Zosię będziesz kochać, że nią się zaopiekujesz, gdy mnie nie stanie.

— Przysięgam, matko, ale już dosyć o tym. Przyniosłam zajmującą książkę, poczytam głośno.

— Czytaj, ale tę, co mi tu zostawiła siostra Klara. Mnie już nic nie zajmuje oprócz Zosi.

Kazia zaczęła czytać *Naśladowanie Chrystusa*. Minęła godzina, chora zdawała się drzemać, gdy wtem wsunęła się cichutko siostra Klara.

— Przyszedł lokaj po panią — rzekła. Kazia wyszła, wróciła po chwili.

— A co tam? — spytała Szpanowska.

— Mąż mój przyjechał — odparła, stojąc wahająca. — Muszę iść — dodała po chwili głuchym tonem.

— Idź! Ja ojcu nic nie powiem, boś przysięgła. Pamiętaj. Kazia pochyliła się, by ją pożegnać, poczuła na głowie ciężką rękę macochy.

— Idź. Jutro operacja, może się już nie zobaczymy. Bardzo mi ciężko. Bądź dobra dla Zosi za to, co ja dla ciebie zrobię. Pamiętaj, wierzę ci, bądź zdrowa! Wspomnisz mnie kiedyś z wdzięcznością jeszcze. Jakie to jutro straszne...

— Przyjdę rano.

— Przyjdź, zabierzesz Zosię.

W pół godziny potem wrócił Szpanowski.

Chora ucieszyła się dzieckiem, ale Zosia była zmęczona i senna, więc ją położono spać w sąsiednim pokoju, a Szpanowski usiadł przy łóżku i spytał:

— Kazia dawno wyszła?

— Była parę godzin. Wezwali ją do domu, bo mąż przyjechał. Jutro rano tu będzie, zabierze małą na cały dzień. Prosiłeś rejenta?

— Będzie o dziesiątej.

— To dobrze. Sprzedałeś te akcje? Kupiłeś bilety?

— Tak.

— To mi je połącz do szufladki. — Czy jest równo pięćdziesiąt tysięcy?

— Trzysta kilkanaście rubli więcej.

— Te zostaw u siebie. Bilety zawiń w papier, zapieczętuż swoim sygnetem i daj mi tu atrament i pióro.

Spełnił wszystko. Tedy się uniosła na posłaniu i napisała coś na pakiecie, potem schowała go pod poduszkę i opadła wyczerpana.

— Źle ze mną — rzekła posępnie.

— Mówiłem dziś z doktorem Morawskim. On ręczy, że operacja cię uratuje.

— Ale Downar tego nie mówi.

— Downar chce może uchodzić za cudotwórcę.

— Nie, tylko on nie blagier. Czyś ty kiedy słyszał, żeby kto z raka wyzdrowiał? Nie ma o czym mówić. W najlepszym razie pomęcę się czas jakiś jeszcze, ale co to warte? Mówmy o interesach. Gurów przejdzie na ciebie i Zosię. Milionową będziesz miał dziedziczkę, ty jej jeszcze drugie tyle fortuny dorobisz. Będą się o nią kiedyś dobijali. Chcę, żeby Kazia ją wychowała.

— Kazia? — zdumiał.

— Tak. Ona dostanie te pięćdziesiąt tysięcy ode mnie jutro ciepłą ręką, żeby je miała dla siebie. Za to przysięgła mi opiekować się Zosią.

Szpanowski podniósł oczy. Takie to było niepodobne do Kazi.

— Chcesz, żeby mała u niej była? Co na to powiedzą Saniccy? Mogą sobie przykrzyć dziecko w domu.

— Bądź spokojny; będą inaczej traktować Kazię bogatą.

— Ależ ona tych pieniędzy nie przyjmie.

— To moja rzecz! A ja ci mówię, że przyjmie i spełni moje polecenie. A gdyby tobie o nich wspomniała, pamiętaj, że to moja ostatnia wola i życzenie, żeby ona była matką dla Zosi. Pamiętaj, pamiętaj! Wymagam tego i — proszę! — dodała.

Szpanowski poruszył brwiami,

— Da Bóg, sama wychowasz małą — rzekł z westchnieniem.

Nazajutrz, gdy Kazia przysłała, Szpanowska zażądała, by została z nią sama.

Rozmawiały pół godziny, potem Kazia wyszła, prowadząc Zosię za rękę. Znać było, że płakała. Ucałowała gorąco ojca.

— Przyjdę wieczorem — szepnęła mu i wyszła prędko.

IX

Andrzej z Radliczem przyjechali wieczorem i razem zjawili się w pustym domu.

Sceny, której się Andrzej obawiał nie było tedy na razie. Służący z własnego impetu pobiegł po Kazię. Przyszła i jakby mc spytała, czy życzą jeść lub herbaty, tłumacząc, że oboje z teściem obiadowali na mieście. Ledwie spojrzała na męża. Potem zajęła się domowym gospodarstwem, poprosiła ich do jadalni i zabawiała swobodną rozmową o wypadkach miejskich. Mówiła tylko z Radliczem, bo Andrzej ponury, wściekły, palił papierosy i pił herbatę. Wreszcie wstał i rzekł:

— Musiała się nazbierać masa interesów. Państwo wybaczą, muszę przejrzeć korespondencję.

Gdy wyszedł, Radlicz się roześmiał z cicha. Zmarszczyła brwi i spojrzała nań surowo:

— Pana to bawi?

— Bawi — odparł zuchwale — Cieszę się, gdy kto cierpi. Głupcy nic innego nie są warcii. I pani nawet nie ciekawa wiedzieć, co tam się stało?

— Wcale. Kto cierpi, nie jest głupi, ale stać się może złym. Pana to może bawić, mnie — nie.

— Nie myślałem o pani cierpieniu — tłumaczył się.

— I słusznie. Mnie cierpieć nie wolno — odparła twardo.

— Pani cierpieć nie powinna — poprawił obejmując ją gorącym spojrzeniem.

Uśmiechnęła się smutno i wstała.

— Teść przyszedł — rzekła wzdrygając się.

— Bomba pęknie. Zmykam. Nic myślę, żeby bito tłustego cielca na powrót marnotrawnego syna.

Prezes poszedł wprost do gabinetu syna

— Raczyłeś przecie wrócić? — zagaił, wściekły. Może zechcesz zastanowić się i opamiętać?

Andrzej wsiał i patrzył zuchwale.

— Nad czym mam się zastanawiać? Miałem interesa i nikomu, sędzę, nie jestem obowiązany się tłumaczyć z parotygodniowej nieobecności.

— Zapewne, do sądu cię nie wezwą ani do więzienia za to nie wsadzą.

— No, więzienie mam tutaj — mruknął ponuro.

— Masz dom, obowiązki, stanowisko, opinię i jesteś żonaty! Przed tym będziesz się musiał tłumaczyć.

— Przed żoną może? spytał szyderczo — A ja ojcu zapowiadam że ani myślę ani chcę, ani będę się usprawiedliwiał. Ojciec mnie ożenił, ojciec wie w jakich warunkach. Zastrzegłem sobie swobodę i będę jej używał.

Prezes patrzył na niego oszołomiony

— Andrzej, czyś oszalał? Widzę, żeś niepoczytalny w tej chwili i mówić z tobą nie będę. Jak oprzytomniejesz, sam zrozumiesz, ileś głupstw popełnił. Gdzieś był ranny?

— Głupstwo, draśnięcie — burknął.

— Widziałeś żonę?

— Widziałem. Miała rozum milczeć i niech to jej ojciec i nadal zaleci.

Prezes patrzył nań, ruszył ramionami i wyszedł. Nad domem zawisła ponura cisza. Andrzej wyszedł o ósmej, stary zamknął się u siebie. Kazia, załatwiwszy domowe sprawy, poszła na górę i szyła, rozmyślając że znowu jak w Gurowie jest istotą zawadzającą i nigdzie, nikomu ani miłą, ani potrzebną.

O jedenastej kazała gasić światło. Andrzeja nie było, słyszała, że wrócił dopiero o trzeciej i gwizdał jakieś kuplety. Wracał z hulanki widocznie.

Nazajutrz w drzwiach lecznicy spotkała Kazia Downara. Operacja była skończona. Nie pytając, po oczach jego jasnych poznała, że był kontent

— Uratowana? — zawołała radośnie, wyciągając doń obie ręce.

Skinął głową, uśmiechnął się i ujawszy w swe olbrzymie łapy jej drobne dłonie rzekł:

— Udało się. Tymczasem niebezpieczeństwo zażegnane. Dobrze. Dziecko nie zostanie sierotą. Ale pani niech tam nie idzie, wieczorem chyba. A czego to pani tak źle wygląda, anemia się zbiera. Paskudna choroba. Moc weźmie, nerwy starga. Nie trzeba się poddawać.

— Czy to można być zdrowym, kiedy się chce?

— Młodemu można i nawet trzeba. A nie tęsknić do pola, nie tęsknić, ono śpi, odpoczywa teraz. Zima, chłód, głód, ludzie cierpią. U Wieczorków, na Solcu, mówili mi wczoraj: ta pani, co ją pan doktor przysłał, to ino wejdzie i już jakby słońce weszło. Zanieść im słońce w tę suterynę, wyręczyć mnie starego, bo nie mam czasu. A chorobie się nie dać!

— Idę, profesorze — uśmiechnęła się. Popatrzał jej bystro w oczy.

— Wie pani, kiedy człowiek głupio czas marnuje? Kiedy się nad sobą żali.

Zarumieniła się, spojrzała nań wdzięcznie i rzekła:

— Dziękuję, profesorze.

Uścisnęli sobie jeszcze raz dłonie i rozeszli się. Downar spojrział na zegarek, potem do notatnika.

— Mam trzy godziny dla swoich — zamruczał i ruszył na Smolną, nie uważając wcale, że o sto kroków za nim szła żona. Doprowadziła go do rogu Nowego Światu i w kwadrans po nim zadzwoniła do mieszkania w znajomej sobie kamienicy.

Po chwili otworzono jej i w progu, zamykając sobą wejście, stanęła stara kobieta w czepcu i kaftanie, typowa chłopka.

— Chcę się widzieć z doktorem Downarem.

Baba popatrzyła na nią, ruszyła ramionami.

— *Ne suprantu!* — odparła cofając się i zamykając drzwi, ale Downarowa nie ustępowała.

— Nie udawaj, więdźmo! Jestem żona doktora Downara i będę się z nim widzieć.

Gwar kilku głosów słyhać było w mieszkaniu, śmiechy, ożywioną rozmowę.

— Idź, zawołaj mi tu zaraz tego swego pana! — tupnęła nogą Downarowa.

Baba powtórzyła swoje: *ne suprantu*, a że w tej chwili Downar zawołał: Barbikie — snadź to jej była nazwa — zatrzasnęła Downarowej drzwi przed nosem. Dzwoniła nadaremnie kilka razy, wreszcie zeszała i wyszukała stróża, który był wściekły, bo mu właśnie ktoś skradł miotłę.

— Czy tu ktoś jest u doktora Downara?

— Abo ja wiem — mruknął.

— Co to za baba tam służy u niego?

— Meldowana je. Baba, zwyczajna baba.

— Dodzwonić się nie można.

— A pani do onej baby ma jenteres? Ona ci nie gada po ludzku, Żmujdzinka je czy jakoś tak.

— Chcę się widzieć z doktorem.

— On ci nie przyjmie państwa tutaj, ino czasem prosty naród. Niech pani ze swą chorobą idzie do jego szpitala.

Tu ujrzał chłopaka wyglądającego z suteryny i zwrócił się do niego:

— Niczyja robota, ino twoja, obwiesiu! Gdzie je miotła, kondlu? Tyś ino przeleciał bez bramę i już miotły nie ma!

— Miotła, miotła! — zaskrzeczał chłopiec. — Po ki diabeł mi ten ożóg! Wasza może na niej dymnęła na Łysą Górę!

— Stróż poskoczył do okienka, zaczęła się szermierka językowa, podwórko zaludniło się gapiami. Downarowa wyszła na ulicę.

Gdy Downar przyszedł do domu na obiad, znalazł w mieszkaniu nieład, a na środku jadalni wielki kufer, do którego żona zносиła garderobę. Lokaj i służąca pomagali jej w tym tak pilnie i ochoczo, jakby to była ich własna wyprawa. W drzwiach od kuchni stała gruba Franciszka, kucharka, i uśmiechała się, założywszy beczynnie ręce na fartuchu.

— No, co się stało? — zagadnął.

— Wyjeżdżam.

— Dokąd? Co tak pilno?

Nie było odpowiedzi. Zrozumiał tedy, że pytać dalej nie warto. Zrozumiał, że Franciszka nie gotowała obiadu i że najlepiej zrobi, gdy zniknie. Nie rzekł słowa, tylko zaciął zęby, oczy mu dziwnie pociemniały, zwrócił się i wyszedł. Na schodach spotkał Andrzeja Sanickiego.

— Profesor wychodzi, a ja właśnie chciałem się poradzić.

— Służę. Wstąpię do pana. Jakoś pan istotnie na chorego wygląda.

Weszli do gabinetu Andrzeja.

— Chory właściwie nie jestem, ale miałem wypadek z bronią, byłem ranny w bok, lekko zresztą, ale musiałem za wcześnie tu wrócić i gorzej mi znowu dolega.

Downar go obejrzał.

— Trzeba poleżeć dni kilka, nic złego, ale się nie goi rany biegając po mieście. Mięśnie poszarpane; tylko o parę cali na lewo, toby pan poleżał trochę dłużej, bo do Sądu Ostatecznego. Paskudne bywają wypadki z bronią.

— Nie będę leżeć, profesorze. Nie mogę.

— Ano, jak pan nie może, to nie — odparł flegmatycznie Downar. — To opatrzę pana co dzień wieczorem przez pierwsze trzy dni, a potem nauczę żonę pańską, jak robić opatrunek; za dwa tygodnie będzie pan zdrów.

— No, nie. Żona mnie opatrywać nie będzie, ona wcale nie wie o wypadku i nie chce, by wiedziała. Profesor mi raczy dochować sekretu.

— Naturalnie, ale ja tu jeszcze panu coś przepiszę. Cały system nerwowy rozklekotany jak stuletni fortepian. Nigdy pana nie widział w tak złym stanie. Trzeba się szanować, panie Andrzeju. Sypia pan dobrze?

— Wcale, nic prawie. Miałem ostatnimi czasy masę zajęcia i nieprzyjemności.

— Zajęcia i owszem — to zdrowe, a nieprzyjemności... w pana wieku i położeniu być nie powinno, przy dobrej woli.

— Dobrej woli do troski nikt nie ma — uśmiechnął się Andrzej z przymusem.

— Ha, tak by się zdawało, ale człowiek jest jak ten robak z gadki. Siedział w śliwce, chciał lepiej, włożył w orzech, źle, włożył w korę drzewną, źle, więc szukając lepiej, włożył w chrzan, wtedy się uspokoił. Nie róbcie tak, panie Andrzeju. Troski służą geniuszom, bo wtedy najlepiej tworzą, ale my, ludzie zwyczajni, jak się poddamy troskom, nie tworzymy nic, tylko piekło sobie i swoim. Nerwy dzisiejsze nie obrachowane na znośnię nieszczęść i klęsk; pan swoje niech oszczędza, bo będzie źle. Jako lekarz i przyjaciel pana ostrzegam. Nie szukać chrzanu.

— Profesor taki uroczysty, jakbym stał nad grobem.

— Bo źle jest z panem. Do grobu wszyscy dążymy, jedni powoli, inni takim pędem, jakby, lichy wie, co za nagroda ich tam czekała. Mniejsza zresztą o grób, bo ten nie minie, ale nie traćcie zdrowia samoświadcząc. Jak się pan nie zastanowi, nerwów w garść nie weźmie, to czeka pana gorsze niż grób: niedołęstwo, rozstrój, osłabienie umysłowe i fizyczne, zanik woli i sił, jednym słowem: ruina i śmierć, na długo może przed grobem jeszcze. To dopiero prawdziwe nieprzyjemności będą. No, a teraz do widzenia, panie Andrzeju, i darujcie szczerłość, ale wasz przyjaciel stary i wiele nędz widziałem, które można było zażegnać we właściwym czasie.

— Dziękuję, profesorze. Jeśli było waszym zamiarem mnie wystraszyć, toście swego dopięli.

Przeprowadził go do przedpokoj, tam Downar jeszcze się zatrzymał i rzekł:

— Niech pan też uważa na żonę. Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat. Zbladła i zmarniała w mieście; trudno się aklimatyzuje widocznie.

— Jeśli kwiatem ją profesor raczy nazywać, to chyba polny. W cieplarni jej nie chowano stanowczo, a tu robi, co jej się podoba.

— Jak nic może wpaść w anemię, a potem byle co z nóg zwali.

Poszedł Downar do restauracji na obiad i myślał o swych fachowych sprawach, o biesiadzie na Smolnej, mimochodem o żonie.

Od dawna pożycie domowe traktował jak reumatyzm zadawniony, do którego wreszcie człowiek tak nawyknie, że mu prawie nie dolega.

Do Andrzeja przyjechał Markham z Grodziska, a że konferencja fabryczna się przewlekła, został na obiad. Cenny to był współbiednik, rozmowa była swobodna, a tematu, jak zwykle, dostarczali ludzie i plotki miejskie. Po obiedzie zjawili się kilka osób z rodziny i za ledwie późnym wieczorem domowi zostali sami, a prezes rzekł:

— Obiecałeś Markhamowi być jutro w fabryce. Wróćże wcześniej, bo jutro nasz fiks i koniecznie być musisz.

— Jeśli znajdę tam wszystko w porządku, to wrócę.

— Żadne „jeśli”! Musisz być i musicie tymi czasy pokazać się razem w teatrze. Mam dosyć plotek i skandalów.

Kazia milczała zajęta robotą.

— Nic nie muszę — wybuchnął Andrzej — i nic sobie nie robię z plotek gawiedzi! I nie myślę grać komedii, bo mi za to nie płacą. Nie jestem zresztą w humorze bawienia ludzi ani wysiadania w teatrze. Mam masę zajęcia.

— Wolisz bawić ludzi sobą; winszuję! — oburzył się prezes. — Masz siebie za bohatera, a wszyscy drwią za twymi plecami.

— Z czego? Że żona moja pozuje malarzom do obrazów? Mogą mi to w oczy powiedzieć, pewnie się nie wzruszę ani będę kruszył kopii.

— Słuchaj, chyba nie rozumiesz, co mówisz?

— Owszem, to ojciec zapomniał moich warunków przedślubnych. Zastrzegłem sobie zupełną swobodę. Ojciec lekceważył moje żądanie, teraz je pozna. Proszę brać przykład z niej. Milczy, zgadza się na wszystko, bo mi nic nie może zarzucić. Biorę i daję zupełną swobodę. Inni mężowie mają dwie miary, ja jedną dla nas obojga. Nie pytam, co ona czyni i jak życie swoje urządza, w zamian nie pozwolę na żadną kontrolę i kierownictwo.

Kazia podniosła głowę, spojrzała na niego jasno, smutno i łagodnie.

— To prawda. Rozmówiliśmy się przed ślubem jak dwoje współników o interesie materialnym. Nie dawałam uczucia i nie wymagałam. Pan chciał się ożenić dla owej sumy legowanej przez matkę pod tym warunkiem, ja chciałam się usunąć przez wzgląd na ojca. Chciałam mu dać spokój i zadowolenie pewnością, żem szczęśliwa. Była to szalona utopia. Spadłam tu tak obca i dzika, tak niewyrobiona i młoda, że pewnie winna jestem obecnemu swemu położeniu. Nie znam ludzi ani tego świata, a najgorsza, że nie umiem kłamać i udawać i wedle siebie ludzi sądziłam. Jestem bardzo winna, ale też i ukarana. Jestem panu ciężarem i kule galernika, ludziom przedmiotem pogardy i pośmiewiska, i wedle tego, co pan zamierza czynić, niemożliwym będzie ukryć przed ojcem prawdy naszego życia. Wszystko, com budowała, czegom pragnęła, nad —czym pracowałam, w gruzy się rozsypie. Ale pan nie winien, nie, pan cierpi, więc jest bezwzględny. Tylko panu jeszcze szczęście wróci i życie się odnowi, bo pan mężczyzna, pan władca swej doli i niedoli. Tylko do tego trzeba, żebym ja się usunęła z drogi. Jestem w waszym domu niepotrzebna, a między wami kamieniem obrazy. Po co mamy sobie robić piekło, ludziom widowisko? Po co mamy nawet udawać, jak ojciec chce, dla formy pustej? Dajcie mi odejść! To jedyne rozwiązanie kwestii.

Obadwa patrzali na nią, obadwa w głębi zawstydeni, żaden się nie odezwał.

Ona raz zacząwszy, nabierała mocy i potrzeby wypowiedzenia do dna swych myśli i uczuć.

— Ja czuję, że tu nie wyrosnę. Ludzie mnie, a ja ich nigdy nie zrozumieję, ani się pogodzę z tym światem. Obcą jestem i obcą pozostanę, nie umiem żyć w tłumie, wciąż sądzona, szpiegowana, krytykowana, potępiana. Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od nich, jestem inna. Przybyłam z głową pełną utopii. Chciałam serdecznie być panu przyjacielem i towarzyszką, ojcu jak rodzoną córką, dla siebie znaleźć jaki cel, zajęcie. Tęskniłam i tęsknię szalenie do wsi. Żeby się przemóc, pracowałam i myślałam o innych. I co z tego?... Dom stał się panu więzieniem, moje towarzystwo przymusem nieznośnym, na który cała dusza pana się buntuje. Ojciec z mojej racji ma upokorzenie i wstyd wobec ludzi, a mnie uczyniono kochanką pana Radlicza, awanturnicą zarządzającą schadzki pod firmą dobroczynności. Cierpiałam w milczeniu, myśląc, że może jeden ojciec przynajmniej zachowa swój spokój, ale i to mi nie dane. Więc proszę was: dajcie mi odejść!

Zwróciła się do Andrzeja:

— Robię scenę, i to bardzo nie w porę, kiedy pan ma wiele przykrości, ale tyle już ludzie tymi czasy o nas gadali, że gdy zniknę z horyzontu, mniej będzie wrzawy. Jutro rano rozmówię się z ojcem i mogę zaraz wrócić do Gurowa.

Prezes wstał i słowa nie rzekłszy, wyszedł.

Andrzej pod jasnym jej, prawym wzrokiem oczy spuścił i nagle poczuł się tak upokorzonym, tak głupim, marnym, nikczemnym, że jak niedorostek rzekł bezmyślnie:

— Com ja winien? Okoliczności tak się podle złożyły. Chory jestem jak pies, wszystko mnie drażni. Cóż znowu? Nie myślałem, żeby z tego jutrzejszego fiksu i tego teatru miała być awantura. O co chodzi? Żeby się pani ojciec o niczym nie dowiedział? Odwiedzę go jutro rano, będę tu wieczorem.

— Chodzi nie o jutro, lecz o całe życie. Daj mi pan odejść, zanadto mi tu ciężko.

— Odejść?... Jak pani chce. Żeby pani była wcale nie weszła do tego domu! Teraz mi obojętne. Pani chce odejść, wyzwolić się dla kogoś, dla Radlicza może?

Zaśmiał się gorzko.

— Ja pani w niczym nie krępuję przecie. Jestem tak znękany i wyczerpany, że tak nagle zdecydować się nie mogę. I pani niech się zastanowi. Prawda, byłem bezwzględny, przepraszam.

Na twarzy jej odmalowało się wielkie zmęczenie i zawód.

— Więc ma zostać, jak było? — szepnęła głucho.

— Pani tak chciała.

— O nie tak, nie tak! — potrząsnęła głową. — Gotowam była pracować i żyć bez miłości, ale nie w nienawiści być i żyć.

Wzdrygnęła się, podniosła oczy.

— Nienawiść czułem i ja w pani, nie starała się pani niczym mnie dla siebie zjednać.

— Owszem, starałam się panu nie zawadzać, nie narzucać swą obecnością. Byłam wzięta na gospodynię domu, spełniałam swój obowiązek.

— Tak, spełniała pani swój obowiązek — powtórzył. — Pani jest uosobieniem chłodnego rozsądku i gospodarności, przynajmniej dla mnie. Inni inną znają zapewne. Na obrazie Radlicza nie gospodaruje pani podobno, ale kocha i marzy.

Żachnęła się, wstała, rzuciła na stół robotę.

— Dlaczego pan to mówi, wiedząc, że to fałsz?

— Tego nie wiem. Radlicz się wcale nie zapiera, że panią kocha, cały świat was łączy, a trudno wierzyć, żeby młody mógł żyć bez miłości. Zapewne powie pani, że na straży stoi katechizm, ale nie bardzo wierzę w ludzkie wynalazki przeciw żywiołowym siłom.

— Gdybym pokochała, wyznałabym to przede wszystkim panu! — odparła.

— Po co? Żeby mnie upokorzyć?

— Upokorzyć? Jakim sposobem? — zdziwiła się szczerze.
Popatrzał na nią i ruszył ramionami.
— Istotnie pani nie ma pojęcia o miłości — rzucił niecierpliwie.
Wstał także i syknął z bólu. Przy ruchu uraził ranę i pobladł dotykając boku.
Zauważyła to, ale nic nie rzekła. Wtedy on ozwał się twardo:
— Może pani śmiało triumfować i drwić ze mnie. Rywalka pani mnie zdradziła, wystrychnęła na dudka, mąż jej mnie postrzelił. Musieli to pani ludzie dawno donieść. Miała pani rozkoszną chwilę zemsty.
— Ani mi ona była rywalką, bom pana nie kochała, anim czuła rozkosz odwetu, bo mnie pan nie okłamywał. Żal mi było pana.
— Tego mi pani nie okazała.
— Owszem, przed chwilą, gdym chciała się usunąć. Pomyślałam, że gdybym ja kiedy pokochała, najcięższym by mi był pana widok i obecność. I — prawa,
Spojrzeli sobie teraz w oczy, wyciągnął do niej rękę.
— Zostanie pani? Jeszcze raz przepraszam, będę na przyszłość uważniejszym.
Bez zapachu i wiary podała mu dłoń.
— Pójdę, powiem ojcu — szepnęła z westchnieniem.
— Ja się położę. Może zasną. Zawahała się i przemogła.
— Jeśli pan chce, umiem ranę opatrzyć. Co dzień w lecznicy to czynię, mam wprawę.
— To już za wiele zaparcia i poświęcenia. W lecznicy są bliźni, a ja wróg i kat. Dobranoc.
Nazałutrz prezes zastał ich oboje przy rannej herbacie. Musiała go Kazia z wieczora bardzo dobrze usposobić i uspokoić, bo na powitanie pocałował syna w głowę i rzekł wesoło:
— Więc tedy Downar znowu cudu dokonał z twoją macochą, córuś. Warto by chorą odwiedzić.
— Idę tam zaraz. Ale większy cud, że jest teraz tak dobra dla mnie. Czy wie tatuś, że gdy myślała, że umrze, oddawała mi Zosię na wychowanie i opiekę?
— Niech żyje i mech ją sama chowa.
— Pójdziemy razem do lecznicy — rzekł Andrzej.
— To nie jedziesz do Grodziska?
— Ano nie, bobym musiał wracać przed wieczorem dla tego zebrania.
— To dobrze, chłopcze. Powinni byście być z wizytą u starych Markhamów i u tych przeklętych Wolskich.
— U Wolskich? — skoczył Andrzej.
— Nigdzie nie będziemy — zdecydowała spokojnie Kazia. — On jest niezdrów i powinien siedzieć w domu, najlepiej nawet, gdy się położy, a ja mam wyżej głowy roboty z Ramszycową, która wyjeżdża tymi dniami i zdaje na mnie cały swój kram.
— Winszuję, to już cię wcale nie zobaczę.
Uśmiechnęła się.
— Jak gdyby tatuś w domu dużo przebywał! Wrócę na obiad i na wieczór, jak zwykle. Dziś nawet wcześniej, bo muszę kolację przygotować.
Andrzej kazał konie zaprzęgać i rzekł podsuwając jej „Kuriera”:
— Co wolisz: *Hugenotów* czy *Lohengrina*? Wezmę łożę, to i ojcowie z nami pójda.
— *Lohengrina*, pojutrze. Dobrze?
Prezes spod oka na nią patrzył i zachwycał się, i radował. Nie wiedząc, jak okazać swe ukontentowanie, począł pogwizdywać dyskretnie. Służący oznajmił, że konie gotowe.
— Nie za wcześnie będzie? — rzekł Andrzej.
— To się przejedźcie do Łazienek.
— Ależ o jedenastej nie wcześnie! — zaprotestowała Kazia, sprzątając pośpiesznie przy bufecie.
Gdy wsiedli do powozu, Andrzej się odezwał.

— Co za zgroza na propozycję tych Łazienek!

— Istotnie, przeraziłam się na mysi, jak to panu byłoby przykre. Bywał pan tam w szczęśliwszych warunkach.

— Tak, spotkała mnie pani nawet parę razy w Alejach. Jak to już dawno. Ale czy pani sądzi, że gdy kiedy ze swym wybranym tam pojedzie, to on tam z panią pierwszą będzie?

— Nie, tego nie myślę, ale bym chciała być ostatnią. Tracić jest ciężiej, niż wcale nie mieć.

— Pani to zna? Zarumieniła się mocno.

— Gdybym nie znała, nie byłabym tu z panem.

— Ach, prawda, miała pani narzeczonego. Zamyślił się.

— A jeśli on wróci? I wróci po panią?

— Powiem panu szczerze i otwarcie. Ale to jeszcze jedna z moich utopii. Nie wróci już. A gdyby wrócił, to nie do mnie.

— Kochała go pani tak bardzo?

— Nie odpowiedziała. On poczuł falę nielogicznej złości i niechęci, coś jakby zazdrość o to uczucie kobiety, o którą nie dbał, której nie kochał, ale która z prawa była jego własnością.

— Wolskie — szepnęła Kazia kłaniając się. Uchylił i on kapelusza.

— Szlag mamę ubije — zauważył. — Skamieniała na nasz widok. Ciekaw jestem, co będą teraz gadać! Ja byłem śmiertelnie ranny w pojedynku, pani odesłana do rodziny. Rozwód w konsystorzu. Pogłupieją.

— Wcale nie. Powiedzą, że jestem potwór, Messalina, że pani potrafiła okłamać lub przebłagać, albo że sobie nawzajem tolerujemy zdrady i zuchwale stawiamy czoło opinii.

— Co prawda, mają trochę racji. Szczególna z nas para. Mówimy sobie „ty” przy ludziach, „pan” i „pani”, gdy jesteśmy sami, nie mamy żadnych tajemnic, a jesteśmy wrogami. Pani mi się zwierza o eks-narzeczonego, ja pani wyznaję swą miłosną porażkę.

— Nie okłamujemy siebie, dzięki Bogu.

— Tylko oto idziemy okłamywać ojca — zakończył, bo powóz stanął przed lecznicą.

— Dla tego kłamstwa gotowam na wszystko.

— Nawet na pozostanie w moim domu?

— Nawet. I wdzięcznam panu za towarzystwo w tej chwili, bardzo wdzięczna.

— Trudno tę wdzięczność okazać.

— Niepodobna. Ani panu potrzebna, ani miła. Ale zobaczy pan, że za ofiarę ze siebie dostanie pan od losu nagrodę za mnie.

— Wygodnie jest mieć los za kasjera. Ale jestem teraz w takim usposobieniu, że trzeba cudu, by mi coś mogło zrobić przykrość lub przyjemność.

— Spojrzała nań z uśmiechem.

— A ja zakład stawię, że sprawię ten cud.

— Pani?

— Ja, jeśli pan zechce ze mną pójść stąd jeszcze na godzinę z wizytą.

— Pójdę przez prostą ciekawość.

— Szpanowski wyszedł na ich spotkanie, wypadła też Zosia, dopominając się, że chce iść do Maniusi i Felisia, i powitała ich uśmiechem Szpanowska.

— Zupełnie nas pan Kazi pozbawił. Wpadnie na chwilę i już ją coś, a raczej ktoś do domu ciągnie.

— A mnie się zdaje, że jej nigdy w domu nie ma — odparł swobodnie.

— To ty hulasz po świecie — rzekł wesoło Szpanowski. — Od tygodnia co dzień ciebie czekają.

— Żona mi dokumentnie zmyła głowę wczoraj za to i tak wystraszyła, że dziesiątemu zakazę bałamuctwa. Teraz będę siedzieć w domu, aż mnie sama wypędzi.

— To ty, Kaziu, ostro rej wodzisz w domu — zaśmiał się Szpanowski.

— Ma rację — dodała Szpanowska. — Ma młodego, ślicznego chłopca, niech go pilnuje, bo ukradną.

— Nie dam się wziąć!

— Gadanie. Nie wierz temu, Kaziu, i pilnuj sama swego. To najbezpieczniej, słyszysz?

— Słyszę, matko, ale on żartuje. Nie miałam prawa i racji do zmycia głowy, bo się nie bałamucić ani bawić za granicą. Miał interesa. Teraz go istotnie trochę w domu przetrzymam, bo niezdrów i przepracowany.

Reparowała pilnie jakąś okaleczoną Zosi lalkę i była mu tak wdzięczna, tak wdzięczna, że nie śmiała spojrzeć.

A on patrzył na jej pochyloną, złotą głowę i zauważył raz pierwszy, że zbladła i zmizerniała; sieć żyłek miała na skroni i usta ledwie różowe. „Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat”, przypomniał słowa psychologa Downara i żał mu jej się zrobiło.

— Będę miał do wiosny dużo roboty, nim się to zorganizuje, ale potem chciałbym się trochę uwolnić, wyjechać na odpoczynek. Zeszłe lato odsiedziałem w tym skwarze z powodu małżeństwa, teraz muszę to powetować. Kazia też zmarniała w mieście, potrzebuje powietrza i ciszy.

— Daj nam ją pan do Gurowa na lato — zawołała Szpanowska, a Szpanowskiemu zabłyśły oczy.

— No, nie — zaśmiał się Andrzej. — Nie dam jej nikomu.

— Ależ nie myślę was rozłączać. Razem!

— Ciebie znudzi wieś prędko — westchnął Szpanowski.

— Kaziu, użyj swego wpływu. Wstyd ci będzie, żeby się znudził. Przyjeżdżajcie!

Kazia podniosła oczy do okna, na ołowiane niebo.

— Tak jeszcze daleko do słońca i lata — rzekła.

— Ja chcę do Maniusi i Felisia! — zawołała grymaśnie Zosia tupiąc nogami.

— Pójdiesz, pieszczotko, Kazia cię zaprowadzi.

— Ja chcę zaraz! Ja nie będę czekać!

— Można zaraz — rzekł Andrzej. — Zabierzemy ją ze sobą i zdamy stryjence do kompletu.

Rad był okazji, by się uwolnić, ale gdy się znalazł w powozie, niepilno mu było do domu.

— Cóż, rada pani ze mnie? — spytał.

— O, tak wdzięczna. Nie śmiałam spojrzeć na pana ze wstydu, że pan tak musiał kłamać z mojej racji.

— Wcalem nie kłamał. Prawdą było, że wczorajsza pani propozycja rozstania mnie wystraszyła. Czy pani sobie może wyobrazić, jak by mnie ojciec przyjął, żebym się na to zgodził? Nie kłamałem też mówiąc, że jestem nie do wzięcia, bo istotnie nie potrafiłbym kochać i pożądać, a i nie dam pani komu, bo mi gospodyni w domu potrzebna. Z nas dwojga nie ja kłamałem, ale pani.

Mówił po francusku, co obraziło Zosię,

— Mówisz coś na mnie! Jak śmiesz? Poskarżę się mamusi.

Roześmiał się.

— Bądź spokojna, ani myślę o tobie. Zwrócił się do Kazi i dodał po francusku:

— Milutkie stworzenie. Żeby było moje, tobym zabił.

— Egoistka. Będzie jej dobrze na świecie — zdecydowała filozoficznie. — Zaprowadzę ją do stryjenki, niech pan wraca do domu.

— A ten cud, co pani miała sprawić?

— Chce pan naprawdę? To proszę chwilę poczekać! Wróciła zdyszana, rozjaśniona i rzekła do stangreta z uśmiechem.

— Na Pańską, Walenty, do mojej kamienicy.

A Walenty też się uśmiechnął, a potem się obejrzał na Andrzeja i głową pokręcił.

Ruszyli, ale po drodze Kazia wstąpiła do sklepu z kwiatami i wróciła z wazonem skromnej białej primuli, potem wstąpiła do owocarni, a wreszcie spytała Walentego:

— A torbę wam Józef dał?

— Dał. Jużci wiemy porządek — odparł.

— Ten cud mógłby się stać na ulicy z lepszym brukiem — zauważył Andrzej, krzywiąc się, gdy wjechali w głąb Pańskiej.

— O, Boże! .Rana panu dolega, jakżem nieuważna! Wracajmy!

— Nigdy z pół drogi. Głupstwo, opatrunek się osunął trochę. Mam doktora w domu.

Bruk był coraz gorszy, domy coraz nędzniejsze, wreszcie Walenty stanął przy samym rynsztoku, przed pochyłą bramą, obok której stały dwa drewniane domostwa, pamiętające chyba Szwedów w Polsce.

Nad rynsztokiem stało trzech chłopaków i dziewczynka, zajętych wyławianiem z brudnych mydlin pomarańczowych skórek.

Na widok powozu przerwali swe zajęcia, spojrzeli i nagle wrzasnęli jednym głosem:

— Nasza pani. Olaboga, dyć żyje!

Chłopcy rzucili się z tym wrzaskiem w bramę, wpadli na stróża, rozległo się energiczne „psiakrew”, i już na podwórku pisk głosów.

— Ludzie, rety, nasza pani przyjechała. Dziewczynka pocałowała Kazię w rękę, stróż pokłonił się jej czapką do kolan i machnął miotłą mydliny z rynsztoka, a potem uśmiechnięty wziął z rąk Walentego dużą skórzaną torbę i ruszył przodem.

Kazia wysiadła, pogłaskała dziewczynkę po głowie, dała jej piękne, czerwone jabłko.

— Braciszek zdrów? Cóż u was słyhać?

— Tatuś na mieście. Mama pierze. Wczora tatuś strasznie Józia obili — recytowała idąc obok niej.

Za bramą było podwórze otoczone ze wszech stron odrapanymi, nędznymi domami, z których w tej chwili wysypała się cizba ludzi, dzieci przeważnie i kobiet, ubogich, nędznych, jak to ich otoczenie.

Poza oknami widać było twarze tych, co zejść nie mogli, pracą zajęci, a cała ta szara masa szła ku Kazi, otaczała ją, ogarniała, witała jak dobrą znajomą, z okrzykami dobroduszej, szczerzej radości.

Andrzej znał w fabrykach tę czerń, ale znał ją albo pokorną i nieufną, albo zbuntowaną i zuchwałą. Znał te twarze zniszczone przedwcześnie nędzą albo cyniczne zepsuciem, znał milczenie ponurego poddania lub pomruk głodem rozjuszonej bestii, znał ich pijanych, znał fałszywie pochlebnych, ale to, co widział teraz, było dlań zupełnie nowym.

Kobieta, ledwie odziana, z rękoma obnażonymi po łokcie i białymi od mydlin, z twarzą szeroką, czerwoną, typowa wesoła Mazurka, z zadartym nosem i siwymi, wesołymi oczami, widocznie rej wodziła i była adiutantem Kazi wśród tej armii maluczkich i biednych, bo dotarła pierwsza do „pani” i śmiejąc się wołała: i — A widzicie! Nie gadałam: Pani do nas się zjawi, co miała nas porzucić! Olaboga, a oni co pletli: a umarła, a chora, a zabili ją! A widzicie, a widzicie! Żywa i cała! Ja mówiłam: Co wy ta wiecie jako państwo żyją — mają i oni swoje kłopoty i zajęcia. Cości jej przeszkodziło. Najgorszy ten pies Józefiak! To on gardłował: macie waszą magnatkę, pobawiła się wami i tyle ją będziecie widzieć!

Tu chłopcy roześmieli się chórem, a jeden najśmielszy zawołał:

— A pani Tomaszowa mu za to w pysk dała, a on tak zgłupiał, tak zgłupiał, że i nie oddał.

— Oddałby mnie? — krzyknęła Tomaszowa czerwieniejąc. — A tobym tę chuchrę ostudziła!

— Była ci frajda, była! — chichotali chłopcy.

— To Józefiak znowu bez roboty? — spytała Kazia.

— Zwymyślał po pijanemu majstra, to go wyleli! Siedzi to zatracenie w stacji, na moją niedolę — odpowiedziała inna kobieta. — Paniusiu złocista, nie karzcie mnie i dzieci za niego!

— Zaraz tam do was wstąpię. A rządcą jest?

— Jest! — odparł stróż. — Ino Stasiak to już na Bródnie i Sobieskie gospodarz wyrzucił.

— Rządcą! — gwizdnął któryś z chłopaków.

— Zmykajcie! — zaśmiała się Kazia. — Dzieci, są tu jabłka, ale kto pacierza nie umie gładko, niech się na nie nie oblizuje. Ja się z rządcą rozmówię i zacznę egzamin od Anibrozików. Słyszysz, Wicek, o gołębiach nie myśl, radzę ci. Działwa pierchła, kobiety przypomniały, że śmiecia pełno na stacjach, śmiecia, o które „pani” zawsze wojuje, i uspokojone, że Opatrzność ich nie opuściła, wróciły do swych nor. Na podwórku zostali oboje Saniccy, stróż, Tomaszowa i zbliżył się ku nim garbaty, mały jegomość, którego Kazia pozdrowiła jak dobrze znajomego.

— Dzień dobry, panie Wierzbicki. Dobrze, żeście Sobieskich się pozbyli, zakała to była domu. A proszę o listę zaległości komornego.

Jegomość stanął przed nią, pocałował ją w rękę, a potem oczy zamknął, twarz mu się skurczyła, otworzył usta:

— Kwa, kwa, kwa! — wybełkotał krzywiąc się i zaciskając pięści z wysiłku.

Andrzej, który się całej scenie przyglądał zrazu trochę zgorszony, potem zdumiony, potem zaciekawiony, teraz poczuł taką potrzebę śmiechu, że parsknął tak szczerze, jak dawno się nie śmiał.

Kazia się obejrzała na niego i po jej twarzy latało drżenie nerwowe.

— *De grâce, ne me iaites pas perdre mon sérieux* — szepnęła prędko i zwróciła się do nieszczęsnego jąkały.

— Ja właśnie pamiętam o kwartale, panie Wierzbicki, i proszę o listę.

Ale niestety, każdy głuchy udaje, że słyszy; kulawy — rad by tańczyć, jąkała — nigdy nie traci nadziei, że będzie Demostenesem.

I Wierzbicki, zamiast od razu oddać listę, miał papier w rękę i znowu oczy zamknął.

— Go, go, go...

— Wiem, gospodarz dusi! — podpowiedziała Kazia.

— Ko, ko, ko...

— Komornikiem grozi. Dobrze, dobrze, dziś to załatwię i kto nie może naprawdę płacić, za tego panu oddam. Żegnaj pana tymczasem, bo muszę obejść swą czeladkę.

Pólgwałtem wzięła mu papier z ręki i skinęła na Tomaszowa i Andrzeja.

— Pa, pa, padam — bełkotał Wierzbicki.

— Padam do nóg — szepnęła śmiejąc się już swobodnie.

— Przeklęty jąkała! — mruzczała Tomaszowa. — Co nie dogada, to nadokucza. Do Anibrozików idziem, paniusiu? Dla Julki pewnie wazonik?

Skinęła głową, zwróciła się do Andrzeja.

— Ma pan już dość wizyty?

— Nie. Bawię się i — zaciekawia mnie to wszystko. Służę do końca.

— O, to dopiero początek.

— O — zauważyła poufale Tomaszowa — a ja myślałam, że to mąż pani.

— A dlaczegoż nie? — uśmiechnął się.

— No, bo nie, kiedy pani „pan” mówi.

— A co wam się zda, kim jestem?

— Jużci nic złego, bo nasza pani nie taka, jak to’ bywają. Z ciekawości pan przyjechał albo od „Kuriera”.

Kazia szła naprzód po stromych schodach i nic nie mówiła. Na każdym piętrze, we wszystkich drzwiach czatowali na nią ludzie, ale się nie naprzykrzali prośbą, nie

zatrzymywali. Wiedzieli, że nikogo nie minie, nikomu czasu nie poskapi. Patrzali tylko za nią, a w mieszkaniach rozlegało się zamiatanie i sprzątanie i głosy dziecinne powtarzające jedno przez drugie: „Pod Twoją obronę”, „Dziesięcioro”, „Wierzę”, „Aniele Boży”.

— Huncwoty, andrusy, jakie ci to na jabłka chciwe. A pod czas, to kijem nie nagnać do pacierza — mruzczała Tomaszowa.

Na drugim piętrze spotkali brodatego mężczyznę w obszarpanym paltocie, narzuconym tylko na ramiona. Schodził spiesznie. Zatrzymała go Kazia.

— Dzień dobry, panie Józefiak. Proszę chwilę zaczekać, bo mam do pana interes.

Mężczyzna przywarł plecami do ściany, nie patrzył na nią, twarz miał złowieszczą.

— Spieszno mi, nie mam czasu — mruknął.

— Pięć minut tylko. Mam wieści o Kurkowskim, parę książek dla pana i polecenie.

Drab nic nie rzekł, ale zawrócił i otworzył przed nią drzwi swego mieszkania. Izba to była zapchana dziećmi i gratami bez żadnej wartości. Na widok męża Józefiakowa zdumiała. Wyleciał zbuntowany i wściekły, odgrażając się „na panów”, wracał cichy i pokorny. Rzuciła się do Kazi, podała jej stołek jedyny, dla Andrzeja otarła fartuchem kuferek. Dzieci małe i duże obstały wnet Kazię, a ona gładząc je po twarzach i główkach mówiła do Józefiaka:

— Pan Twardowski pisze mi, że Kurkowski rzetelnie pracuje, zdrow i zadowolony. Mury fabryki już stoją, maszyny obstalowane tu w Warszawie i lada dzień będą wyprawione. Otóż proszę, żeby mi wyszukać pięciu zdolnych ślusarzy i wraz z maszynami wysłać. Pomyślałam tedy, że mi pan pomoże i doradzi. Ma pan pewnie kolegów dość rozwiniętych, żeby zrozumieli myśl pana Twardowskiego.

— To każdy, kto nie bydlę robocze, zrozumie.

— Więc mi pan takich, zarekomenduje. Wie pan warunki i przepisy?

— Wiem. Kto wolny i sam, to szczęśliwy.

— Pan tak mówi, jakby i tym swoim braciom zazdrościł. Chce pan, proszę jechać razem.

— Pewnie, a co z tym zrobić? Rentę im zostawię na życie czy potopię w Wiśle?

Wskazał na kupkę głów jasných u kolan Kazi.

— To już mój kłopot będzie.

— A, bo to prawda! Zresztą, co mają zebrać? Niech zdychają ze mną razem!

— Bajasz pan! Ja pierwsza im zebrać nie dam. Dla Władka i Stasia mam robotę, Anusia może już szyć się uczyć.

— A Hela może na guwernantkę? — szydził.

— Hela zostanie z matką niańczyć Jasia. Hela malutka, ale bardzo mądra — prawda? Pochyliła się do sześciolatniej dziewczynki, która najbliżej stojąc patrzyła jej w oczy, przekrzywiając główkę jak ptaszę.

Otworzyła torbę, wydobyła parę książek, które podała Józefiakowi, potem już więcej nań nie zważając, zwróciła się do kobiety.

— Tu jest dla Stacha kurtka i buty dla Władka. Wyszorujcie ich, matko, należycie i poślijcie z tą moją kartką na Ogrodową do pana Hilda. Dostyc chłopaki baki zbijali, trzeba wam na ludzi wyjść. Dla Anusi tu jest skrajana spódniczka i bluzka, zeszyjcie jej to, po niedzieli do szwalni ją zabiorę. A jakże tam komorne, węgiel jeszcze macie?

Józefiak stał, z książkami w garści, nieruchomy, ponury. Czapkę miał na głowie, palto na ramionach, po twarzy latały mu myśli bezładne, walka, bunt, wstyd, upór. I stał tak podczas całej rozmowy o kwestii życia i dachu tych piskląt, które swą nędzę jemu zawdzięczały i spod oka patrzył na Kazię.

Załatwiwszy kwestię bieżących potrzeb, zwróciła się do dzieci, twarz jej się rozjaśniła prawie dziecinną uciechą. Wzięła delikatnie za ucho Staśka i zawołała:

— A teraz bacność: „Ojczy nasz” zmówi Hela. „Zrowaś” Władek, a ty, gołębiarzu, „Wierzę”! Niech no mi się kto zmyli!

— „Ocie naś, którzy jeś!” — zaczęła świergotać Hela, zwracając się do obrazka Częstochowskiej.

Józefiak powoli sięgnął ręką, zdjął czapkę, Andrzej powstał z kuferka, chłopcy półgłosem szepetem wtórowali. Kazia patrzyła na ołowiane niebo za oknem i poruszała ustami, powtarzając serdecznie modlitwę. I była ta izba jak szary padół ziemi pracowitej i znoonej, na której zakwitł jakby złocień, ta kobieta — kwiat polny, a nad nią skowrończym świergotem unosiło się ku Bogu malutkiej Heli „Ojcie nasz”.

Za drzwiami czekała Tomaszowa i na głos pacierza zajrzała także. Józefiak się obejrzał i usunął.

— Wejdźcie — toć was nie zjem — mruknął.

Kazia rozdawała jabłka i serdeczne słowa, dzieci skakały z uciechy, dumne, że się żadne nie zmyliło, i wszystko zegnało ją, cisnęło się, coś jeszcze opowiadało i otoczona tą gromadką, wydostała się wreszcie na schody.

Józefiak skłonił się, wyciągnęła doń rękę.

— Liczę tedy na pana — rzekła.

Nic nie odpowiedział, obejrzał się, czy Tomaszowa nie patrzy, i pocałował jej rękę.

Poszli na strych.

Facjatka to była pełna zakamarków z oknami jak wyloty olbrzymich armat.

I tu było pełno ludzkiego mrowia i tu ciasno od sprzętów bez żadnej wartości.

Ambrozik, kaleka o jednej nodze, siedział u warsztatu stolarskiego i rzeźbił w dębinie. Stary jego ojciec mieścił się w kącie ze swą introligatorską prasą i narzędziami. Na ziemi siedział chłopak z ogromną głową, miną idioty i bawił się skrawkami papieru, a na łóżku leżała dziewczyna woskowo blada, suchotnica widocznie.

Ambrozikowa, matka, żona i opiekunka całej tej rodziny, powitała Kazię uśmiechem prawie wesołym.

— Paniusiu złocista, a toć nam się zdały wieki, żeście do nas nie zajrzeli. Myśleliśmy, nieszczęście jakie. Cośmy się z Julka namodliły! — Ociec, pani przyszła! — krzyknęła trącając na drugim łóżku leżącego mężczyznę.

Ten ociemniały był i głuchy zapewne, bo podniósł głowę i odparł kaszłąc:

— Coś, by kwiecie czuć.

— Gorzej mu? — rzekła Kazia podając chorej dziewczynie wazonik kwitnący.

Podeszła do warsztatu, przywitała rzeźbiarza, spytała starego introligatora o robotę, spytała o Wieka, czy nie spsocił co u majstra, o Kazika, czy mu się ręka zgoiła, dała jabłko idiotcie i wreszcie zawołała Andrzeja, by obejrzał rzeźbę.

— Śliczna robota — zdecydował szczerze.

— Udała mi się — uśmiechnął się uradowany Ambrozik. — To do ołtarza, proszę pana, do Kapucynów, cały dębowy będzie, to słupek około cyborium. Odpryskuje mi tylko, psiakrew, dębina.

— A nie klnij, poganinie — upominała żona. — A jeszcze o ołtarzu mówiąc.

Podawała zydelek Andrzejowi, spojrział nań uważnie. Był cały ślicznie, artystycznie rzeźbiony.

— I to wasza robota?

— A moja. To z tych czasów, kiedy tu jeszcze pani do nas nie wstąpiła. Nie było chleba, ledwie ze szpitala wyszedł, nuda i nędza żarła. Chłopcy coś niecoś zarabiali, ale nas tyle tu kalek. Ani się najeść, ani z głodu zdechnąć, a najgorzej nuda. Ja, panie, bez roboty — trup. Chory, słaby, kaleka, takiego ludzkie zdrowe popchną, podepcą i tyle. Aż tu raz Kazik mi przynosi kawałek olszyny, drugi raz kawałek, trzy ino dłutka miałem, ni warsztatu, ni żadnego narzędzia, bo wszystko szpital zjadł. Ani nie myśleli, że żyw zostanie. Nie śmiem pytać chłopca, skąd masz drzewo, rozumiem, że ukradł, jak przyzna się, trzeba go będzie sprać i kazać odnieść, a tu do tego drzewa ręce mi się trzęsą. Zacząłem robić, ‘jakby .mi

zdrowie i życie wróciło, ten ci zydelek jest. Żona mówi, że trzeba go do kościoła dać, bo grzeszny, ale jak na niego patrzę, to mi się zda, że prędzej rękę dam sobie uciąć.

— Ręki waszej szkoda ucinać, śliczne te wasze roboty, nie rzemieślnicze.

— Jeszcze ja nie tak umiem. Matko — pokażcie panu skrzynkę.

Kobieta dobyła z kuferka mały przedmiot i przez fartuch podała go szepcząc:

— Ino by pani nie dojrzała, bo to dla niej on to dłubie nocami. Dla pani, co ją nam Bóg dał jako swego Anioła Stróża. To pańska żona. Oj, łaskę pan ma u Pana Jezusa, musiała panu taką żonę matka wymodlić, wypościć. Musi ją też pan miłować, miłować jak duszę. Dajże wam, Boże, jasną dolę i zdrowie, i dziatki piękne i jako ona złociste! Józef, opowiedz panu, jako to było z nami.

— Ano, jak pan widzi, tylko ja nie miał warsztatu, ojciec prasy, Julka i teść łózek, Wicek butów, żeby na robotę iść, i co dzień „pykawy” kwakał i kukał, a ziąb był, a głód! Ot, co było, a ot, temu trzy miesiące. Wicek boso poszedł zebrać, co było robić, no i patrzajcie: Wicek wrócił kareta z panią. Obejrzała nas, pogadała mało-wiele i w mig postawiła nas na nogi. Za czym od nas do innych poszła. Tak-ci Wicek dla całej posesji Opatrzność przywiózł. Kareta, bestia, przywiózł!

I zaśmiał się serdecznie Ambrozik i ze śmiechu tego oczy mu zwilgotniały, że je rękawem musiał obetrzeć.

Andrzej obejrzał się na Kazię. Siedziała na łóżku suchotnicy i rozmawiała z nią. Poczula jego wzrok i powstała, zaczęła się żegnać. Tomaszowa zabrała książki oprawione i wyszli, żegnani błogosławieństwem.

— Nieprawda, że to niepospolity artysta i zdrowe, dobre dusze mają wszyscy — rzekła schodząc na dół. — Mój Boże, bogaci czuliby się najnieszczęśliwsi, obarczeni tyłu chorobami i kalectwami, bluźniliby i wyrzekali. Ja Ambrozików tak lubię serdecznie. — Im się zdaje, że ich wspieram, a to oni mnie krzepią i są mi dobroczyńcami.

I szli dalej, z piętra na piętro, od nędzy do nędzy, od starości bezsilnej do młodości bez opieki i kierunku, od choroby bez środków leczenia do nałogów nabranych w rozpacz, wśród bezrobocia i złych instynktów, zrodzonych z głodu i brudu, i buntu biedy, ocierającej się co chwila o zbytek, i apatii, i zezwierzęcenia, i cynizmu.

Gdy obeszli całą prawie posesję, Andrzejowi się zdało, że jak Dante piekło i czyściec zwiedził.

U Tomaszowej, żony dorożkarza, zakończyli. Tam też Wierzbicki otrzymał swą listę z notatkami Kazi i pieniądze.

Wytrząsnęła całą sakiewkę, zliczyła, zmieszała się i rzekła do męża po francusku:

— Pożycz mi pan piętnaście rubli do jutra?

— *Prenez tout* — rzekł wysypując garść złota.

— Olaboga — ile tego — splasnęła rękami Tomaszowa.

— „Cóż? Teraz uwierzycie, żem mąż pani — zaśmiał się.

— A właśnie, że nie. Dałby ci ta mąż żonie tak zaraz! Oho, prawda, obziera się to o każdy grosz, a na hulankę to go zawsze stać!

Kazia porachowała złoto, schowała je i pożegnała Wierzbickiego.

— Pa, pa-padam! — gonilo za nimi.

Wsiedli do karety, torba była pusta, konie ruszyły ostro, znudzone czekaniem.

— Przeklina pan w duchu swoją ofiarność. Nie było ani szczególnej przykrości, ani przyjemności, nuda, zaduch, brud, przymus.

— I to w ten sposób spędza pani dni całe?

— Mniej więcej. W tej mojej kamienicy bywam raz na tydzień, resztę pracuję z Ramszycową. Ona ma szwalnię, ochronę, lecznicę, przytułek dla dziewcząt upadłych i rekonwalescentów, co dzień rano zgłasza się do niej rzesza biedaków, których potrzeby należy sprawdzać. Jest co robić.

— A wczoraj wieczór omal ci biedacy i protegowani nie zostali bez opieki. Chciała pani wszystko rzucić.

— Nie rzuciłabym ich dla fantazji lub zniechęcenia. Mój Boże, żeby nie oni, czy byłabym tu dotychczas? Dali mi cel, pracę, myśl, zajęcie, wszystko co zdrowe i silne.

Wjechali na Marszałkowską.

— Oni to mój świat, a to — jest, było i pozostanie mi cudze i najcięższym obowiązkiem.

Spojrzała na zegarek i zatrzymała Walentego.

— Ja tu wysiądę. Mam sprawunki dla domu na dzisiejsze przyjęcie. Dziękuję panu.

Wyskoczyła, skinęła mu głową i weszła do sklepu, powóz ruszył.

Przed ich domem ujrzał Andrzej Radlicza, który na niego czekał.

— Co to? Nie w Grodzisku? — spytał po przywitaniu.

— Downar mnie nastraszył. „Kazał się szanować.

— I gadają ludzie, że cię widziano z żoną na mieście.

— Czy mi nie wolno?

— Ano, nie, bo nie wiedzą, co to znaczy.

— Znaczy, zem był z wizytą u teścia. Mam dość hec z ojcem i kwasów domowych. Chodź na górę, ale cię uprzedzam, że swego „Wrzosa” nie będziesz oglądać. Chyba zostaniesz na obiad.

— To zostanę, jeśli zaprosisz.

— Takeś stęskniony jej widoku? — zaśmiał się Andrzej.

— No, wolałbym więcej jak widok, ale uczę się małym zadowolniać.

Weszli do gabinetu Andrzeja, rozłożyli się wygodnie, zapalili papierosy.

— Barańska leci na ciebie — rzekł. — Dowiaduje się, kiedy do niej przyjdiesz. Co, ładna bestia?

— Ładna, tylko ordynarna i głupia jak karp. Nie lubię takich.

— To trudno. Takiej Celiny niełatwo znajdziesz. Było się nie żenić, miałbyś dotąd.

— Myślisz? Ja wątpię, dowiedziałem się wczoraj wielu rzeczy od Markhama. Maks już tam był od roku, tylko ja byłem ślepy. Ostatecznie powiem ci szczerze, odpadła mnie chęć zmywania jednego szalu drugim, odurzania się, by zapomnieć. Żałuję swej rozpacz, bólu, żalu dla takiej podłości i fałszu. Chcę odpocząć i zapomnieć. Zmęczony jestem.

Radlicz spojrzał nań uważnie. Wydał mu się zmieniony, zamyślony, poważny i spokojny.

— Wyglądasz na kandydata do rekolekcji i spowiedzi — roześmiał się.

— Może znasz amatora na mieszkanie Celiny?

— Młody Goldmark je weźmie dla Klary. Co chcesz za całe urządzenie?

— Dwa tysiące, byle się pozbyć.

— Chodźmy po obiedzie do teatru, spotkamy Goldmarka.

— Dziś u nas fiks. Nie mogę.

— Nie możesz opuścić fiksu u siebie? Człowieku, ty dążysz do samobójstwa, ty gotoweś się zakochać w żonie.

— W czyjej?

— No, w swojej! Andrzej ramionami ruszył.

— Wszystkich po sobie sądzisz — odparł i zadzwonił.

— Pani wróciła? — spytał lokaja.

— Wróciła.

— Powiedz, że pan Radlicz będzie na obiedzie. Rozmawiali dalej, a po chwili Andrzej spytał:

— Jakże się skończyło z tym twoim *Wrzosem*? Sprzedałeś Kołockiemu?

— Nie. Przestał mnie napastować, zapomniał.

— Zrobił swoje. Dużo hałasu, skandalik, kompromitacja kobiety, i poszedł dalej. Wyobrażał sobie, że mnie dokuczy. Źle trafił.

Radlicz pomyślał, że i jemu się nie udało. Andrzej nie był na żonę zbuntowany, nie odgrażał się, do domu przyrósł był jakby gotów. Czymże go zjednała?

Lokaj oznajmił obiad. Radlicz zajął miejsce obok Kazi i badawczo jej się przyglądał. Ale twarz jej była jak zwykle pogodna i spokojna, zachowanie swobodne.

— Czy ta kobieta jest z lodu czy gutaperki? — pomyślał z głuchą złością i chęcią, by jej dokuczyć, wyprowadzić z tego spokoju.

— Słyszałem, że z zakładu protegowanych Ramszy—cowej uciekło, siedem panienek — rzekł. — Będą panie miały nie lada kłopot z odnalezieniem tych zbłąkanych owieczek.

— Wcale sobie tego kłopotu nie zadamy. Gwałtem się nie rekrutuje i gwałtem się nie zatrzymuje.

— Więc to jest zakład istotnie filantropijny? Biedaczki tam restaurują siły i mają utrzymanie w razie stagnacji w interesie.

— Chociażby — odparła spokojnie. — Chore psy i konie mają też przytułek. Zresztą co do ucieczki owych siedmiu, musiał to pan słyszeć od Wolskich, bo to nieprawda. Kto się z piekła chciał wydostać i wydostał, ten nie wraca.

— Wolskie dziś pewnie będą z narzeczonym — mruknął prezes.

— Niech no on mnie spyta o posag, odpłacę im za wszystko — rzekł zajadle Andrzej.

— Czyś oszalał? — zaśmiał się Radlicz — gotów zerwać, a wtedy nie osy będą, ale szerszenie. Ten człowiek wart pomnika obok Zygmunta. Urwie jeden łeb hydrze.

— Żeby tak jeszcze kto tobie łeb urwał — zaśmiał się prezes.

— To jednak dziwne — ozwała się Kazia. — Nie ma dwóch zdań o Wolskich. Każdy je ma za plotkarki i oburza się, ale każdy słucha ich plotek, powtarza i każdy ich się boi, i każdy ich przyjmuje.

— Ciekawym, co innego zrobić, kiedy ich nie można powywieszać? — odparł Andrzej.

— Zgotować duży kocioł wrzątku, najać nad nimi mieszkanie i zalać — zdecydował z całą powagą Radlicz. — Ręczę, że na taki wypadek nie ma paragrafu w karnym kodeksie.

— Ale nie ma też paragrafu na plotki i fałszywe nowinki.

— Nie, to jest kunszt. Szekspir powiada: „Farbiarska sztuka niczym jest wobec sztuki czernienia cnoty” — dodała Kazia poważnie.

Obiad się skończył, przeszli do salonu na kawę.

— Dużo osób się spodziewasz? — spytał prezes.

— Około trzydziestu.

— Wyobrażam sobie, co by to był gdzie indziej za rejwach. A ty ani dbasz, ani się kłopotcesz.

— Ale za to kłopotę się za mnie ciocia Dąbrowska. Co tydzień w przeddzień wpada i biada godzinę; jak ty dasz rady! A ja właśnie daję radę, bo mi nikt w zarządzie nie pomaga, ani się wtrąca. Was dwóch, to jakby jeszcze dwóch gości, ani mnie musztrujecie przedtem, ani krytykujecie potem.

— No, ja Bogu dziękuję, że sam nic nie obrywam — rzekł Andrzej z uśmiechem.

— Co prawda, czasem nawet warto — uśmiechnęła się i wyszła do jadalni. Radlicz wstał także.

— Zostań — rzekł Andrzej. — Niech cię Wolskie tu zobaczą i niech się wściekną.

— Albo jeszcze więcej rozplotą — mruknął prezes. — Dałem za dwa tysiące prezentów i co to pomogło.

— Kaziu — zawołał Andrzej — czy Radlicz ma zostać, czy nie?

— Naturalnie zostać, jeśli chce — odpowiedziała swobodnie.

— A będę miał z kim flirtować?

— Wśród kilkunastu pań chyba znaleźć kogo nietrudno.

Radlicz został. O ósmej sakramentalnie pierwszy dzwonek się odezwał, a w pół godziny potem salon i gabinet były pełne. Nikt nie skrewił. Za wiele mówiono o młodych Sanickich ostatnimi czasy, aby ktokolwiek nie przyszedł osobiście się przekonać, co się stało.

Ale ciekawość nie miała pastwy. Andrzej nie wyglądał na desperata. Przeciwnie, był jak rzadko wesół i uprzejmy, prezes promieniał, Kazia, w bardzo ładnej, eleganckiej tualecie, bawiła gości, uśmiechała się, opowiadała o chorobie macochy, wypytywała o brukowe nowinki.

Ostatnia, jak zwykle, przyszła Dębska. Spytała z przyzwyczajenia: „nie ma tu Julka?“, i nie czekając odpowiedzi wpadła do salonu, zaczęła witać na prawo i na lewo i dożeglowawszy wreszcie do wolnego fotelu zawołała:

— Wiecie pewnie od Kazi ostatnią nowinę?

— Ode mnie?

— No, przecie to się stało nad tobą, na drugim piętrze — Downarowie się rozeszli.

— Et, brednie. Zaraz tu będą oboje.

— Nie będą! Ona jest u Orzelskich. To fakt.

— To było do przewidzenia — zdecydowała tajemniczo mama Wolska.

— Żeby kobiety miały charakter, każda powinna to uczynić — zawołała profesorowa Kęcka, sławna z tego, że mężowi zostawiła władzę i głos tylko na wykładach.

— Ach, jak by to dobrze było! — westchnął Radlicz.

— A pan co o tym może decydować? — oburzyła się Dębska.

— Jak to? Mogę! Czy jest istota bardziej zawadzająca jak mąż?

Dzwonek. Po chwili do salonu wszedł Downar.

— Aha! sam! — szepnęła Tunia triumfująco.

— Idealnie, tylko ja Downarową ustąpię innemu! — dodał szyderczo Radlicz.

Wszystkie panie utkwili wzrok w nowo przybyłym, a on się witał powoli, zatrzymywany wciąż.

— A gdzież pani? — spytała Tunia nareszcie.

— Trochę niedzrowa — odparł obojętnie i poszedł dalej.

— Jak ten niedźwiedź umie jednakże blagować.

— I pomyśleć, że w jego wieku i na jego stanowisku jeszcze sobie pozwala — dorzuciła Wolska.

— Co chcieć! Wiadomy ateusz! — westchnęła stara Markhamowa.

Towarzystwo było w komplecie. Starsze panie skupiły się około kanapy, panowie młodszy bawili młode mężatki i panny, w gabinecie prezesa już wint kwitł. Kazia przesuwiała się od grupy do grupy, a ciocia Dąbrowska, patrząc na nią tak swobodną, drżała z niepokoju o kolację.

Rozmowy były rozbite, swoboda zupełna, gwar rósł, mieszał się z dźwiękami fortepianu, wybuchał niekiedy kaskadą śmiechów, sprzeczką graczy przy wintowych stolikach.

W jednym kącie zebrała się gromadka mężczyzn nie winciarzy. Był tam Szpanowski, Feliks Sanicki, Downar, profesor Kęcki. Ci debatowali nad społecznymi kwestiami, reszta towarzystwa bawiła się kosztem bliźnich lub flirtem.

Kazia, której obowiązki gospodyni nie pozwalały zająć się czymś lub kimś wyłącznie, spoglądała tylko czasami ku ojcu i uśmiechała się doń z daleka, a on był pełen zadowolenia i szczęścia, że ją widzi wesolą, panią tych zbytków i przepychu, kochaną i szanowaną.

Ani przeczuwał pocziwiec, ile pod tym blaskiem i świetnością było gorczy, ile w jej pogodzie i spokoju było przymusu i męki.

Radlicz flirtował zawzięcie i obserwował Andrzeja, który był w świetnym humorze, bawił panie, śmiał się i dowcipkował, i wodził oczami za żoną.

I Kazia spotkała go też w jadalni, gdzie wyszła na chwilę z jakimś poleceniem do służby.

— Służę dziś jak pocztowy koń — rzekł z uśmiechem, szukając syfonu na bufecie. — Rana mnie piecze, pić mi się chce, głowa boli, ludzie mnie zanudzają. I pytam, po co to wszystko?

— Dla bóstwa, które się światem nazywa — odparła podając mu szklanę i syfon.

— No nie, dla świata bym się tyle nie fatygował. Chciałem dziś pani dogodzić.

— I dogodził pan. Dziękuję. Ojciec taki szczęśliwy.

— Zawsze ojciec, tylko ojciec. A pani?

— Ja dziękuję!

— Niewiele pani zużywa zapachu na wdzięczność. Odwróciła oczy zmieszana.

— Nie mogę, nie umiem inaczej — szepnęła.

— Względem mnie szczególnie — zachnął się.

— Kaziu — rozległ się za nimi głos Dębskiej.

— Zaproponuj śpiew Jadzi Wolskiej. Mama Wolska aż kipi, żeby się dziewczę zaprodukowało. Co, to ty tu z mężem flirtujesz? Winszuję.

— A pani ją posądziła o kogo?

— No, chociażby o Bukowieckiego! Ale, panie Andrzeju, czy ten rejent Iwicki przyrósł do winta?

— Przeplancować go do panny Zofii? Zaraz.

— Przepraszam, że wam przeszkodziłam. Kazia wyszła do salonu, więc Dębska dodała:

— Zaczynam mieć nadzieję, że będzie jeszcze z pana porządny człowiek. Nawraca się pan, to dobrze. Ma pan szczęście, że pan na taką kobietę natrafił, inna dawno by pana porzuciła.

— Tak, inna, która by umiała kochać lub nienawidzić, która by miała krew i nerwy. Ale ta! — Ruszył ramionami.

— Nie kocha pana, nie szaleje! Dziwna rzecz, tyłeś pan uczynił, by ją zjednać i zdobyć! — Zaśmiała się ironicznie.

Z salonu rozległ się śpiew. Jadzia Wolska męczyła *Asrę* Rubinsteina. Dębska zatkała uszy.

— Rany Boskie! Czemu to dziewczę nie haftuje, nie maluje, nie robi koronek! — syknęła rozpacznie.

— Dla Bukowieckiego i to dobre — zaśmiał się.

— Kazia ślicznie to śpiewa — słyszał pan?

— Kazia śpiewa? Nie wiem nawet — zdziwił się.

Wyszli do towarzystwa, przyłączyli się do oklasków i do próśb o „jeszcze cośkolwiek”.

— Doprawdy nie mogę! Nie jestem przy głosie. Fatalna akustyka w tym salonie — broniło się dość miękko „dziewczę”.

— Oj, co tam! Dobrze i tak! Niech pani rżnie — zdecydował Bukowiecki. — Toć kupę nut pani przyniosła.

— Nie mogę sama akompaniować.

— To ja służę — ofiarowała się Kazia.

— I ja bym mógł — mruknął Radlicz złośliwie. Przyniesiono nuty. Za grzechy żywota pokutował z kolei Moniuszko; odśpiewało dziewczę *Pieśń wieczorną*.

— I ciekawość, po co to się drze! — rzekł Downar do Szpanowskiego. — A córka pana jak skowronek śpiewa i musi temu akompaniować.

Po kątach drwiono i krytykowano, ale przy fortepianie rozlegały się pochwały i podziękowania, czym podniecona artystka wykonała jeszcze jakąś włoską barkarolę i oznajmiła, że jest wyczerpana i że za wiele dymu jest w pokoju, co fatalnie na głos wpływa.

Kazia wstała od fortepianu, gwar powstał i nikt prócz niej nie słyszał mruczenia Radlicza:

— Jeśli dym na ten głos szkodzi, powiesić ją co rychlej w wędzarni. I jak pani może tym fałszom wiórować! To kunszt dopiero!

— Fałsze słyszę od rana do nocy. Można do tego tu nawyknąć.

Lokaje oznajmili kolację, powstał ruch ogólny, zamieszanie chwilowe, szukanie dam do par i przejście do jadalni. Ciocia Dąbrowska ożyła.

Stół był zastawiony elegancko, pełno kwiatów, kryształów, mnóstwo apetycznych zakąsek.

— Co za śliwki! I o tej porze! Ciekawam, co kosztują, Torty za skromne. Muszę Kazi zrobić uwagę na drugi raz. Ale co będzie z bażantami! Ona zawsze lekceważy majonez. Tylko ma talent służbę wymusztrować. Co prawda, to prawda.

Umiała też Kazia dobrać pary, przyznały to matki panien na wydaniu, nawet Wolska, widząc obok córek dwóch dawnych kolegów Andrzeja, i stara Zaleska, spostrzegłszy rejenta Iwickiego przy Zośce. Markhamowa stara dostała prałata Bełwickiego i siedziała na pierwszym miejscu. Dębska miała Radlicza. Na szarym końcu, komenderując wzrokiem służbie, siedziała Kazia z Downarem.

— Otóż i nasze wtorki przepadną — rzekł do niej.

— O, jak mi ich serdecznie żal.

— Bo czy taki tłok może być przyjemnością mruknął. — Na biesiadzie, mawiali starożytni, nie powinno być ucztujących mniej jak Gracji i więcej jak Muz. Gromadą ucztują tylko barbarzyńcy. Na te stracone wtorki przyjdę do pani, jeśli wolno. Zagra pani i zaśpiewa dla odyńca. Sam będę jakiś czas zapewne.

— Żona pańska wyjechała?

— Uhm — wyjechała. — Gadają już pewnie, że na zawsze, ale wróci.

Mówił to bez zapału i bez troski.

— Wróci, bo się zaturbuje o domy i kapitały. Wie, że ja tym nie będę się zajmować. Już parę razy wyjeżdżała. Głupstwo.

Umilkł na chwilę i dodał jakby do siebie:

— Postawili Mickiewiczowi pomnik. A ja nie dałem grosza. Głupiec był! Litwin czysty — i napisał *Trzech budrysów*. Za to, bodaj mu w piekle Łaszki służyły!

— Profesor zatem i Jagiełły w sercu nie nosi?

— Jagiełło odpokutował za życia. Kolega! Zresztą może nie śmieli z niego w oczy drwić koroniarze, kupę Litwy za sobą miał. A że go żona nie cierpiała i lekceważyła, za to ją świętą omal nie zrobili. Poświęciła się, Litwina poślubiła, żywcem na męki się dała, nieboraczka. Wiarę mu dała, koronę mu dała, furda przy tym szczęście.

— Co to? Chirurg w historyka się bawi? — zagadnął opodal siedzący profesor Kęcki.

— Ot, coś się zgadało — mruknął Downar i umilkł.

— Nie bawcie się, doktorzy, historią, bo podobno cholera jest w Warszawie — rzekł stary Markham.

— Dlaczego by nie była? Gdzie ośm dziesiątych ludności źle się odżywia, źle mieszka i źle się odziewa, tam musi być brud, głód i choroby.

— A jednak ta nędza miejska ma urok, bo gromadami zmykają ze wsi — rzekł Szpanowski.

— Miliony dajemy na dobroczynność, ale bieda się mnoży przerażająco — westchnęła Markhamowa.

— Taka to i dobroczynność.

— Co? Pan twierdzi, że Warszawa mało robi dla ubogich i potrzebujących pomocy?

— Wiele robi, bo tworzy tych ubogich i potrzebujących. Gdzie jest żebrak, to dowód, że znajduje się taki, co za wiele ma. Zuchwały i silny kradnie, słaby i nikczemny żebrze, i tak być musi, bo jest u kogo kraść i u kogo żebrać.

— Boże, jaki ten Downar nudny — szepnęła Tunia do Radlicza. — Na raucie jeszcze o chorobach prawi.

Tu się Bukowiecki odezwał.

— U nas pod Kamieńcem, w cukrowni u Markusa Lewi, zbuntowali się robotnicy, zatłukli pisarza. A prowodyra widziałem na „wogzalu” w kajdanach.

— O! A Wołodyjowskiego pan też pewnie widział rzekł z miną naiwną Radlicz.

— Nie, nie znam tego! — odparł bałagula.

— To pan kawał czasu przespał!

Niektórzy tłumili śmiech, narzeczona spąsowiała, mama Wolska spojrzała piorunująco na malarza, sekunda ciszy, którą przerwał głos paniński z drugiego końca stołu:

— Pan się na tym nie zna. Suknie „cloche” już wychodzą z mody.

— Co? Kto ci mówił? — podchwyciła Dębska.

— U Hersego. Mają już fasony nowe z Paryżu.

Rozmowa rozbiła się znowu na pary, tematy i złała się w gwar i szum, coraz żywszy, w miarę spożytych delikatesów i spełnionych kieliszków.

Nareszcie ruszono od stołu. Panowie się ulotnili im cygara i papierosy, w salonie damy zabawiały się dość sennie, pozbawione męskiego elementu. Panienki spacerowały po kilka pod rękę lub udawały, że przeglądają ilustracje.

Był to dla gospodyni najcięższy moment, toteż Kaziu po chwili zajrzała do gabinetu i spojrzała błagalnie na męża.

Zrozumiał ją, rzucił papierosa i jął wyciągać młodszych panów.

Ożywiła się atmosfera w salonie. Opadnięto Radiu za prosząc o deklamację. Po kątach flirtowano w przyspieszonym tempie, starsze panie, syte nowin i wrażeń kulinarnych, marzyły o odwrocie, radcowie żwawiej kończyli robry.

Nareszcie około północy gremialny odwrót, pożegnanie, uściski, trochę zamieszania w przedpokoju z kaloszami i damskimi kapeluszami, „moje uszanowanie”, „do miłego widzenia”, „jakże nam było przyjemnie”, „prosimy o nas nie zapominać”, „całuję rączki”, „dobranoc” — i za ostatnim gościem zamknęły się drzwi.

Na schodach jeszcze żywe rozmowy, w bramie chwila mitręgi ze stróżem i „dyskami” i fala gości wylała się na ulicę do czekających karet, dorożek lub na piechotę do domu.

— Uf! — odsapnął Andrzej, rozpinając tużurek i rzucając się na fotel. — Jakbym cepem machał, takim zmęczony! To wynalazek idiotyczny.

— Trudno, kto bywa, musi przyjmować! — zdecydował prezes. — Ja miałem bardzo porządną partię, wygrałem siedemnaście rubli.

— Powinien je ojciec oddać Kazi za fatygę albo mnie za piękną reprezentację.

Mówił to umyślnie, bo znał dziwactwo starego, że o ile w wydatkach był szeroki, o tyle wygrane w karty ruble dusił jak sknera.

Prezes udał, że nie słyszy.

— Ogromnie mi się pić chce. Córku — dostanę filiżankę herbaty z cytryną?

Kazia, zajęta porządkami w jadalni, odpowiedziała spieszenie: dostanie tatko — i dalej gospodarzyła.

— Mogłabyś spocząć nareszcie! — zawołał niecierpliwie Andrzej. — Cała ta gromada gości krytykuje nas teraz i wiesza, a my mamy ich oszczędzać.

— Co mają krytykować. Przyjęcie było porządne, bawili się doskonale.

Kazia przyniosła mu sama herbatę, zatrzymał ją za rękę, spojrzał serdecznie.

— Takaś bledziutka i mizerna. Zmęczone dziecko. Siądź tu przy starym, cały dzień gdzieś latasz, wcale cię nie widziałem dzisiaj. Masz — dam ci coś dla twej hołoty! Złóż rączki.

I wysypał jej na dłonie całych siedemnaście rubli, wygranych w winta.

Andrzej wybuchnął śmiechem.

— Świat się kończy czy ojciec ma gorączkę? Spojrzał zdziwiony pytająco.

— Jeszcze nikt nigdy w życiu nie dostał od ojca tych pieniędzy.

— Bom nie miał w życiu prawdziwego dziecka, to jest córki! Tobie miałem dawać może? Miałeś i tak za wiele na gałgaństwa i głupstwa. No, usiądź córku, pogawędź ze starym. Dobry dziś dzień, mogłabyś się do mnie uśmiechnąć i nawet pocałować na podziękowanie.

— Wszystko, co tatuś chce! — uśmiechnęła się, objęto go za szyję, ucałowała. Dziękuję za grosze, bardzo w porę przyszły, bo siedzę w długach.

— Pewnie u Salomona Pipermenta na lichwie?

— Tak źle jeszcze nie, honorowy dług u męża.

— Ja żonie daję, a nie pożyczam.

— Widzisz, podziękuj i jemu. Twoje drapichrusty będą rychło rentę miały. A ty, Jędek, nie chcesz herbaty?

— Herbaty? — powtórzył budząc się z chwilowej zadumy Andrzej. — Nie, herbaty nie chcę.

— Myślę, o tych ludziach, co tu dziś byli, śmieli sit;, dysputowali, bawili. Czy też który był szczery?

— Był z pewnością jeden. Doktor Downar.

— Dlatego go sobie wybrała do kolacji.

— Tak. To moja flamma jedyna, prawdziwa, o którą właśnie nikt mnie nie posądzi.

— Masz słabość do doktorów widocznie. Zmarszczyła na sekundę brwi i nic nie odpowiedziała, zwróciła się do teścia.

— Tatuś jutro użyje mego towarzystwa. Dziś zmykdm, czeka mnie jeszcze po tej bitwie obrachunek potłuczonego szkła i porcelany, kwestia intendenty. Dobranoc.

Pocałowała go i wyszła do jadalni.

— Dziękuję Bogu — wygraliśmy — rzekł cicho prezes do syna. — Uspokoila się i zostanie. W jakim ja strachu byłem wczoraj; wygląda cicha i słodka, ale to cicha woda. Byłem pewny, że wszystko przepadnie, że wyjedzie. Zlituj się, oszczędzaj ją.

Andrzej milczał.

— Ja bym bez niej żyć nie potrafił. A żebyś wiedział, jak pomimo wszystko zazdroszczą jej nam.

— No, mnie nie mają czego ani ja sam tak bardzo mym losem nie zachwycam się. Ano, mniejsza. Potrzebuję spokoju i dlatego ustępuję. Dobranoc ojcu.

A tymczasem goście, nakarmieni i zabawieni, wracali do domu i streszczali wrażenia wieczoru.

— Budujący wpływ ma Downar na Sanicką — mówiła Markhamowa do drzemiącego w karecie męża. — Toć podobno oboje należą do kliki tego maniaka Twardowskiego, co zakłada falanstery na Kaukazie, i ona wcale prawie nie uczęszcza na nasze sesje, a poleczone jej rodziny ubogie dotąd nie były u spowiedzi. A kto ją wie, może i sama” nie bywa? Co człowiek znieść musi dla miłości bliźniego! Muszę ją oszczędzać, bo zupełnie zawojowała prezesa. Zaczepić ją, to stary zamknie kasę dla nas.

— Jaką on wynalazł gdańską szafę! — zamruczał sennie Markham.

— Suknia Sanickiej pewnie kosztowała paręset rubli — mówiła zawistnie Mania Wolska.

— A co jej to szkodzi? Za swoje nie kupiła! Takie nędzarki, jak złapią bogatego męża, tracą i marnują tysiące jak plewy.

— Zresztą musi się ładnie ubrać do Radlicza. A ten Andrzej ślepy, głupi, bezceństwo takie toleruje we własnym domu.

— No, i Radlicz skończony szubrawiec.

— Andrzej z nim hula, on nie cierpi tej klepy. Rad, że jej nie potrzebuje pilnować. To plotki o tym pojedynku. Celina wróciła, tylko zmieniła mieszkanie, bo prezes tego wymagał.

— Kazia zeszkapiała — mówiono w kompanii Dębskiej. — No, i Radlicz ją neglizuje już.

— Ona nigdy furory nie robi. Nikła jest, bez życia. Za parę lat świeżość straci i będzie kompletnie bez uroku i wdzięku.

— Ta dużo w życiu nie użyje. Nie ma temperamentu, nie będzie się podobać.

— No, jakoś stary pospędzał do kupy swą trzódkę, Andrzej był wyjątkowo uprzejmy, ciekawym, czy długo z nim będzie spokój — mówił Feliks Sanicki do żony.

— Wątpię, ona dla niego za poważna i delikatna. Za młoda. Żeby mieli dziecko — odparła pani.

— Wyśmienite były te kapary. Nie wiesz? kupne? — pytał Dąbrowski, człapiąc piechotą na Chmielną.

— Nie miałam czasu spytać Kazi. Pewnie kupne. Ale majonez u nas lepszy. Bażanty trochę wysuszyli. I torty nieoptyczne. Zresztą udało się. Ale ja zawsze jedno powiem, ona za wiele rachuje na służbę, lekceważy i ryzykuje. Uda się sto razy, a potem może być nieszczęście. Dobrze, że oni bogaci, ale ona powinna bardziej serio traktować swe obowiązki. Kiedyś pożałuje.

— Ten gałgan w niej się zakocha! Jest na tej drodze, a ona mu wszystko wybaczy, daruje. O naturo, coś stworzyła kobietę, ileś na to zużyła skrawków kwiatów, gwiazd i piasku! A coś nam kazała to kochać, ileś nam w łby nakładła cielęcego mózgu! Kopnąłbym cię i plunął, żebyś nie siedziała we mnie — monologował Radlicz, wyglądając, w której knajpie jeszcze się świeci.

Downar był już u siebie samowładnym władcą mieszkania. Ten jeden nie krytykował ani myślał o raucie. Zapalił lampę w salonie, otworzył fortepian, uśmiechnął się sam do siebie i począł przebierać jedną ręką po klawiszach, potem zaśpiewał: *Lietuwninkaj mes esam gime*, jakby był na Smolnej. Mścił w ten sposób dolę Jagiełły i Budrysów.

X

Karnawał był tego roku krótki, więc niezwykle ożywiony, zima zaś była niezwykle ostra, więc węgiel zdrożał. Gazety pełne były sprawozdań z balów i nawoływań o wsparcie, więc tańczono i flirtowano na dobroczynność, na przytułki, na ochrony.

Balowały sfery najwyższe i najniższe, ruch był w mieście olbrzymi, a wieczorem nie było prawie kamienicy, w której by nie tańczono.

Pewnego dnia po południu Kazia zjawiała się w poczekalni u Downara i przerażona tłumem pacjentów, chciała się cofnąć, ale ją lokaj zatrzymał.

— Pani raczy przejść do gabinetu. Pan profesor zaraz wyjdzie. Zamelduję, skoro ten numer się ułatwi.

— Dobrze, bo mam pilny interes. Nie czekała długo.

— Proszę wybaczyć, profesorze, moje natręctwo, ale tylko parę słów...

— A niech i godzinę. Odsapnę i ja.

— Pani nie ma?

— I... i... i... — dawno wróciła, jeszcze przed Nowym Rokiem. Jak te przekłete gazety roztrąbiły mój dar na szpital, zaraz wróciła, jak mówi, resztę ratować. No, cóż tam u pani słyszać? Zle pani wygląda.

— Przepracowana jestem. Karnawał. Odbyłam już siedem balów, czeka mnie jeszcze pięć! Uf!

— Pani to lubi?

— Ja? — zachnęła się. — Nie rozumiem, jak można bawić się dlatego, że karnawał, lub smucić się dlatego, że post. Ale mąż i teść sobie tego życzą, tak wypada, nie można się wyróżniać, bo co sobie ludzie pomyślą. Prowadzimy dom otwarty, musimy bywać i bawić się.

— Ano tak — rzekł poważnie Downar. — *Es erben sich Gesetz und Rechte, wie eine ewige Krankheit fort.*

— A tu mam tyle biedy! Pani Ramszycowa zostawiła mnie na swym stanowisku, miała mi pomagać pani Rudnicka i pomagała do karnawału. Teraz wprawdzie nie bywa na balach, ale zupełnie mnie opuściła.

— Pewnie, bo się o nią stara młody Goldmark.

— Ej, może to plotki. Mniejsza zresztą, ale zostałam sama do roboty, a tu straszny tyfus panuje. U mnie, na Pańskiej, miałam siedmiu chorych, a najciężej było u Józeilaków. Wie profesor, on pojechał do Twardowskiego, zostawił rodzinę pod moją opieką. Zachorowała matka tego drobiazgu i najmłodsza dziewczynka, moja faworytka, malutka Hela. Miałam ciężkie parę tygodni, ale wyszły obie.

Uśmiechnęła się radośnie, a on spojrzał na nią, w twardych jego rysach mignęło rozczulenie.

— Niechże się pani starannie dezynfekuje i bierze trochę chininy jako prezerwatywę.

— Nic mi nie będzie. Żeby się łatwo zarażało, gdzie by byli lekarze. Ale to nie koniec mych bied. Otrzymałam dziś list od doktora Rajewskiego, że wyjeżdża do Kielc dla ważnych rodzinnych interesów i że od jutra przestaje odwiedzać nasze zakłady.

Downar pokręcił głową z krytyką milczącą, bo nie chciał na kolegę nic rzec, potem chwilę pomyślał i rzekł:

— Mam dla was idealnego człowieka, ale jutro chyba za prędko. Onegdaj wrócił. Ale ten by pani Ramszycowej dogodził. Człowiek idei i powołania, a że trochę czerwony, to nic nie szkodzi. Ten z wami sercem i duszą będzie pracować. Ukochany był mój uczeń, zdolny, pracowity... Wrócił z wygnania i zaraz się do mnie zgłosił. Chciałem go przy sobie zatrzymać, ale może tamto mu będzie odpowiedniejsze. Dam go wam. Kazia słuchała, oczu nie spuszczała z niego.

— Jak się nazywa, profesorze? — spytała głucho.

— On? Bogucki Stanisław.

— Wrócił? — wyrwało jej się, aż Downar oczy podniósł.

— To pani go zna?

— Znam — i — nie dawajcie nam go, profesorze. Zresztą on sam nie zechce. Był moim narzeczonym.

— Aaa! — przeciągle rzekł i głową pokręcił. — I pani go opuściła w takiej biedzie. Aaa — to do pani niepodobne. Nie trza było!

A nią wstrząsnął dreszcz i straszny ból zdławił spazmem serce. Pochyliła się, zakryła twarz dłońmi i trwała tak bez ruchu, bez łez, bez łkania.

Downar pożałował swego słowa i sądu.

— Tak mi się wyrwało bez namysłu. Niechże mi pani wybaczy. Jeśli pani to uczyniła, to musiała być racja. No, cóż zresztą, życie płynie.

Ona się już opanowała. Zerwała się z miejsca, przetarła czoło ręką i rzekła głosem zmienionym:

— Profesor ma rację i prawo sądzić. Winnam. On wrócił, może zapomniał i zmienił się. W każdym razie będzie mną pogardzał. Wolę to, niż gdyby cierpiał. Trzeba mi iść. Mam tyle zajęć. Życie płynie.

Mówiła prędko, bezładnie, a przez tę chwilę twarz jej się dziwnie zmieniła, oczy wpadły i podkrężyły się ciemno.

— No, już ja pani lekarza wynajdę i jutro go sam zainstaluję, a na miejsce pani Rudnickiej przyślę pani do lecznicy moją swojaczkę Boufałową: zdrowa, mocna kobieta. Pomoże i wyręczy. Tylko niech się pani nie naraża i nie zamęcza.

Pocałował ją w rękę i przeprowadził do przedpokoju. Tam jeszcze obejrzał jej rotundę, czy ciepła, i dopilnował z ojcowską troskliwością, by się dobrze otuliła. Wrócił do swych pacjentów — mrużąc:

— Żal stworzenia! Nadto ma ciężko. Czysta dusza!

XI

O zwykłej obiadowej godzinie zastali Saniccy Kazię prezydującą w jadalni. Andrzej wracał z Grodziska. Ożywiony był, wesół i zaraz na wstępie rzekł:

— Kupiłem łożę na *Hrabinę*. Markhamowie będą z nami. Ale dziś to jubileuszowe przedstawienie, musisz się ustroić.

— Idź sam. Radam jeden wieczór wypocząć.

— Po czym? Śmiesznie mało bywamy. Zresztą Markhamom byłoby przykro. Pomyślą, że się boczysz. Odpoczniesz jutro.

— Jak to? Jutro bal lekarzy. Musimy być, obiecałem najsolenniejszemu Morawskiemu — zawołał prezes. — Przecie masz już na ten bal tualetę.

— Mam. Siódmą w tym karnawale. Tak mi szkoda tych setek, co te gałgany kosztują.

— A mnie, nie szkoda. Podobasz się ogólnie — rzekł Andrzej. — No, nie grymaś. Już tylko dwa tygodnie karnawału.

— A zapominacie, że pojutrze ślub u Wolskich. Nie możecie chybić. Byłaby śmiertelna obraza. A teraz bardzo są na ciebie, córuś, łaskawe.

Milczała, ledwie dotykała potraw, czuła się śmiertelnie znużona. Oni tego nie uważali, zajęci rozmową, nowinami, anegdotami miejskimi.

Wreszcie Andrzej do niej się zwrócił:

— Miałem wczoraj na balu w ratuszu kapitalną rozmowę z Jarłową.

— Z tą siostrą Kołockiego?

— Wdową po starym Jarle. Powiada do mnie, jaka szkoda, że pan żonaty. *Vous me donnez l'envie d'essayer d'un beau garçon!* A ja jej na to: *Et vous m'en donnez d'essayer d'une comtesse.*

Prezes się śmiał. Pochlebiał mu ten sukces syna w arystokracji. Kazia się uśmiechnęła blado, obowiązkowo.

— Bardzo piękna kobieta. Ma profil kamei.

— Jarło jej zostawił półtora miliona — dodał prezes. — Testament był u mnie.

Mówili znowu ze sobą i przeszli w wyśmienitych humorach na kawę do gabinetu.

— Więc koniecznie potrzebna w teatrze? — spytała Kazia po chwili. — Tak bym rada zostać w domu!

— Mówię ci, że Markhamowie się obrażą. Cóż znowu, wielka ci fatyga tych parę godzin — zawołał niecierpliwie Andrzej i dodał natychmiast:

— Może wolisz koncert „Lutni”? Możemy po nich wstąpić i zmienić program wieczoru.

— Ja bym wolała otrzymać tygodniowy urlop i odwiedzić ojca — rzekła wstając leniwie.

— Oszalałaś? O tej porze na wieś! Żartujesz chyba?

— Żartuję, masz rację. Idę się ubierać.

— No, nie grymaś. Pojedziemy do Gurowa na Wielkanoc, gdy sady zakwitną — rzekł wesoło i dalej coś ojcu opowiadał.

„Gdy sady zakwitną” — powtórzyła w myśli, ale i to wspomnienie, nadzieja wiosny, nie potrafiło jej teraz ucieszyć. W pół godziny potem, już ubrana, schodziła, do karety, nie mogąc przezwyciężyć nieznośnej senności i znużenia. Orzeźwił ją nieco chłód, ruch uliczny, łuna świateł w teatrze i dźwięki muzyki.

Teatr był natłoczony i jarzył się od strojów i klejnotów.

Nikt nie słuchał uwertury, każdy zresztą umiał ją na pamięć i każdy tu był, żeby się pokazać, spotkać znajomych, admirować tualety, podnieść się do flirtu, zabawy, rozpusty, tą wystawą obnażonych ramion kobiecych, gorącym pełnym zapachu perfum i tonów muzycznych.

W tym ludzkim mrowiu, skupionym ciasno, oświetlonym jaskrawym światłem gazu, wrzały wszystkie namiętności, a królowała ciekawość pusta, zawiść niska, próżność nikczemna.

Lornetki były w ruchu, odnajdywano znajomych, zamieniano spojrzenia i uśmiechy, taksowano brylanty, krytykowano stroje, szeptano skandale, uśmiechano się zjadliwie lub cynicznie, pokazywano sobie modne kokoty, robiono przegląd karnawałowych panien, szacowano ich posagi, a o uwerturze myślał tylko nieboszczyk Moniuszko w grobie.

Kazia słuchała, co mówiono wkoło niej, dorzucała niekiedy słowo do paplania Emilki Markhamowej, sama nie lornetowała, mając z natury bardzo ostry wzrok, a nie czując żadnej ciekawości, patrzyła w afisz.

Nagle jakaś siła zmusiła ją do podniesienia oczu.

W krzesłach było morze ludzkich głów, łysin męskich i fantastycznych fryzur kobiecych. Mieszało się to wszystko chaotycznie, kołysało jak fala i pomruk szedł jak z morza. I w tym morzu ujrziała tylko jedną twarz, jedną głowę i spotkali się wzrokiem, i pozostali oboje bez tchu, jak skuci żrenicami.

— Stachu! — dusza jej mu to rzuciła, bez dźwięku, nie głosem, ale całą potęgą milczącego spojrzenia.

Wtem dzwonek na scenie i nagle światła zgasły, szmery się uciszyły, kurtyna się podniosła. Wszystkie oczy zwróciły się ku scenie i prawie cały teatr miał jedną myśl:

— Żeby prędzej antraktu się doczekać.

Kazia przymknęła oczy i szczęśliwa się czuła, że nie potrzebuje mówić, słuchać, patrzeć.

Zdało się jej, że huragan, wicher, fale morskie szumią jej w głowie, że ogień ma w piersiach, że tonie, spada w bezdenną przepaść: Wrócił, żyje, jest! Wracają tak ptaki z wyrajów zza morza! O Jezu!

Z chaosu wrażeń pierwsza, naturalna, wszechpotężna siła młodości i życia zawrzała w niej pieśnią. Stach wrócił, jak wiosna wraca!

Wtem się wzdrygnęła przerażona.

— Co ci? — szepnął za nią Andrzej. Oparty był ramieniem o jej fotel i dotknął był jej ręki.

— Przestraszyłem — dodał i z poufałością męża posunął dłoń aż do ramienia i pozostawił tak.

Uczyniła jej ta pieśniczota wrażenie piętna gorącym żelazem. Zacisnęła nerwowo zęby, by z bólu nie syknąć, nie zdradzić odrazy. Jemu gorąca fala krwi mignęła w oczach, pochylił się nieznacznie i musnął ustami po szyi. Poruszyła się i usunęła bez słowa, czuła tylko, że jej zimny pot pokrył skronie i w oczach pociemniało.

Markhamowa trąciła go wachlarzem i szepnęła z uśmiechem:

— Mógłby pan to czynić dyskretniej. Ręczę, że nawet kapelmistrz widział.

— Ale nawet arcybiskup nie znalazłby w tym nic grzesznego — odparł podobnie.

— Cicho! — upomniał Markham, stróż form i pozorów.

Akt dobiegł końca. Ostatnie tony, brawa, przeciągłe okrzyki, kurtyna zapadła, gaz zapłonął, ruch uczynił się w całym teatrze. Panowie w krzesłach, jedni odeptywali nogi damom, przeciskając się do wyjścia, inni plecami zwrócenii do sceny lornetowali, zamieniali ukłony ze znajomymi, których nie dostrzegli z początku, w łóżach wizytowano się. Miejsce Andrzeja zajęło z kolei kilku panów, ostatni Radlicz, który spojrzał na nią bystro.

— Nadwreżył panią szpetnie karnawał. Prawda, że ludzie, jakby się wściekli, tak hulają. Tylko jakoś amatorów na mężów brak. Do tego doszło, że mnie, mnie stręczą tę tam milionową Majerównę.

— I bierze ją pan? — spytała ciekawie Markhamowa. — Bylibyśmy w sąsiedztwie, oni mają willę pod Grodziskiem.

— Nie biorę, pani łaskawa, bo jestem malarzem na płótnie, a nie na perkalu. Po drugie, ona jest ruda, to typ kolegi Żmurki, nie mój, a po trzecie, zanadto kocham mężatki i ręczę, że z mendel ich nie przeżyłby mego wiarołomstwa.

Poczęli się przekomarzać z Markhamowa, ale Radlicz zarazem obserwował salę i rzekł:

— Jarłowa ma jeszcze przepyszny biust. To jest rasowa szkapa. Postawiłbym na nią w totka, gdyby biegła. Wzięłaby dużo młodszych.

— Panie, bardzo proszę, to nie targowica na Pradze.

— Albo ja mówię, że na Pradze. O co się pani kłóci?

— O szacunek dla kobiet!

— Niech się szanują, albo im bronię? Może co za to dostanę nawet na tamtym świecie.

— Pan jest wstrętny potwór!

— Próbowała pani?

— Wynoś się pan!

— Na rozkazy! Ukłonił się i wyszedł.

Kazia nie podniosła już oczu, nie spojrzała tam w krzesła i nie czuła już wiosny i życia w sobie. Niestychanym wysiłkiem woli była pozornie swobodna i grała swą światową rolę.

Dopiero gdy powstał ruch odwrotu, spojrzała na salę, ale już tam nie było dla niej nikogo, tylko tłum.

Na schodach Markham zaproponował kolację.

Spojrzała na Andrzeja ze zgrozą, że przyjmie, że ją jeszcze czeka męczarnia sali restauracyjnej, gorąco, zaduch potraw i wyziewów trunków, spotkanie znajomych, ale Andrzej się wymówił i rozstali się na placu.

Odetchnęła nareszcie w swym buduarze. Oswobodziła się ze strojów i klejnotów, odprawiła służącą i otworzyła list od ojca, który zastała w skrzynce pocztowej.

Papier drżał w rękach i skakały litery, ale czytała błada z wrażenia, pożerała słowa:

„Moje kochane dziecko, miałem w zeszły wtorek nie lada niespodziankę. Wyobraź sobie, Stach Bogucki się odnalazł, wrócił i był u mnie. Zmienił się bardzo, szczególnie duchowo. Zdziczał i sponurzał, mało co mogłem z niego wyciągnąć. Przywitał mnie sztywnie: chorowałem — mruknął i tyle. Nie spytał o babkę, o ciebie, o nikogo, o nic. Siedział zgarbiony, ze wzrokiem w ziemi jak wilk. Chciałem mu zdać rachunki z administracji folwarczku. Zaśmiał się, zerwał, papiery zgarnął i mruknąwszy mi: Dziękuję — ukłonił się i wyszedł. Dziki człowiek. Szkoda. Za gorący był, spłonął i popiół został. Dobrze, że stara Bogucka nie dożyła tego powrotu...”

Kazia nie czytała dalej. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę na poręcz fotelu i jakby zmartwiała.

Wtem skrzypnęła klamka u drzwi i wszedł Andrzej.

— Narzekasz na zmęczenie, a nie idziesz spać — rzekł siadając na kanapce. Jakaś ty mizerna! To nie karnawał, ale te twoje dobroczynne bieganiny tak cię męczą. Jak mi tak będziesz marnieć, to zabronię.

Wyprostowała się i rzekła.

— Otrzymałam list od ojca. Przeczytaj.

Wziął do rąk. Zrazu trochę znudzony, przy pierwszych słowach brwi zmarszczył i tak już chmurny doczytał końca. Potem przejrzał raz jeszcze i dziwnie się uśmiechnął. Oddał jej papier, sięgnął do kieszeni i podał jej w zamian kopertę czerwoną, mocno pachnącą.

— A ty, przeczytaj to — rzekł zapalając papierosa. Było tam kilka słów po francusku, bez nagłówka i podpisu, ale treści tak erotycznej, że zwróciła mu ze wstrętem.

Roześmiał się.

— Zeszły się jak obstalowane. Wrócił tedy ten twój ideał, a ja mam oświadczyły od Jarłowej. Szkoda, że nie wcześniej. Teraz nie mam ochoty.

Milczała, ze wzrokiem wbitym w ziemię, ze splecionymi na kolanach rękoma.

Trochę urażony tym milczeniem, dodał:

— No, i chyba ty już się ze mną pogodziłaś i losu byś nie zmieniła. Mogę figurować na wystawie inwentarza jako wzór męża. Gdybyś ty była cokolwiek mniej apatyczna, czuję, żebym się w tobie rozkochał. Tymczasem, zaczynam się z lubą godzić i na razie innej nie chcę. No, rzuć ten list i kładź się spać. Będiesz na balu źle wyglądać. Tym bardziej idź spać. Czy mam cię zanieść do sypialni? — dodał wstając.

Zerwała się z fotela i słowa nie mówiąc, wzięła świecę z biurka i wyszła.

Nazajutrz czuła się tak niezdrowa i słaba, że zapragnęła raz pierwszy w życiu leżeć, spocząć. Ale po chwili pasowania się z nieznośną niemocą wstała, wzięła proszek chininy, orzeźwiła się chłodną kąpielą i poszła do zwykłych zajęć.

— Zaspąłeś, córuś! Dobrze, będziesz *frisch* na bal — powitał ją prezes.

Andrzej czytał „Kuriera” i rzekł:

— Węgiel znowu zdrożał. Markham się uparł nie robić kontraktu. Teraz nas różnąc będą, jak sami zechcą.

— A biedacy chyba zmarzną wszyscy westchnęła Kazia. — Znowu dziś 12 stopni mrozu.

— Nie wychodź na ten ziąb. Ty się doprawdy biedy po tych norach i narobisz nam dopiero ambarasu.

— Muszę wyjść chociażby do lecznicy. Toć tam tłok będzie dzisiaj, a doktor się zmienia. Nie wiem jeszcze, kogo mi Downar wynajdzie.

Andrzej coś zamruczał, ale go zwyżka węgla pochłaniała i chciał się o tym z Markhamem rozmówić. Spojrzał na zegarek.

— Zastanę go jeszcze na dworcu — rzekł kończąc śpiesznie kawę i wyszedł.

Prezes miał jakąś sesję, także się śpieszył, a wnet potem i Kazia wyszła do lecznicy.

Jak przewidywała, tłok był.

— Doktor jest? — spytała, zdziwiona, dozorczyńni.

— Jest, jakiś nowy, z listem od profesora Downara. List zostawił i zaraz się wziął do roboty. A tak starannie chodzi koło nich, jakby hrabiami byli.

Podala jej list i Kazia weszła do gabinetu, gdzie po konsultacji załatwiano materialne potrzeby pacjentów. Rozerwała kopertę:

„Szanowna Pani — Okazuje się, że zaszło nieporozumienie i pomyłka. Mój protegowany, doktor Bogucki, upewnił mnie, że ani narzeczonej w kraju nie zostawił, ani pani nie zna. Posada i zajęcie bardzo mu się podoba, a że i ja jestem pewny, iż odpowiedniejszego nie sposób znaleźć, więc go instaluję niniejszym, spokojny, że ten zaufania nie zawiedzie. Proszę się nie zrażać jego sposobem obejścia: szorstki jest i ponury, ale rzecz swoją zna, a wartość charakteru wynagrodzi brak form.

Downar”.

Kazia, przeczytawszy, otworzyła drzwi do małego pokoiku, biura samej Ramszycowej, i poleciła dozorczyńni poprosić doktora.

Wszedł po dość długim oczekiwaniu i sztywnie się uklonił.

— Bogucki — mruknął i spojrzał na nią przelotnie.

— Dłaczego pan skłamał, że mnie pan nie zna — spytała rozpacznie. — Czy pan zapomniał, czy pan się mści, czy pan mną pogardza? Nie zasłużyłam na to. I po co pan tu przyszedł?

— Nie mam przyjemności znać pani. Przyszedłem z polecenia profesora Downara na posadę, która odpowiada moim celom i idei. Czy pani nie życzy sobie, żebym tu pozostał? W

takim razie usunę się, tylko dziś jeszcze załatwię pacjentów; to mój obowiązek. Chory, tym bardziej nędzarz, nie powinien czekać do jutra. Zwrócił się, by odejść.

— Stachu! — wyrwało się jej mimo woli.

Zły ogień zapalał w oczach Boguckiego. Taka zaciętość i niechęć, że jęknęła, jakby otrzymała uderzenie bolesne.

— Pani mnie bierze za kogoś innego — rzekł twardo. — Pytał mnie profesor Downar, czy miałem narzeczoną. Skądże? Gdybym miał, toby mnie nie opuściła dlatego, że mnie los podeptał, że byłem nędzny, słaby, zgnieciony nieszczęściem. Ale ja sam byłem i sam jestem, i sam będę. Narzeczonej nie miałem i mieć nie mogę, bo nie posiadam ni pieniędzy, ni świetnego stanowiska, a przecie mej idei kobiecie nie ofiaruję na zabawkę i poniewierkę! Ale, pani daruje, chorzy czekają.

Stała bez słowa, bez myśli, niezdolna się bronić, domęczona już tym ciosem. On wyszedł.

XII

Tej nocy, po balu, Kazia się ocknęła, jakby ją coś wstrząsnęło, jakby na nią ktoś zawołał. Otworzyła oczy i starała się zrozumieć, co się z nią dzieje.

Dzwony biły, wiele dzwonów, a biły rozgłośnie, aż ją bolało w głowie od dźwięków i huku.

Na co dzwonią? Gdzie? Ha, to na rezurekcję w Gurowie. Jest tam Wielkanoc przecie.

Bo wiosna już świta. Rezurekcja i sady kwitną, pachnie jabłoniowym kwieciem i polatują w powietrzu, strącone powiewem ranku, białe płatki. Pełno ich, opadają bez szelestu, a dzwony grają. Trzeba iść na rezurekcję. Idzie wśród sadów na te dzwony, płatki białe padają, ale jakie zimne! Biała już od nich i ziemia, coraz więcej wiruje, to śnieg, zadymka.

Ogarnia ją chłód, dreszcz, zęby szczękają, ale idzie, bo dzwony wołają. To nie dzwony, to młoty w kuźni, co stoi za dworem w Gurowie.

I oto ją ogarnia żar kowalskiego ogniska, ale jaki żar, to ona sama płonie, ona leży w żarze. Rzuca się, chce się cofnąć, osłania głowę, ale to ojciec miechem dmie i ojciec ją tak rozpaloną, jak sztabę metalu, kładzie na kowadle, a tłum ludzi jest wkoło. Ludzie z młotami i te młoty spadają na jej głowę, spadają, walą, tłuką, miażdżą, bołą, bołą, bołą.

Patrzy, kto bije, patrzy. Wszyscy są. I Andrzej, i Wolskie, i macocha, i Radlicz, i stara Markhamowa. I Tunia, a wreszcie widzi nad sobą złe oczy Boguckiego i młot wzniesiony i uderzenie.

— O Stachu! ty nie bij! ty nie bij! — szepce, potem już nic nie widzi, nic nie czuje, nic nie rozumie z rzeczy tego świata.

XIII

Ranek posepny, zimny, ponury, ranek poniedziałkowy po zapustnej niedzieli. Miasto jeszcze śpi po wczorajszych balach, długo spać nie będzie, nabierze sił na ostatki. W powietrzu wiruje śnieg, patrzą nań z uciechą dorożkarze, z niechęcią stróże i policjanci. Oprócz nich nie ma prawie publiczności na ulicach.

Stasiek Józefiak z gromadą kolegów roznosicieli wylatuje na miasto z „Kurierem”. Leci chłopak i pogwizduje, jakby na gołębie, a właśnie przed Świętym Krzyżem spostrzega dwa, zapomina na chwilę o obowiązku, gapi się.

— Werfle! Ktoś ci spłoszył, że się to tłucze w taki czas. Ciekawość — czyje?

Gołębie spadły na skwerek przy Koperniku, szukały żeru, spłoszone frunęły na ramię krzyża u figury Zbawiciela, tedy Stasiek tam spojrzął i zaczął czytać świeżutką żałobną klepsydrę.

Czytał, podszedł bliżej, palcem po literach poprowadził, obejrzał się, jakby kogo spytać chciał, spojrzął na zamknięte jeszcze drzwi krypty i uspokojony, że nikt nie uważa, zerwał jedną klepsydrę i wzięwszy nogi za pas, poleciał na Berga. Gnał ile tchu, Erywańską, przerznął Marszałkowską, wpadł na Pańską.

Tomaszowa, wyprawivszy męża z dorożką na miasto, zabierała się do szorowania dzieci, gdy Stasiek wpadł zdyszany, zziębnięty, i wrzasnął:

— Wiecie! Pani nasza umarła!

— Olaboga! Jezu! Kto ci mówił?

— O — klepsydra już u Świętego Krzyża! Czytajcie! Tomaszowa nie umiała czytać, porwała papier i pobiegła z nim na facjatkę do Ambrozików.

Wtedy Stasiek przypomniał sobie „Kuriera” i chlapiąc, zgarbiony, powlókł się do swej roboty. A na facjatce u Ambrozików była już ciżba i napływało coraz więcej, tłoczyli się wszyscy, całe domostwo tam się zbiegło, mężczyzn, kobiet, dzieci, tłum szary, nędzny i słuchali Ambrozika, który czytał jękając się:

„Kazimira ze Szpanowskich Sanicka, po krótkiej i ciężkiej chorobie zmarła 9 lutego w wieku lat 23”.

Po tłumie przeszła fala przeciągłego jęku i szlochanie. Ambrozik odchrząknął, bo go coś dławiło w gardle, i kończył:

„Pograżeni w głębokim smutku ojciec i mąż zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na nabożeństwo żałobne, odbyć się mające w kościele Św. Krzyża dnia 11-go lutego o godzinie 11-ej z rana i na wyprowadzenie zwłok w tymże dniu i z tegoż kościoła o godzinie 2-giej na cmentarz Powązkowski”.

Ambrozik skończył, pochylił głowę, w ramiona ją wtulił i tak oparty o warsztat, pasował się z buntem, który mu w piersi rósł, a kobiety wśród łkań i szlochań wołały:

— O Jezu! O Panienko Najświętsza! Jakżeż my tak zostaniemy! Umarła! 23 lata! Toć chyba Boga nie ma, żeby taka umierała! Toć temu dziesięć dni jeszcze była! Tak się cieszyła, że u Józefiaków pozdrowieli. Nad Helą małą siedziała! Co jej się stało? Jako mogła zamrzeć! Jak nam ją Bóg mógł zabrać! O Jezu, o Jezu!

— Sądzono nam zginąć — ozwał się ponury głos męski.

— Chyba ją zabili — wybuchnęła Tomaszowa. — Ja polecę do ich kamienicy. Takie państwo, a toć by ją z choroby odratowali!

— Matusiu, żebym ja choć ją raz jeszcze w trumnie zobaczyć mogła, moją złocistą! — szeptała Julka suchotnica.

— Zobacysz ją w niebie, niebożę. Nie przyjdzie już do nas! Jezu, Jezu! Zabrał ją Bóg jak anioła. Ludzie, chodźmy za nią pacierz mówić, a jużci, i na Powązki za nią pójdziemy!

— I tam ci z nią chyba zostać od razu, bo i po co wracać? — jęknęła Józefiakowa, która ledwie się zwlokła z choroby. — I Hele jej zaniosę! Jako ją odratowała, to niech ją ze sobą zabierze.

— Chodźmy do Świętego Krzyża!

Śnieg sypał coraz gęściej, kobiety ruszyły gromadą pomimo perswazji sąsiadek; wlokła się też Józefiakowa z jakąś zaciętą rozpaczą. I niosła Hele otuloną w chustkę i ledwie szła, a gdy się dowlekła, tamte już wracały i sama znalazła się w krypcie. Pusto było i mroczno. Ruch uliczny się budził, ale nikt do umarłych nie szedł, boć karnawał żywych zajmował. Józefiakowa upadła na kolana.

Wysoko, wśród całych gajów roślin cieplarnianych, stała metalowa trumna, katafalk pierwszej klasy kosztował setki, imponował, ale Józefiakowa patrzyła nań ponuro. Był to grób jej dzieci, jej doli, jej całej przyszłości. Nie modliła się, poczęła tej umarłej się skarżyć, wyrzucać, a wreszcie, znękana' ostatecznie, zaniosła się rozzwierającym płaczem. Łkała i malutka Hela, nie rozumiejąc, co się stało, i chyba poprzez światy duch Kazi ten płacz musiał słyszeć.

— Co wam, kobieto? Czego tak płaczecie?

Ktoś dotknął ramienia Józefiakowej. Obejrzała się, jakiś pan stał nad nią.

— Po mojej pani płaczę — wyjąkała.

— Służyliście u niej?

— Nie, ona ci nam służyła! Pan nie wie? My z Pańskiej ulicy! Nas tam zostało może ze sto ludzi, a wymarnieją bez niej. I po co ona mnie z tyfusu wyratowała i tego robaczka? Po co się cieszyła, jak dziecko ożyło z gorączki! A sama od nas poszła! Jakie prawo miała nas rzucić! Chyba Boga nie ma na świecie!

Mężczyzna popatrzył na trumnę i długo stał nieruchomy.

„Kuriera” już przeczytali ludzie, coraz wchodził do krypty to lokaj wygalowany, to chłopak od ogrodnika, to posłaniec, kładł każdy wieniec u stóp katafalku i wychodził spiesźnie.

— Zaprowadźcie mnie do siebie — rzekł wreszcie mężczyzna do Józefiakowej. — Pani mi was poleciła. Chodźcie!

U progu skinął na dorożkę, ulokował kobietę, pojechali. I szedł za nimi duch Kazi i słyszał w sobie Bogucki jej głos cichy i słodki.

— Stachu — umiłowałam w życiu ciebie i twoją ideę. Teraz ci ich oddaję, tych moich, serdecznie moich. O, Stachu, koili mi oni tęsknotę po tobie, byłeś ze mną przy nich! Tak ci i tobie będzie. Nie szukaj mnie wśród tych wieńców i nie idź za tym prochem moim na Powązki! Ja tam nie będę, ja z tobą, Stachu serdeczny, wśród nich zostanę.

XIV

Kurier był już rozniesiony. Czytał go Wolski pijąc samotnie kawę. Żona i córki jeszcze odsypiały jakiś balik. Zbudził je bez ceremonii wołaniem:

— Słyszeliście! Awantura! A toć Andrzejowa umarła!

— Nie może być? Kiedy? — ozwały się senne głosy.

— Wczoraj. Już jest nekrolog. Pogrzeb we wtorek.

— Ile miała lat? Skąd pogrzeb?

Rozbudziły się nowiną. W negliżach zeszyły się do jadalni, czytały wszystkie.

— To się biedaczka wybrała w same zapusty — westchnęła mama. — Ależ zgasła prędko.

Prezes się okropnie zmartwi.

— No i Andrzej był onegdaj okropnie przybity, gdym tam wstąpił po wieści.

— Et — co tam Andrzej. Zobaczycie, że go Jarłowa złapie.

— Będziemy, mamó, na pogrzebie?

— A jakże i na nabożeństwie! Trzeba odświeżyć czarne suknie.

— No, to nasz wieczór u Sobolskich przepadł!

— Ano, chyba nie wypada.

— Co by to jej było szkodziło umrzeć w Popielec! — Wypada wianek posłać? — bąknął Wolski.

— Zapewne — wszyscy posła. Cóż robić! Nie można się wyróżniać. Trudno, kilkanaście rubli to będzie kosztowało, ale dla starego trzeba to zrobić.

— Żeby choć śnieg nie padał we wtorek. Masa osób będzie na pogrzebie pewnie.

— Wątpię, zła pora. Wolski westchnął i wstał.

— To ja wianek zaraz pošlę.

— Kwiaty mniejsza, tylko na wstęgę nie żałuj. Każ wydrukować... — zamyśliła się i dodała; — Najmilszej krewnej — od Wolskich.

— Ach — co za cios dla Sanickich! — zawołał stary Markham przy czytaniu „Kuriera”.

— Co? Umarła biedaczka! Już? Co prawda, od pierwszego dnia choroby doktor Morawski najgorzej wróżył. Wojowała i dowojowała się. Dowiedziona rzecz, że się zaraziła tyfusem u jakichś swoich protegowanych. Co za nieostrożność! Bywała wszędzie, mogła nanieść nam wszystkim zarazy. Łaska Boska jeszcze. No, teraz Ramszycowa znowu sama zostanie. Downar do niej telegrafował, bo jak się ta biedaczka położyła, chaos tam zapanował. Żadnej u nich organizacji nie ma.

— Biedny prezes, tak ją kochał.

— Biedny! Andrzej już zaczął latać za Jarłową, teraz, jeszcze bardziej się zadurzy. A ta mu domu nie umili na starość, o me! Szkoda starego. Trzeba wianek posłać i być na nabożeństwie. Na Powązki damy karetę Guciowi z żoną.

— Jezu Maria! Kazia umarła! — wrzasnęła Dębska do pierwszej z kuzynek, które się ukazały tego dnia. Była rzetelnie zmartwiona, więc choć już było koło pierwszej, jeszcze nie zaczęła tualety ani domowych porządków.

Kuzynki jej przeczytały nekrolog, przyszły po szczegóły.

— Tyś miała odwagę tam chodzić w czasie choroby! To strasznie zaraźliwe!

— Ano — byłam co dzień! Ja i Dąbrowska stara.

— Bardzo cierpiała? Mówiła co?

— Nic. Siedm dni nie otworzyła oczu i ust. Nic nie słyszała ani rozumiała. Mówię wam, okropne było. Doktorowie powiadają, że musiała już od tygodnia mieć tyfus i tak go przechodziła; dlatego i nie było już ratunku. Dyszała tylko i czarna była od gorączki, ale na nic się nie skarżyła, tylko wczoraj poczęła rękami pościel szarpać! Biedactwo!

— A ksiądz był?

— Był onegdaj. Podobno, gdy do niej przemówił, otworzyła oczy i poruszyła ustami, ale głos nie wyszedł z gardła, tylko się jakby uśmiechnęła.

— Biedactwo! — powtórzyły wszystkie. — Ze też tylu doktorów mieć mogli i nie uratowali!

— Było pięciu. Prezes od zmysłów odchodził.

— A Andrzej?

— Andrzej był jak odurzony. A przy tym wściekły na tę jej nędzę protegowaną. To oni ją zabili, tam się zaraziła — mówił. — Powyduszałbym to jak robactwo. Niech mi się ośmielą pokazać. Żal mu jej było, naprawdę żal.

— A Radlicz co? Dowiadywał się?

— To jest narwaniec — spotkałam go onegdaj. — Wie pan — powiadam — że z Kazią bardzo źle.

— Źle — odpowiada — a może i dobrze. Ukochani przez bogów umierają młodo. Zresztą, proszę pani, na bruku się wrzosy nie hodują. Fiut, stróż miotłą w rynsztok zmiecie, kwiaty zawsze tak kończą. Powiedziałam mu parę słów prawdy, ale czy który artysta ma sumienie?

— Jutro pogrzeb?

— Jutro! Strasznie mi nie na rękę, bo mam masę roboty. Biedactwo — nie użyła ostatków. Telefonowałam do Julka, żeby wieniec posłał, najdroższy, jaki jest! Ogromnie ją kochałam!

XV

O zmroku wprost z dworca przyjechała Ramszycowa i zadzwoniła do Sanickich.

Po twarzy służącego domyśliła się prawdy, spytała o prezesa.

— Leży chory.

— A młodszy pan?

— Wyszedł z panem Szpanowskim.

Ramszycowa rzuciła kartę i poszła na górę do Downara. Tam przede wszystkim spytała, czy pani jest, a na odpowiedź przeczącą weszła bez meldowania do gabinetu, wołając:

— Powiedźcie mi, gdzieście byli i co warta wasza głupia nauka, żeby jej dać umrzeć!

Downar siedział w fotelu u biurka, a w cieniu w kącie był ktoś jeszcze.

Downar powstał, powitał ją i za całą odpowiedź ramionami tylko ruszył.

— Nie chciałam wierzyć, żeby ona, tak młoda, tak silna, tak zdrowa, mogła tak zgasnąć!
To straszne!

— A może jeszcze bardziej niepodobna, że tak długo żyła. Lepiej jej teraz. Czy to szczęście kilkadziesiąt lat umierać, bo co innego jest życie? Ale teraz nie znajdzie pani łatwo takiej do pracy towarzyszki. Żeby taką nasz brat Laszkę dostał pod Rosienie, toby inaczej szanował i pilnował, ale dla tutejszych za dobrą była. Trzeba było zamęczyć dla dogodzenia karnawałowi, Jeszcze niejedna przyjaciółka w duchu jej złorzeczy, że popsowała pogrzebem ostatki. Kukły. Ramszycowa usiadła i zadumała się.

— Nie marzę nawet, by ją ktoś w mym sercu i uznaniu zastąpił, ale żywi żyją i trzeba o nich myśleć. Ostatni od mej list miałam, że doktor Rajewski nas opuścił. Mała szkoda, nie cierpiałam go, ale musimy szukać zastępcy.

— Ona pani już i tego kłopotu oszczędziła. Sama wybrała zastępcę. Ot, tu jest właśnie kolega Bogucki. Od dziesięciu dni już ordynuje.

Ramszycowa spojrzała nań badawczo. On się milcząco ukłonił, a Downar dodał:

— Dziś, właśnie przed chwilą, mówiliśmy z nim. Dziwak jest, stawia warunki.

— Jeśli pana Boguckiego wybrała pani Sanicka, z góry na nie przystaję.

— Będzie pracował miesiąc w pani zakładach na próbę. Jeśli pani dogodzi, chce dostać od razu dziesięć tysięcy rubli.

— Rozumiem. Instalacja i małżeństwo.

— Nie, pani. Będzie mieszkał przy lecznicy, jeden pokoik mu wystarczy i żenić się nie myśli. Ma dużą, bardzo liczną rodzinę. To dla nich.

— Powtarzam, jeśli pani Sanicka na to się zgadzała, ja przystaję.

— Pani Sanicka tego chciała — rzekł poważnie Downar. — A ja pani za tego kolegę ręczę, jak ojciec za syna.

— Będziemy tedy razem pracować. — tylko już jej nie będzie z nami — westchnęła Ramszycowa.

I jej, tak trzeźwej, zmętniały na chwilę oczy, a nierada temu, zerwała się, uścisnęła w milczeniu dłoń obu mężczyzn i wyszła.

Żeby nie mąż, zapomniałyby zupełnie o wieńcu.

Nie miała Kazia szczęścia do końca. Nawet jej pogrzeb dał Warszawie powód do krytyki i wyrzekań. Bó śnieg walił od południa, formalna zadymka.

Z jej racji niszczone toalety, z jej racji musiano najmować karety i przepłacać dorożki, bo o pieszej wędrówce, choćby do pierwszego rogu, mowy być nie mogło, a wszyscy ubolewali nad Andrzejem, który iść musiał za karawanem.

Ale pogrzeb był wspaniały, to przyznano jednogłośnie, musiał kosztować tysiące, ale o ile by był efektowniejszy w pogodę!

A tak pieszo szła tylko hołota, gapie zapewne i rzezimieszki. Ale skąd się tego tyle nabrało na ten psi czas? O pierwszej już tłum był przed kościołem, tłum źle odziany, może dlatego obojętny na śnieg i ziąb. Zapchał chodnik, wylał się na ulicę, otoczył mrowiem karawan, tamował ruch tramwajów.

Nareszcie ustawiono trumnę i pogrzeb ruszył.

Szedł za karawanem Andrzej i Szpanowski, i to mrowie szare, tłum bezimienny, a za nim dopiero karety i dorożki. Ale tłumowi nie ubyło i czerń ta doprowadziła Kazię wiernie do kresu życiowej wędrówki. A śnieg wciąż padał, słał jej swe białe kwiaty.

Powązki pochłonęły trumnę i eskortę, a po niedługim czasie zwróciły żywych. Tłoczono się u bramy, siadano na powrót do powozów, mówiono już o potocznych sprawach. Markhamowie młodzi ustąpili swej karety starym Dąbrowskim, wracali dorożką.

— Szczególnie, co się z Tunią stało? — dziwiła się Emilka.

— A, oto dopiero jedzie — zaśmiał się Markham. Zatrzymali się. Jednokonką jechała Tunia, zasapana i zziębnięta, jakby sama ciągnęła wehikuł.

— Rany Pańskie! Gdzie Julek? — wołała.

— Pojechał z Andrzejem kareta.

— Macie państwo, a ja się spóźniłam, a chciałam razem jechać! Czekałam na niego, telefonowałam na wszystkie strony. Ano siadam z wami, już biedaczce naprawdę nic nie pomogę. A wieniec nasz widzieliście? Opowiedzcie mi, kto był? A mowy były? Jakże? Płakał kto? A Ramszycowa dała wieniec? Tak żałuję, że się spóźniłam, ale to Julka wina. Tak się spieszyłam, nawet nie karbowałam włosów! Co prawda, na tę pogodę ani uczesania, ani toalety nikt nie zauważy. Jakże Andrzej się zachowywał? Wiecie, już gadają, że ona umarła z desperacji, że on za Jarłową lata. Nie dam trzech groszy, że się pobiorą. Serdeczny mi żal Kazi. Dobrze było stworzenie, poczciwe, ale brakło jej sprytu kobiecego. Nie umiała wyrobić wokoło siebie sympatii i miłości. Ale, nie uważaliście, Radlicz był?

— Nie, to bardzo niestosowne. I Downara nie było.

— A bo się zaraz po śmierci przemówił ostro z Andrzejem i zerwane stosunki! A wiecie, z kim zaręczona Majerówna?

Rozmowa przeszła na temat wspomnień karnawałowych, o Kazi nie było wzmianki. Żywi wrócili do żywych i życia.

Następnej jesieni nad grobem stał posługacz cmentarny i robotnik od kamieniarza brał wymiar na nagrobek. Rozmawiali sobie przy tym, émiąc papierosy.

— To mąż pomnik stawia?

— I, i, i, gdzie zaś! Jakiś stary, siwy! Ojciec pewnie. Bogaty! Siedemset rubli płaci!

— Aha! To ten, co wczora był na mogile, kazał ją oprzątnąć. Tylem miał dochodu.

Kamieniarz trącił nogą szkielet bukietu, jakieś badyle suche.

— Przecie ktoś mał?

— Nie widziałem, kto. Miotłę ci jakąś przynieśli. Wziął do rąk badyle i roztarł je w palcach.

— Wrzos leśny. Żadna parada. Za dziesiątkę dostanie! Ktoś ci na ofiarę nie zbankrutował. A ja, tom grosza nie dostał.

NOTA WYDAWCY

Wrzos Marii Rodziewiczówny wydrukowano po raz pierwszy na łamach „Kuriera Warszawskiego” w 1902 r., w nrach 1–140; w tym również roku powtórzono publikację powieści w „Dzienniku Polskim”, nr 297–452. Pierwodruk książkowy *Wrzosa* ukazał się w 1903 r. w Warszawie; następne wydania; Warszawa 1911; Lwów–Poznań 1921; oraz jako tom V wydania zbiorowego jubileuszowego, Lwów–Poznań 1926, nakładem Wydawnictwa Polskiego, druk W. L. Anczyca i Sp., Kraków. Wydanie obecne opiera się na tej właśnie edycji jako ostatniej za życia autorki.

Bez zmian pozostawiono w niniejszym wydaniu wszelkie osobliwości języka pisarki oraz używane przez nią dawne formy językowe, starsze formy składniowe, a także występujące często obocznie formy dawne z nowszymi. Nie ingerowano również w pisownię nazw miejscowości, pozostawiając np. „Zoppot” (niemiecka nazwa dzisiejszego Sopotu) oraz „Gurów”.

Oprócz ortografii, którą uwspółczesniono wedle obowiązujących obecnie zasad, poczyniono następujące emendacje oczywistych omyłek lub opuszczeń wydania z 1926 r.: „uchodził” zmieniono na „uchodzi” (s. 71, w. 5), „uwłaszczający” na „uwłączający” (s. 144, w. 29), „zdradzony” na „zdradzany” (s. 160, w. 4), „przyszedł” na „wyszedł” (s. 162, w. 1), „tamta” na „tamte” (s. 164, w. 22), „dlategoś” na „dlatego” (s. 176, w. 18); zdania: „stała dlań treścią życia” i „uścisnęli jeszcze raz dłonie” uzupełniono zgodnie z kontekstem: „stała się dlań treścią życia” (s. 161, w. 12) i „uścisnęli sobie jeszcze raz dłonie” (s. 198, w. 31).

Ponadto ujednolicono imiona, nazwiska i tytuły postaci powieściowych, podawane w rozmaitym brzmieniu i mogące wprowadzić w błąd czytelnika — wybierając częściej stosowany zapis. I tak: „Boguska, Boguski || Bogucka, Bogucki” — obecnie: „Bogucka”, „Bogucki”; „Stanisław, Stach || Janek (Bogucki)” — obecnie: „Stanisław”, „Stach”; „Rudmcka, Rudnicki || Rokicka, Rokicki” — obecnie „Rudnicka”, „Rudnicki”; „Goldrnark || Goldman” — obecnie: „Goldmdrk”; „Bukowski || Bukowiecki” — obecnie „Bukowjecki”, „Ambroziak II Ambrozik” — obecnie: „Ambrozik”; „Hrabia Kocio || książę Kocio” — obecnie: „hrabia Kocio”. Bez zmian oczywiście pozostawiono takie nieścisłości w treści utworu, jak np.: „od dziesięciu lat skojarzone stadło” Tuni z Juliuszem Dębskim (s. 124, w. 8), podczas gdy owa Tunia była koleżanką z pensji klasztornej bohaterki powieści, która na początku utworu ma lat 20 (s. 15, w. 10), a umiera mając 23 lata (sic! — akcja *Wrzosa* toczy się od wiosny do początku lutego następnego roku); czy też określenie jednej z postaci — Celiney von Reuter — jako „młodej rozwódki” (s. 6, w. 36), d później wielokrotnie jako „starej awanturnicy” (s. 90, w. 12, s. 128, w. 17 s. 157, w. 33, s. 165, w. 13, s. 181, w. 5)

SŁOWNICZEK

- à la Böcklin — w rodzaju Böcklina (*a la*, fr. — skrót od *a la mode*, *a la maniere* — na sposób)
- Andreas noch in Bänden frei! (niem.) — Andrzej nawet w więzach jest wolny
- antrakt (z fr.) — przerwa między aktami sztuki teatralnej, opery, między częściami koncertu itp,
- antrepyza (z fr.) — przedsięwzięcie teatralne, cyrkowe itp.; tu w znaczeniu przenośnym
- apanaże (z fr.) — tu: zarząd majątkami panującego {departament apanaży}
- a parte (łac.) — tu: rozmowa uboczna, na stronie, na osobności
- article de Varsovie (fr.) — tu: osobliwość warszawska
- Auf das Gewesene gibt der Jude nichts (niem.) — Żyd nie stawia na to, co było
- aus! (niem.) — koniec!
-
- bałagula (z ros. ?) — zawadiaka, hulaka, lekceważący przyjęte zwyczaje
- barkarola (wł.) — stylizowany utwór wokalny lub instrumentalny o charakterze gondoliera (tradycyjnej pieśni weneckich gondolierów), utrzymany w tempie umiarkowanym i charakterystycznym kołyszącym rytmie, naśladowującym ruchy wiosła
- bawaria — piwiarnia, knajpa
- berajter (z niem.) — ujeżdżacz wierzchowców
- (skończy u) Bonifratrów — tzn. w szpitalu dla umysłowo chorych; bonifratrzy, bracia miłosierdzia, zakon założony w 1540 r. w Grenadzie (Hiszpania) przez św. Jana Bożego dla opieki nad chorymi, prowadzący własne szpitale, głównie dla umysłowo chorych.
- botforty (z fr.) — buty z cholewami wyższymi z przodu, używane do konnej jazdy
- Böcklin Arnold (1827–1901) — malarz szwajcarski, autor neoromantycznych kompozycji figuralnych o tematyce mitologicznej i fantastycznej, którym nadawał znaczenie symboliczne, oraz pejzaży i portretów.
- brankard (z fr.) — wagon bagażowy
-
- Carmen — tytuł czteroaktowej opery francuskiego kompozytora Georges’a Bizeta (1838–1875), wystawionej po raz pierwszy w 1875 r.
- Cavalleria (właśc. *la Cavalleria Rusticana*) — *Rycerskość wieśniacza*, opera w jednym akcie Piętro Mascagniego (1863–1945), włoskiego kompozytora i dyrygenta, powstała w 1890 r.
- centryfuga (z niem.) — wirówka, w której pod wpływem siły odśrodkowej mieszanina zostaje rozwarstwiona na składniki o różnej gęstości
- C’est canaille! (fr.) — To kanalia!
- chimera — w mitologii greckiej ziejący ogniem potwór o głowie lwa, tułowiu kozy, z wężem zamiast ogona; urojenie, fantazja, kaprysy, dziwactwa
- „cloche” (gr.) — klosz, dzwon; tu: suknia krojona z koła lub z półkola
- ciemierzycyca — veratrum, roślina z rodziny liliowatych o leczniczych właściwościach
- correct (fr.) — poprawny, bez zarzutu
- cyborium — (łac. *ciborium*) — puszka do przechowywania hostii
- cyrkul (z łac.) — dawniej, zwłaszcza w byłym zaborze rosyjskim, komisariat policji

(jak) Dante piekło i czyściec zwiedził — aluzja do *Boskiej Komedii* Dantego Alighieri (1265–1321), której treścią jest wędrówka przez trzy światy zagrobowe: Piekło, Czyściec i Raj (i tak też brzmią tytuły części poematu).

De grâce, ne me faites pas perdre mon sérieux (fr.) — Na Boga, niech mi pan nie odbiera powagi.

Demostenes (384–322 p.n.e.) — słynny mówca grecki

drabiak — wóz drabiniasty

„dyska” (z fr.) — moneta dziesięciogroszowa

ekstracug (z niem.) — pociąg specjalny

enfin (fr.) — wreszcie, w końcu

Erywańska — obecnie ul. Kredytowa w Warszawie

Es erben sich Gesetz und Rechte, wie eine ewige Krankheit fort (niem.) — dziedziczy się zwyczaje i prawa, podobnie jak chorobę

„esklandra” (z fr. *esclandre*) — skandal

et je ne veux pas être un mari ridicule! (fr.) — i nie chcę być śmiesznym mężem!

Et vous me donnez d’essayer d’une comtesse (fr.) — A pani widok wzbudza we mnie ochotę na hrabinę.

etykietalny — oficjalny, ceremonialny

falanster (z fr.) — osiedle (budynek) na obszarze ok. 400 ha przeznaczone dla ok. 1600 osób — członków zrzeszenia spółdzielczego pod nazwą falanga (wg koncepcji francuskiego socjalisty utopijnego Charles’a Fouriera, 1772–1837). Osiedle miały otaczać zabudowania gospodarcze i inne urządzenia, dostarczające spółdzielcom wszelkich potrzebnych im dóbr i usług. Falanga miała zrzeszać wytwórców będących jednocześnie spożywcami.

fanaberia (z niem. i hebr.) — pyszałkowatość

feministki (z łac.) — zwolenniczki ruchu, zapoczątkowanego podczas rewolucji francuskiej 1789 r., dążącego do politycznego i społecznego równouprawnienia kobiet

feniks (z łac.) — w starożytności ptak bajeczny, który miał ukazywać się co 500 lat w Heliopolis w Egipcie; symbol odradzania się w oczyszczającym ogniu, powstawania z popiołów; regeneracja, zmartwychwstanie

feralny (z łac.) — pechowy, niefortunny

feruła (z łac.) — pręt, różga — przenośnie: władza, regulamin, rygor, karność, powaga

fiks (z fr. *fixe*) — stały, oznaczony (termin przyjęć)

flamma (łac.) — sympatia, osoba będąca przedmiotem przelotnego romansu, flirtu

frisch (niem.) — świeża

fuga (łac, wł.) — ucieczka, bieg

Giotto di Bondone (ok. 1266–1337) — wielki włoski malarz i architekt, prekursor renesansu

(święty) Graal (st. fr.) — słynny talizman, przedstawiany w postaci kielicha, pucharu, półmiska lub kamienia, do którego Józef z Arymatei miał zebrać krew z przebitego boku Chrystusa, spływającą z grotu lancy. Ów talizman był tematem wielu legend, romansów i alegorii średniowiecznych, a jako kielich poszukiwany przez rycerzy legendarnego króla Celtów — Artura (Artusa)

Gracje — nazwa greckich Charyt w mitologii rzymskiej, trzech boginek uosabiających radość (Eufrozyna), wdzięk (Aglaią — promienna) i (Talia — kwitnąca), patronujących ucztom i zabawom.

guarda e passa (wł.) — spójrzmy i omińmy! (cytat z *Boskiej Komedii* Dantego *Piektło* 3, 51)

gutaperka (z niem.) substancja występująca w soku mlecznym wielu roślin, nie tylko tropikalnych, po wysuszeniu sprężysta, zbliżona do kauczuku (synonim gумы)

Hans Huk Klauber, lassmolen stolen(niem.) — poprawnie: *lass malen stolen* Hansie...
pześciej już malować

heraus (niem.) precz!

Herse znany ówczesnie dom mody w Warszawie

hipoteka (z łac.) — zabezpieczenie roszczeń pieniężnych (zwłaszcza pożyczek) na nieruchomości

homeryczuy śmiech — gwałtowny, niepohamowany, serdeczny (u Homera „nieugaszony śmiech” bogów *Iliada* 1, 599, zalotnikow Penelopy — *Odyseja*, 20, 346)

Hrabina — opera w trzech aktach Stanisława Moniuszki, powstała w 1859 r, wystawiona w 1860

Hugenoci (*Les Huguenots*) — powstała w 1836 czteroaktowa opera niemieckiego kompozytora Giacomo Meyerbeera (1791–1864) przedstawiciela romantycznej „wielkiej opery” francuskiej

hydra w mitologii greckiej wielogłowy wąż z Lerty (Argolida), któremu w miejsce uciętej wyrastały dwie nowe głowy, zabity przez Heraklesa

Ich sei, gewahrt mir die Bitte

Im euren Bunde die Dritte (niem.) — cytat z ballady Friedricha Schillera (1759—1805) pt *Die Bürgerschaft* (W oryginalne *der Dritte*)

Spełnijcie moją prośbę,

Bym była trzecia [był trzeci] w waszym związku

Idée fixe (fr) — pomysł natrętnie zaprzatający umysł, chorobliwe opanowanie psychiki przez nawracającą myśl

il est correct (fr) — on jest w porządku

incognito (wł) — skrycie, tajnie

instalacja (z łac.) — urządzenie się

instalować (z łac.) — dawniej wprowadzać kogoś na urząd, na stanowisko, miejsce pracy itp

intendentura (z łac.) — dział gospodarczy instytucji zajmujący się zaopatrzeniem, tu w znaczeniu przenośnym

Invulnérable! (fr) — Nie do zranienia!

J'ai failli vous prendre au serieux! (fr) — Omal nie potraktowałam pana poważnie!

Jakuci — lud pochodzenia turecko-tatarskiego, zamieszkujący pn-wsch Syberię, Jakucja była za caratu miejscem zesłań

je m'en fiche! (fr) — gwizdę na to!

Walerian Kalinka (1826–1886) — historyk, publicysta, ksiądz, współtwórca krakowskiej szkoły historycznej, zajmował się głównie historią końca XVIII w (krytykując obóz reformatorski ze schyłku tegoż wieku) *Sejtn czteroletni* (1880) jest jedną z jego głównych prac

kapary (z łac.) — marynowane w occie pączki kwiatowe krzewu kaparowego, rosnące w strefie śródziemnomorskiej

karota (z fr) — zbieranie, wyłudzenie datków, naciąganie np przy kweście

- komeraże (z fr) — plotki, intrygi, nieporozumienia
- konfidencjonalnie (z łac) — poufale poufnie, sekretnie
- konsultacja (z łac) — porada lekarska, narada udzielanie wskazówek tu badanie lekarskie
- konsystorz (z łac) — dawniej kuria biskupia
- kontramarkarnia (wł) — szatnia, garderoba
- (przy) Koperniku pomnik Mikołaja Kopernika, ustawiony w 1850 r przed Pałacem Staszica przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, dłuta słynnego duńskiego rzeźbiarza, Bertela Thorvaldsena (1768–1844)
- koroniarz — człowiek pochodzący z rdzennej Polski tzn. z Korony (w odróżnieniu od Litwinów)
- Tadeusz Korzon (1839–1918) — historyk przedstawiciel warszawskiej szkoły historycznej badacz dziejów Polski drugiej poł XVIII w , zwolennik pozytywizmu *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764–1994)* (t 1–4, 1882 1886) stanowią jedną z jego głównych prac
- król kurkowy — strzelec z bractwa kurkowego który na dorocznych zawodach, urządzanych dla podniesienia sprawności bojowej mieszczan (w tydzień po oktawie Bożego Ciała), trafił w tułów kurka (Bractwa kurkowe — organizacje strzeleckie powstałe w miastach średniowiecznych w XIII w w związku z tworzeniem miejskich sił obronnych)
- lando — dwu albo czterokonny powóz o czterech miejscach z opuszczaną w przód i w tył budą (XVIII–XIX w — nazwa pochodzi od Landau, miasta w niemieckim Palatynacie gdzie takie powozy zaczęto produkować)
- le foyer, l'alcôve conjugale (fr.) — domowe ognisko, sypialnia małżeńska
- Lietuwininkaj mer esan gitne (lit.) — urodziliśmy się Litwinami
- litografia (z gr) — tu: zakład litograficzny (litografia — technika graficzna polegająca na reprodukowaniu rysunku czy ozdobnego pisma wykonanego bezpośrednio na płycie kamiennej lub naniesionego na kamień za pomocą kulki)
- Lohengrin — romantyczna opera w trzech aktach Richarda Wagnera (1813–1883), niemieckiego kompozytora, poety i teoretyka sztuki powstała w 1848 r., wystawiona w 1850
- lokomobila (z łac) — prze woźny silnik: parowy z kołami i paleniskiem, służący do napędu maszyn, np. rolniczych
- lombard — instytucja kredytowa udzielająca pożyczek pod zastaw ruchomości przedmiotów i papierów wartościowych albo towarów jod nazwy włoskiej krainy Lombardii, słynnej w średniowieczu i wczesnych czasach nowożytnych z bankierów i lichwiarzy)
- Marcelin — miejscowość pod Warszawą; obecnie w obrębie miasta, w dzielnicy Mokotów
- Marsylianka (fr. *La Marsellaise*) — francuski hymn narodowy od czasów Wielkiej Rewolucji (pieśń patriotyczna śpiewana przez przybyłych do Paryża ochotników z Marsylii — Marseille)
- mendel (z niem.) — piętnaście sztuk, czwarta część kopy; zwyczajowa miara liczbowa stosowana dawniej, zwłaszcza na wsi
- mentor — doświadczony doradca, wychowawca, nauczyciel (od imienia Mentora, przyjaciela Odyseusza i wychowawcy jego syna Telemacha, w Odysei Homera)
- Valeria Messalina (?–48) — trzecia żona cezara rzymskiego Klaudiusza, słynna ze swobody obyczajów

(Postawili) Mickiewiczowi pomnik — w Warszawie w 1898 r. przy Krakowskim Przedmieściu wg projektu Cypriana Godebskiego (1835–1909).

mierzyn (z ros.) — koń niewielkiego wzrostu, używany zwykle jako zwierzę pociągowe
mon Dieu (fr.) — mój Boże

Stanisław Moniuszko (1819–1872) — kompozytor, organista, dyrygent i pedagog; twórca opery narodowej i polskiej liryki pieśniowej. Był autorem ponad 300 pieśni i ballad solowych — *Pieśń wieczorna* należy do kilkunastu najpopularniejszych

Muzy — w mitologii greckiej dziewięć córek Zeusa, opiekunek sztuk pięknych i nauk: Erato, Euterpe, Kaliope, Klio, Melpomena, Polihymnia, Talia, Terpsychora, Urania

negliżować (z fr.) — lekceważyć, ignorować, zaniedbywać

ne suprantu (lit.) — nie rozumiem

nieoptyczny (z gr.) — „niewzrokowy”, tu; niepozorny

niepocześnie — niepozornie, skromnie, nieokazale

Non, mon cher! (fr.) — Nie, mój drogi!

notabene (łac.) — do tego, w dodatku, nawiasem mówiąc

odrautować — uczestniczyć w rautach (przyjęciach)

ostracyzm (gr.) — bojkot; w starożytnych Atenach sąd skorupkowy, skazujący na wygnanie — przez wypisanie nazwisk na skorupkach — obywateli dążących do samowładztwa

parapetowe (z wł.) drzwi — balkonowe

parvenu (fr.) — dorobkiewicz, parweniusz

patronessa (z fr.) — opiekunka, protektorka

perpetuum mobile (łac.) — (mechanizm) poruszający się wiecznie i samoczynnie; niemożliwa do zbudowania maszyna, która by wykonywała pracę nie pobierając z zewnątrz energii

piramidy — tu: wysokie i kunsztowne ozdoby cukiernicze na tortach

pour prendre ma'ri (fr.) — aby wyjść za mąż

Powisłe — dzielnica Warszawy

Prenez tout (fr.) — Niech pani bierze wszystko

prezerwatywa (z fr.) — lek, środek ochronny

prognostyk (z gr.) — zapowiedź, przepowiednia, wróżba

Pyram — postać ze *Snu nocy letniej* Shakespeare'a

Quelle chance! (fr.) — Co za szczęście!

quelle corvée (fr.) — cóż za pańszczyzna

rajtuzy (z niem.) — spodnie do konnej jazdy

ramię krzyża u figury Zbawiciela — rzeźba Chrystusa z krzyżem na ramionach znajdująca się na balustradzie kościoła św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu

raut (z ang.) — uroczyste przyjęcie wieczorne bez tańców

recydywa (z łac.) — nawrót (choroby)

rotunda — okrycie wierzchnie, niefałdowane bez rękawów

Anton G. Rubinstein (1829–1894) — rosyjski pianista, kompozytor i dyrygent; jego różnorodna twórczość muzyczna obejmuje również ponad 160 pieśni i romansów.

sankcja (z łac.) — tu; aprobata, przyzwolenie, zgoda

satyr — rozpustnik, lubieżnik (w mitologii greckiej leśne bóstwo o pół ludzkiej, pół końskiej postaci z kozłimi rózkami na głowie, lubujące się w pijaństwie i rozpuście)

sesja (z łac.) — posiedzenie. obrady

sewrski wazon — pochodzący ze słynnej francuskiej fabryki porcelany w Sevres pod Paryżem, istniejącej od 1756 r.

Henryk Siemiradzki (1843–1902) — malarz, autor kurtyn w teatrze krakowskim (1896), i lwowskim (1900), tematem jego — przeważnie wielkich — płócien były teatralnie ujęte sceny z życia starożytnych Greków, Rzymian i pierwszych chrześcijan; malował też pejzaże i sielankowe sceny antyczne.

Sinobrody — morderca swoich sześciu kolejnych żon; postać ze znanej opowieści francuskiego pisarza Chales'a Perraulta (1628–1703).

Si vous préferez être lâche — soit! (fr.) — Jeśli pan woli być podły — trudno!

stagnacja (z łac.) — zastój

stancja (z wł.) — tu: izba

Styria (Steiermark) — kraj w środkowo—wschodniej Austrii

submitować się (z łac.) — prezentować się, składać swoje uszanowanie

syndykat (z fr.) — forma monopolu kapitalistycznego, w której grupa uczestników zawiera, zazwyczaj czasowe, porozumienie dla przeprowadzenia pewnych transakcji

szpak — koń o maści ciemno—siwej z jasnymi plamami

tabes (z łac.) — wiażd rdzenia, odmiana kiły mięszowej układu nerwowego

„Tam byłby raj... gdybyś ty ze mną była” — sparafrazowany cytat z wiersza Johanna Wolfganga Goethego (1749–1832) pt. *Do H.**. *Wezwanie do Neapolu*. Dokładnie fragment ów brzmi: „Tu byłby raj...” itd. (tłum. A. Mickiewicza).

tarant (z niem.) — koń o maści siwej w plamy karę, gniade lub kasztanowate, owalne lub o kształtach nieregularnych

termin wekslowy ... na Szymona i Judę męczenników — tzn. 28 października, kiedy obchodzi się pamiątkę św. apostołów: Szymona i Judy Tadeusza

Tiens! (fr.) — O! A to dopiero!

Tiens c'est votre mari! (fr.) — Oto pani mąż!

Towarzystwo Świętego Salezego — Stowarzyszenie św. Franciszka Salezego (w skrócie: Towarzystwo Salezjańskie), zgromadzenie zakonne, założone w Turynie przez św. Jana Bosco, zatwierdzone w 1874 r. przez Piusa IX, opiekowało się młodzieżą i zapewniało jej wychowanie zawodowe. Cel ten realizowano poprzez prowadzenie w wielu krajach szkół, różnego typu zakładów wychowawczych, szpitali, wydawnictw itp. Salezianie, sprowadzeni do Polski w 1898 r., rozwinęli ożywioną działalność. Tu, być może, chodzi o „towarzystwo” świeckie, popierające finansowo działalność zgromadzeń zakonnych.

tużurek (z fr.) — noszony dawniej dwurzędowy, długi surdut

Tworki — dzielnica Pruszkowa (w woj. warszawskim), gdzie znajduje się szpital dla nerwowo i psychicznie chorych.

Tytania — postać ze *Snu nocy letniej* Shakespeare'a; do tej sztuki też późniejsze aluzje.

ułatwić się — dawniej: załatwiać (tu: skoro zostanie ten pacjent załatwiony)

Un, deux, trois — capitaine et roi! (fr.) — Raz, dwa, trzy — kapitan i król!

Un peu de flirt par depot! (fr.) — trochę flirtu na złość!

vadium (łac.) — suma składana dla dotrzymania warunków umowy; rękojmia, zastaw, kaucja, poręka

Va te pendre ailleurs! — zresztą powieś się!

veto (łac.) — sprzeciw (dosłownie: nie pozwalam)

Vous me donnez l'envie d'essayer d'un beau garçon! (fr.) — Pana widok wzbudza we mnie ochotę na pięknego chłopca!

Vous rentrez déjà? (fr.) — Czy pani już wraca?

Wacht am Rhein (niem.) — *Strat nad Renem*, tytuł patriotycznej pieśni niemieckiej (1840) autorstwa Maksa Schneckerburgera.

Walpurgisnacht (niem.) — noc Walpurgii, z 30 kwietnia na 1 maja (na św. Walpurgę), kiedy wg średniowiecznych legend odbywały się sabaty (złoty) czarownic na górze Brocken (najwyższy granitowy szczyt w górach Harcu, 1142 m).

wena (z łac.) — tu w znaczeniu: powodzenie, szczęście

werfel — gatunek białego gołębia

westalka — kapłanka Westy, rzymskiej bogini ogniska domowego, przebywała wraz z pięcioma towarzyszkami 30 lat w służbie bogini, dochowując ślubu czystości i pilnując świętego ognia; przenośnie: dziewica

wieżę odsiedzieć — tzn. być skazanym na karę wieży (więzienia), być uwięzionym; tu w znaczeniu przenośnym

wint — dawna gra w karty

Wizytki — kościół Sióstr Wizytek w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu

„wogzał” (z ros. *wukzal*), właśc. fokszał — dawniej dworzec kolejowy

wolant (z fr.) — lekki powóz dwukołowy ze składaną budą

Zoppot — dzisiejszy Sopot

Zygmunta pomnik — kolumna króla Zygmunta III Wazy na placu Zamkowym w Warszawie, wzniesiona w latach 1643–1644, z inicjatywy Władysława IV, wg projektu C. Tealli.

Franciszek Żmurko (1858–1910) — malarz, autor nasyconych erotyzmem aktów i portretów kobiecych, scen antycznych, biblijnych, orientalnych i symbolicznych.